

Piotr Rogoża

Rock'n'roll, bejbi!

Lublin 2008

Intro

*Gdy słońce schowało się już
za horyzontem, gdy cienie stały
się głębsze, a pierwsze gwiazdy
zamrugaly na niebie, żółw
wychylił ze skorupy widmową
głowę. Był wyraźniejszy niż
ostatnim razem; wydawał się
całkiem solidny i cielesny, lecz
wiedziałem, że wyciągnięta ręka
przeniknęłaby go na wylot. →*

- Dzień dobry, żółwiu.

Nie odpowiedział. Nigdy nie odpowiadał. Patrzył tylko tymi niesamowitymi oczami, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że wszystko rozumie. Wolno, rytmicznie przebiegał łapami. Czasem zdawało mi się, że w końcu uniesie skorupę i powędruje tam, gdzie odchodzą martwe żółwie, do krainy, gdzie wszystko jest niespieszne i tapla się w błocie.

Siedziałem na krześle ogrodowym, popijając wino z plastikowej butelki. Nie było zbyt smaczne; ani słodkie, ani cierpkie, miało tę jedyną zaletę, że pozwalało przymulić się szybko i bezboleśnie.

- Tak, żółwiu - pokiwałem głową. Włosy wpadały mi do oczu, swędziały nieogolone od tygodnia policzki. - Właśnie tak. Zobacz, jak wiele mamy wspólnego. Pojawiasz się w tej skorupie, czasem ostry i wyraźny jak dziś, czasem ledwo widoczny, właściwie sam kontur i patrzysz na mnie, siedzącego tu, przed altanką, równie niedorzecznego i bezsensownego. Pełniesz sobie w miejscu, zobacz, przenikasz łapami podmurówkę, ja uchlewam się mózgojebem. Lubię cię, wiesz? Gdybyś nie był martwy, dałbym ci sałaty.

Podniosłem głowę. Na niebie rozbłysła kreska spadającej gwiazdy.

- Wiesz, czego sobie życzę? Żeby gdzieś tam, daleko, daleko stąd, po drugiej stronie wszechświata, podobny do mnie nieudacznik siedział teraz w ogródku działkowym, rozmawiając z widmem żółwia błotnego. Przysięgam ci, że czułbym się z tym lepiej.

Pociągnąłem z butelki kolejny łyk.

- Może gdzieś tam jest drugi Cielećcin? Dziesięć tysięcy mieszkańców, prawa miejskie od 1244, jak podaje notka w encyklopedii internetowej... Swoją drogą, ciekawe, bo nie wspomina już ani słowem, że mieszkają tu w zasadzie tylko socjopaci i wykolejeńcy, tak zwane „perspektywy” omijają miasteczko szerokim łukiem i właściwie nie rozumiem, czemu litościwy meteoryt nie zmiotł jeszcze Cielećcina z powierzchni Ziemi...

Żółw wpatrywał się we mnie z upiornym spokojem.

- Wiem, co chciałbyś mi powiedzieć. „Weź się w garść, chłopie, o co ci chodzi, jesteś przecież wolnym człowiekiem, dupa w troki i heja, świat jest twój; możesz się stąd wynieść i iść dokądkolwiek”, prawda, żółwiu? Kto jak kto, ale ty powinienes wiedzieć, że nieprawda. Mógłbyś być teraz wszędzie, a jednak z uporem nawiedzasz tę skorupę i, jak myślę, nie wyobrażasz sobie siebie gdzieś indziej.

Wino roztańczyło się w mojej głowie. Pusta butelka pofrunęła w trawę, stuknęła cicho, uderzając w inną plastikową butelkę, opróżnioną niewiele wcześniej.

- Jesteśmy też tak samo nudni. Odgrywamy co wieczór ten sam scenariusz. Za chwilę wyjmę portfel, pokażę ci zdjęcie Małej, westchnę, a potem zacznę wspominać... Przez cały ten czas będziesz wytrwale pełzył w miejscu. Potem umilknę, popatrzysz na mnie jeszcze i zaczniesz blednąć, nikać, aż w pewnym momencie na podmurówce zostanie tylko pusta wysuszona skorupa, a ja przez dobrą chwilę będę się zastanawiał, czy widziałem cię naprawdę.

Wyjąłem portfel, westchnąłem. Obróciłem w palcach legitymacyjną fotkę Małej.

- Żółwiu, wiem, że masz już tego serdecznie dość. Nie dziwie się, na twoim miejscu dawno znalazłbym sobie inną skorupę i inne towarzystwo. Skoro już tu jednak jesteś i chyba nie masz nic lepszego do roboty...

Przymknąłem oczy.

- Wiesz, bywało naprawdę ciekawie.

Zwykły był to poniedziałek

*Leżałem bez ruchu
i zastanawiałem się, czemu jest
tak ciemno. Dopiero po jakimś
czasie zrozumiałem, w czym
rzecz, i palcami rozkleiłem
powieki. Nowy dzień brutalnie
wdarł się do mojej świadomości. →*

Zwlokłem się z wyrka i rozejrzałem. Na stole walały się kostki do gry i figurki; dumnie górowały nad nimi dwie butelki po winie. Pod stołem leżał Budzigniew, przytulony do trzeciej butelki. Na bladej, okolonej jasnymi lokami twarzy miał uśmiech błogi i pełen szczęścia.

Skoncentrowałem się najmocniej, jak potrafiłem. Pamięć zaczęła wracać. Więc cały weekend graliśmy w er-pega. Wszystko jasne.

Podszedłem do stołu i złapałem pierwszą butelkę z nieśmiałą nadzieją, że może coś tam jeszcze na dnie pozostało. Nie przeliczyłem się. Przeplukałem gardło ożywczym płynem i zaraz poczułem przyływ sił witalnych.

- Wstawaj - kopnąłem Budzigniewa. Nie mocno jednak. Właściwie to niemal pieszczotliwie.

Odpowiedział mi długi, rozedrgany pomruk.

- Czego chcesz? - Budzigniewowi w końcu udało się coś wyartykułować.

- Wstawaj, idziemy do szkoły.

- Co?

- Idziemy do szkoły.

- Aha.

I tu rozmowa się urwała. Z mętnych oczek Budzigniewa emanowało poczucie beznadziei.

- Może napij się trochę - zaproponowałem. - Zaraz ci się umysł rozjaśni.

Budzigniew usiadł, chwycił swoją butelkę i przyssał się do niej z absolutnym zaufaniem, niczym niemowlak do piersi. Z każdym łykiem na twarz wracały mu kolory, przechodził cudowną metamorfozę. Po kilkunastu sekundach sprawiał już wrażenie nadającego się do użytku.

- Która to godzina? - zapytał, dowodząc przytomności umysłu.

Spojrzałem na zegarek.

- Wpół do dziesiątej, dopiero dwie godziny jesteśmy spóźnieni.

Podszedłem do toaletki i z premedytacją ochlapałem twarz zimną wodą z miski; higiena to rzecz ważna i nigdy nie należy o niej zapominać.

Zerknąłem w lustro.

- Cześć - przywitało mnie odbicie. - Zajebicie dziś wyglądasz.

- Nie podlizuj się - mruknąłem. Wory pod oczami miałem ogromne, włosy przetłuszczone, a zarost kilkuniedniowy. Co tu dużo mówić, przedstawiałem sobą obraz nędzy i rozpacz.

Odbicie wzruszyło ramionami.

- Zawsze wyglądasz zajebicie - powiedziało. - W końcu zawsze tak samo jak ja.

Nie miałem ochoty na dalszą dyskusję.

- Skoro tak twierdzisz - odparłem i usunąłem mu się z widoku.

Budzigniew oglądał scenę z obojętnością cegły.

- Wiesz co - powiedział. - Powinieneś sprzedać komuś to gówno.

- Myślałem o tym - odrzekłem. - Ale raczej nie sprzedam, przyzwyczailem się do drania.

Podniosłem plecak wypełniony wybranymi na chybił trafił podręcznikami i skierowałem się do wyjścia. Wyjściową odzież miałem na sobie. Od trzech dni.

Ciepło było na dworze, grzało słońeczko i śpiewały ptaki. Po błękitnym niebie majestatycznie sunęły kilka chmur. Idylla.

I nagle w idyllę wpięprzyli się Amerykance. Ich cholerne F-16 z hukiem przecięły powietrze nad działkami.

- Zaszrani imperialiści, nie mają gdzie tych ćwiczeń organizować - warknął Budzigniew. - Od tygodnia nam latają nad głowami. W nocy też latali, spać nie mogłem.

Cielecińska prasa rozpisywała się o tym, jak i to zaszczyt, że Amerykance wybrali pobliski poligon w Wągrzynie do ćwiczeń wojskowych. Że pół Europy mieli do dyspozycji, a zainstalowali swoje zabawki właśnie tutaj. Co prawda nic z tego nie mieliśmy, jeśli nie liczyć ciągłego hałasu, ale samorządowcy jakby tego nie zauważali. Ważne dla nich było, że mieliśmy pod bokiem cholernych Amerykańców.

Szlag by ich wszystkich trafił. W sumie to od początku przeczuwałem, że jakieś nieszczęście z tego wyniknie.

Zamknąłem altankę i, marudząc, powlekliśmy się w stronę szkoły.

— * —

Na pierwsze oznaki katastrofy natknęliśmy się niemal od razu, ale przeoczyliśmy je jak ostatni frajerzy.

Między działkami a osiedlem Kopernika był sobie plac zabaw straszący odrapanymi wrakami huśtawek i drabinek. Rozsądne dzieci omijały to miejsce z daleka. W przeciwieństwie do wszelkiej maści meneli, którym nie robiło różnicy, że tarzają się w psich kupach.

Napotkaliśmy akurat dwóch. Jeden leżał na trawniku z twarzą skierowaną ku ziemi, drugi pochylał się nad nim. Rozpoznaliśmy go: był to Krzysiu, znany w okolicy menel-weteran. Siny na twarzy, w porwanych łąkach przypominał uciekiniera z leprozorium. Tylko że, cholera, w jego akurat przypadku było to całkowicie normalne. Na nasz widok podniósł się niezgrabnie, ledwie utrzymując równowagę, wskazał palcem na leżącego kompana i wydukał z wyraźnym trudem:

- Bee-ez-mózg. Ghe, ghe. Bezzz-móó-ózg. Budzigniew pokiwał głową.

- Niewątpliwie.

I poszliśmy dalej.

— * —

Wchodząc do szkoły wyraźnie już czułem, że coś jest nie tak. Podejrzana cisza nie wróżyła nic dobrego. Ostatni raz taka cisza uderzyła mnie tego pamiętnego dnia, gdy katechetę opętał szatan. Trzech czy czterech egzorcystów poległo wówczas w nierównej walce, a stan klasy Ic uszczuplił się dość znacznie. Masakra była, cały gabinet we krwi. Kilka nauczycielek zabrali potem do psychicznych i do dziś nie wiadomo, co się stało z katechetą.

W każdym razie przez skórę czułem, że coś nie gra. Budzigniew musiał mieć podobne odczucia, bo zerkał na boki wyraźnie zaniepokojony.

- Coś mi się tu nie podoba - powiedział. - Musimy być ostrożni.

Na wszelki wypadek wyjąłem z kieszeni srebrny Pentagram Protekcji, sprawdzony amulet ochronny; nie przypuszczałem wprawdzie, żeby opętanie miało się powtórzyć, ale Budzigniew miał rację - ostrożności nigdy za wiele.

Trwała lekcja biologii. Weszliśmy więc po schodach i stanęliśmy przed drzwiami gabinetu biologicznego. Wzięłam głęboki oddech i zapukałem.

— * —

Weszliśmy do środka. Na pierwszy rzut oka wszystko było normalne: biologica odczytywała listę obecności, uczniowie spali na ławkach, a w klasie znajomy syf.

- Bry, pani profesor - grzecznie zagaił Budzigniew. - Przepraszamy za spóźnienie.

Kurde, właściwie to powinniśmy byli uciec już wtedy. Coś się musiało stać i to coś poważnego. W przeciwnym wypadku biologica, która nieszczęśliwym zrzędzeniem losu była naszą wychowawczynią, opierdziałałaby nas tak długo i namiętnie, że pod koniec jej wywodu bliscy bylibyśmy uwierzenia, iż naprawdę jesteśmy najgorszymi szumowinami, jakie widziały mury tego liceum. Stalibyśmy struchlali, a z jej gardzieli płynąłby wartko strumień coraz to bardziej wyszukanych epitetów; z lubością obserwowaliby, jak uginamy się pod ich ciężarem, a w końcu zasiadamy w ławce ze spuszczoneymi głowami i ze łzami szczęścia dziękujemy Bogu, że raczyła wpisać nam uwagi do dziennika.

A tymczasem nic. Zły znak.

Spojrzała tylko na nas matowym wzrokiem i wróciła do odczytywania listy obecności. Usiedliśmy więc, nieco skonsternowani, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Tylko Nietopyr zareagował na nasz widok; oderwawszy głowę od blatu ławki, uśmiechnął się niemrawo. Erpegował razem z nami, ale zwinął się do domu jeszcze przed północą i teoretycznie powinien jako jedyny trochę się wyspać. Resztę klasy toczył bowiem ciężki postdyskotekowy kac.

Wychowawczyni podniosła zza biurka swe doskonale wpisujące się w sześcian cielsko i przetoczyła je pod tablicę. Dopiero wtedy zauważyłem subtelne zmiany w jej wyglądzie. Świńskie oczka jakby jej ropą podeszły, była nienaturalnie blada i poruszała się ciut niezdarnie. Po brodzie ciekła jej strużka śliny.

Po chwili przemówiła:

- Zapiszcie temat lekcji.

Głos miała strasznie niewyraźny. Jakby się jej język kleił do podniebienia.

- Dzisiaj będzie o mózgu - wybełkotała, szczerząc zęby. Chwyciła kredę i koślawymi literami napisała na tablicy: **MUSK**. Zastanowiła się chwilę i dopisała: **JE DOBRY**.

- Mózg, ghe, ghe, je dobry. Zapamiętajcie. Wolno przeszła przez klasę.

- Więc mózg, widzicie - zaczęła, stojąc nad Andzią, zwaną Gandzią. Andzia z niewyraźną miną odsunęła się na brzeg ławki. - Mózg je, ghe, ghe, dobry. Mózg, ghe, ghe, wiecie. Dobry. I wtedy się zaczęło.

Zaatakowała błyskawicznie. Skoczyła niczym tygrys, przygniatając zaskoczoną Gandzię setką swych kilogramów, i z rozmachem wgrzyła się w jej głowę. Chrupnęło. Dziewczyna krzyknęła rozdzierająco. Krótkie, grube rączki biologicy zakleszczyły się wokół jej drobnego ciała. Biedaczka szamotała się z krzykiem, próbowała wyswobodzić, bez skutku. Wychowawczynie wgrzyzała się coraz mocniej. Szczęki miała mocarne, kości czaszki nie stanowiły dla nich wyzwania. Zęby wzmacniał aparat korekcyjny, solidna radziecka technologia. Nie wiem, co mogłoby ją powstrzymać. Przegryzłaby zbrojony beton. Coraz mocniej zaciskała też żelazny uścisk pulchnych ramion.

Nikt nie ruszył Gandzi z pomocą, wszyscy siedzieli jak sparaliżowani. Wszystko trwało raptem paręnaście sekund. Po chwili dziewczyna z jękiem skonała.

Biologica żerowała. Sądząc po makabrycznych odgłosach, wysysała mózg ofiary.

W klasie wreszcie wybuchła panika. Parę dziewczyn zaczęło histerycznie wrzeszczeć, kilka osób rzygało gwałtownie. Ktoś rzucił w babę krzesłem. Stęknęła i oderwała się od ciała Gandzi.

- Ghe, ghe - wymamrotała. Upačkana była krwią i strzępami tkanki mózgowej. - Dobry.

Powoli, kołysząc się jak kaczką, ruszyła w naszą stronę.

- O fuck - szepnął Budzigniew.

Tymczasem zwłoki Gandzi podniosły się niezgrabnie, rozejrzały z głupkowskim uśmiechem i odwróciły ku Bercie, z którą dzieliły ławkę.

- Mózg - mruknęły.

Berta nie próbowała uciekać. Ale tylko dlatego, że kilkanaście sekund wcześniej zemdląła ze strachu.

I już, już post-Gandzia miała zatopić w niej zęby, gdy bohaterska żyłka odezwała się w Nietopyrze. Dосkoczył do post-Gandzi i wbił jej pod brodę długopis.

Wszystko to widziałem tylko kątem oka, bo z Budzi-gniewem przewracaliśmy ławki i krzesła, żeby zablokować drogę nadciągającej biologicy. Szybko zdaliśmy sobie sprawę z bezcelowości naszych działań; suka wprawdzie potykała się i przewracała, ale zawsze wstawała i parła do przodu.

- Ghe, ghe - zakwiliła, gdy ktoś z tyłu klasy przypięniczył jej w łeb doniczką. Zatrzymała się, ale tylko na chwilę.

Spojrzeliśmy sobie w oczy. Podjęliśmy szybką decyzję.

- Spieprzamy - wykrztusił Budzigniew. Machnął ręką na Nietopyra, który parł już w naszą stronę. - Szybciej!

We trzech wybiegliśmy na korytarz. W drzwiach obejrzałem się jeszcze za siebie. Akurat zobaczyłem, jak Teflon przebija biologicę zerwanym ze ściany porożem jelenia. Krew chlusnęła na tablicę, wyglądającą teraz jak dzieło szalonego malarza abstrakcjonisty: czarne tło, szkarłatne zacieki i krzywy napis **MUSK JE DOBRY**.

W kącie Siwy darł się wniebogłosy i próbował strącić z siebie post-Gandzię, która siedziała mu na ramionach i najwyraźniej próbowała ugryźć go w kark. Sterczący z brody długopis trochę jej to utrudniał.

— * —

Na korytarzu też było wesoło.

Drzwi od gabinetów stały otworem, a spanikowany tłum wylewał się z nich niczym fala powodziowa.

- Z drogi! - ryknął nieznany mi z imienia grubas z maturalnej. Pędził w samych bokserkach, roztrzając ludzi na boki; fałdy tłuszczu falowały na nim malowniczo. Pewnie akurat był na badaniach. Na ramieniu miał paskudną ranę. Ni chybi gryzioną.

Nagle z hukiem otwarły się drzwi gabinetu historycznego. Wypadł z nich zalany krwią historyk; z dziury w jego piersi sterczał stojak na mapy. W szarej twarzy brakowało kilku fragmentów. Trafił widocznie na waleczną klasę.

- Móóóóózg!!! - zawył z wściekłością i padł na ziemię. Po chwili popęzł w stronę pokoju nauczycielskiego.

A schodami wbiegł na górę dyrektor. Miał w oczach obłęd.

- Spoooookój! - krzyknął. - Co się tu dzieje? Wszyscy do klas i kontynuować zajęcia!

- Pierdol się! - wrzasnął drugoklasista walczący z siną geograficą, która zajadle kłapała przed nim zębami i bez wątpienia usiłowała go ukąsić.

- No wiesz ty co, Makłowski! Co to miało znaczyć? Możesz czuć się usuniętym ze szkoły! To karygodne...

Nie dokończył, bo Fafik z IIa pociągnął mu przez nery gazrurkę.

- Całe życie na to czekałem! - krzyknął.

Zlecieli się jego kumple i zaczęli butować dyrektora. Nasz patron Adam Mickiewicz przyglądał się temu z twarzą tak kamienną, jak naścienna tablica, na której był przedstawiony.

Akurat zbiegaliśmy schodami na dół, jak wpadła na mnie Mała.

- Jezu, Modrzew, żyjesz jeszcze! - krzyknęła.

- Żyje, żyje. Właśnie miałem cię szukać. Chwila - zreflektowałem się. - Z którym wcieleniem rozmawiam?

- Chyba Ja - oświadczyła. - Z całą pewnością. Mała to najkochańsza dziewczyna pod niebem. Ale

niestety, jej wszechświat wewnętrzny nie był do końca spójny. Umysł dzieliły między siebie Ja, Chyba Ja i jeszcze Coś Trzeciego. Były z tym czasami problemy - błędne rozpoznanie aktualnego jestestwa nie prowadziło do niczego przyjemnego.

Złapałem ją za rękę i zbiegliśmy na dół. Nietopyr i Budzigniew pędzili za nami.

Zamierzaliśmy wybiec głównym wyjściem, wyczułem jednak, że to nie najlepszy pomysł.

Pobiegliśmy w stronę hali sportowej.

Wtedy zabrzmiały pierwsze strzały. Dobiegały z drugiego skrzydła szkoły. Czyjś pełen bólu krzyk wznosił się ponad dziką kakofonię głosów.

- Co tu się dzieje? - wydyszał Nietopyr.

- Nie wiem - odparł mu Budzigniew. - Dokąd teraz?

- Do kibla, to może przeżyjemy - powiedziała Mała. Postanowiliśmy zawierzyć kobiecej intuicji.

— * —

Zatrzasnęliśmy za sobą drzwi. Nietopyr wetknął w zamek kawał drutu; zawsze miał po kieszeniach pełno wszelkiego badziewia.

- Jezu, co tu się dzieje? - zapytał.

- Jak to co? - skrzywiła się Mała. - Amerykańce.

- Amerykańce? -No.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie - wtrąciłem.

Budzigniew nawet nie musiał się odzywać. Jego mina mówiła za niego. Mała westchnęła.

- Rano zrzucili na miasto jakieś białe gówno z tych swoich samolotów. Widzielibyście, gdybyście nie spali.

- Jak mogliśmy nie spać - oburzył się Budzigniew. -W erpega przecież żeśmy wczoraj grali.

- Grałam z wami - łagodnie przypomniała Mała. -Tylko że potem ograniczyłam się do jednej butelki.

- No widzisz. I co z tym białym gównem?

- Jak to co? Zamieniło ludzi w zombiaki. Pewnie jakąś broń dranie opracowali i nie mieli gdzie jej przetestować.

- A Irak?

- Co Irak?

- Czemu se w Iraku nie przetestują?

- Bo im tam cały świat patrzy na ręce. I zapadła cisza.

- Czyli pieprznęli nam w Cielęcín jakimś swoim wynalazkiem - podsumował Budzigniew.

No tak. Gdzie by indziej, jak nie w Cielęcín. Cielęcín przyciągał nieszczęścia jak magnes. Jeśliby przyrównać nieszczęścia do much, Cielęcín byłby największą padliną w okolicy. Jeśli do panienek lekkich obyczajów - byłby najbardziej uczęszczaną autostradą... Rozumiecie. Cielęcín był mekką wszelkich nieszczęść. Jestem niemal pewien, że miasto leżało nie tyle na przecięciu, co na węźle drogowym żył wodnych. Doszedłem do tego wniosku już w zeszłym roku, gdy skutkiem fatalnego zbiegu okoliczności na rondzie koło monopolowego rozwalił się tabor cyrkowy i przez dwa dni miasto terroryzowane było

przez dziesięć oszalałych goryli, wspomaganych przez dwa słonie. Zresztą... Zdarzyło się wam może wykopać w ogródku skorodowane pojemniki ze lśniącem symbolem radioaktywności? Nie? No widzicie. Chcecie mocnych wrażeń, przyjedźcie do Cielęcína.

Znowu rozległy się strzały. Chwilę potem usłyszeliśmy krótkie wykrzykiwane komendy i tupot ciężkich butów.

- Wow - powiedział ponuro Nietopyr. - Marines nam przysłali.

- Ciekawe po co? - zainteresował się Budzigniew.

- Eeee? No, żeby zlikwidować świadków.

- Czyli...

- Czyli?

- Kurwa mać.

- Właśnie.

- Może uciekniemy oknem? - zapytała Mała.

Ktoś spróbował otworzyć drzwi kopniakiem. Zatrzeszczały, ale nie puściły; drut spisał się znakomicie.

- Whos there? - padło pytanie.

Jasna cholera, wystarczy usłyszeć taki głos, bas głęboki jak Rów Mariański, żeby oczyma wyobraźni zobaczyć wielkiego, obwieszzonego bronią Murzyna, takiego, co w pojedynkę dokonałby zamachu stanu.

Jedna Mała zachowała zimną krew.

- Just wait a moment - powiedziała głosem tak słodkim, że w Moulin Rouge nie usłyszelibyście słodsze, nastrojonym na specyficzną nutę, bijącym na głowę anyż i kwiat ylang-ylang razem wzięte.

Moja Mała. Mogłem się domyślać, co działo się teraz w libido Amerykańca.

- Uciekamy oknem - syknęła.

Otworzyliśmy okno i po kolei zwialiśmy na zewnątrz. Podejrzewam, że Amerykaniec stał pod drzwiami z rozmarzoną miną jeszcze przez przynajmniej dziesięć minut. A i tak mógł się tylko cieszyć, że nie trafił na Coś Trzeciego.

— * —

Szkolę otoczono. Oddziały marines zajmowały strategiczne pozycje wokół budynku, komandosi spuszczały się ze śmigłowców na dach. Snajperzy zajęli pozycje w oknach pobliskiej Biblioteki Pedagogicznej. Sytuacja wydawała się przesądzona. Świadkowie bestialstwa imperialistów mieli zostać unieszkodliwieni.

Jednakże Pierwsze Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza w Cielęcinie nie zamierzało poddać się bez walki.

Granaty zaczepne poleciały na Amerykańców z otwartych okien gabinetu do przysposobienia obronnego. Terenem wstrząsnęła seria eksplozji, padli ranni i zabici. Po chwili zaterkotały kałasse; wszyscy wiedzieli, że peowiec zgromadził niemały arsenał i od lat czekał tylko, aby go wypróbować.

Woleliśmy nie czekać na przybycie posiłków z Liceum Wojskowego. Korzystając z faktu, że jeszcze nas nie zastrzelono, rzuciliśmy się do ucieczki.

Pentagram ochronny ocalił nam skórę nie po raz pierwszy. Pentagram i feromony intensywnie rozsiewane przez Małą. Gdy do głosu dochodziło Chyba Ja, Mała szlachtowała seksapilem jak Wołodyjowski szablą.

Przeskoczyliśmy płot, odprowadzani niewidzącymi spojrzeniami amerykańskich żołdaków. Mała w biegu posłała jednemu całusa; biedny osunął się bezwładnie na ziemię.

- Kategorycznie zabraniam - sapnąłem gniewnie. Cóż, okoliczności okolicznościami, ale pewnych zachowań tolerować nie można.

- Przepraszam - odparła potulnie. - Nie mogłam się powstrzymać.

Wpadliśmy do parku. Przecieliśmy boisko i skierowaliśmy się w stronę pekaesu. Minęliśmy dwie emerytki, siedzące na ławce.

- Ta dzisiejsza młodzież - powiedziała jedna z nich, krzywiąc się na nasz widok z oburzeniem. - Nic, tylko alkohol i wagary. Zero poszanowania...

- Mmmmsk - wymamrotała druga, najwyraźniej bezzębna, i wpiła się w twarz towarzyszki. Najpewniej z zamiarem zamemłania jej na śmierć.

— * —

Że adrenalina czyni cuda, wiedziałem od dawna. Ale i tak byłem zdumiony tym, czego dokonaliśmy. A dokonaliśmy czynu wielkiego, niesamowitego, godnego uwiecznienia w annałach. Mianowicie... wyekspediowaliśmy dresiarza z jego samochodu. Choć tak po prawdzie nie był to duży dresiarz. Ani duży samochód. A było to tak:

Naprzeciw stacji PKS stał supermarket. Przed supermarketem był parking. No i na tymże parkingu stał sobie maluch. A w maluchu siedział dresiarz.

Jakiś środek transportu był nam cholernie potrzebny, bo przy akompaniamencie brzęku tłuczonych szyb witrynowych, sklep opuściła właśnie mniej więcej setka zombiaków. Część z nich miała w zębach coś, co wyglądało na kawałki personelu. Konsumenci idealni - iloraz inteligencji krewetki, pochłanianie sensem istnienia - ruszyli prosto w naszą stronę, śliniąc się niedwuznacznie.

Nie wiem, jak inni, ale ja byłem już padnięty. W końcu ile można biec sprintem i to jeszcze nazajutrz po zakończeniu sesji **RPG**. Ludzki organizm, cholera, ma swoje ograniczenia.

Maluch był więc jedynym ratunkiem. Dopadliśmy go we czwórkę. W ostatniej chwili; silnik pracował i pojazd już, już miał odjechać. Budzigniew szarpnął drzwi. Otworzyły się, ukazując postać klockowatą i nabitą, masywną, choć niewysoką, wygoloną na łyso, odzianą w markowy dres i przyozdobioną grubym łańcuchem ze sztucznego złota. Szlachetne kwadratowe lico postaci wyrażało krańcowy przestach, co nie dziwiło, zważywszy na widok w lusterku wstecznym.

Zombiaki z supermarketu wlokły się ku nam wytrwale.

Dzielna Mała nie straciła głowy. Ani języka w gębie.

- Działamy z ramienia szkolnego koła recytatorskiego - oznajmiła, machając dresiarzowi przed nosem swoją kartą biblioteczną. - Obawiam się, że musimy zarekwirować pana samochód. Prosimy stawić się z dokumentami w cielesińskim LO nr 1, w gabinecie 107, we wtorek, o piętnastej trzydzieści.

Wiadomość wpadła do ucha dresiarza, mózg obracał ją teraz na wszystkie strony. Chyba zbierał się biedak, aby coś powiedzieć, ale z Budzigniewem nie daliśmy mu wyjść z szoku.

Złapaliśmy go za dres i wywaliliśmy na zewnątrz. Przytępiony bysior nie zareagował w żaden sposób.

- Dziękujemy za podjęcie współpracy i życzymy miłego dnia - Mała uśmiechnęła się promiennie.

Wskoczyliśmy do środka. Budzigniew usadowił się za kierownicą, ja zająłem miejsce obok. Nietopyr z Małą wbili się do tyłu.

- Prowadziłeś kiedyś samochód? - zapytałem Budzi-gniewa. Tak z ciekawości.

- Samochodu nigdy - odparł. - Malucha ze trzy razy. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Budzigniew wdepnął gaz

i ruszyliśmy. Setka zombiaków odprowadziła nas wzrokiem, a potem zabrała się za konsumowanie dresiarza. Usłyszeliśmy jego wrzask.

— * —

- Requiescat in pace - mruknął Nietopyr. - Ktoś musi umrzeć, aby żyć mógł ktoś.

Ach, dresiarzki tuning. Jak oni to robią? Maluch rozwijał prędkości, o jakie nigdy bym go nie posądział. Budzigniew zaś prowadził zaskakująco dobrze; przeważnie mieścił się w zakrętach i nawet nikogo nie rozjechał. Do dziś jestem dla niego pełen podziwu.

Mknęliśmy ulicami Cielęcina. Pusto było, jeśli nie liczyć kilku snujących się smętnie zombiaków. Ludzie pozamykali się w domach, Amerykańców jakoś nie było widać. Zapewne musieli ściągnąć więcej oddziałów pod liceum. Nasi jak zwykle walczyli jak lwy.

- Jedź na działki - powiedziałem do Budzigniewa.

- A myślisz, że gdzie jadę?

- Nie wiem, ciężko mi powiedzieć.

Przejechaliśmy już bowiem dwukrotnie przez centrum, zahaczyliśmy o plac Pineckiego i osiedle Słoneczne. Odnosiłem wrażenie, że skupiony na kierowaniu pojazdem Budzigniew całkowicie zapomniał o nawigacji.

- Na działki jadę, tylko myślę tropy.

— * —

Budzigniew utrzymał malucha w jednym kawałku niemal do samego końca. Dopiero dojeżdżając do ogródków działkowych nie wyrobił i przypaskudził w słup trakcyjny. Nic nam się nie stało, ale maluch, że tak powiem, znacząco stracił na integralności. W sumie to niemal

rozleciał się na kawałki; odpadły drzwi i koła, oderwały się spore kawały jakiegoś żelastwa. W myśl zasady prawdopodobieństwa przynajmniej jedno z nas powinno było zasilić statystykę ofiar śmiertelnych wypadków drogowych. Ręka, którą ścisnąłem Pentagram Protekcyi, spocila mi się tak bardzo, że zaistniało ryzyko rozpuszczenia amuletu.

- O jasny gwint - wykrztusił Nietopyr, gdy wydostał się z rozbitego malucha. - Ale żeśmy kraknę zaliczyli.

- Nigdy więcej - jęknęła Mała, spoglądając na felgę toczącą się powoli w stronę placu zabaw. A Budzigniew był zachwycony.

- Następnym razem też prowadzę - oznajmił. - Tylko weźmiemy coś większego.

Poczłapaliśmy w stronę mojego ogródka. Otworzyłem bramkę. Rozsiedliśmy się na ławce przed altanką.

- Co za skurwiele - powiedziałem. - Żeby sojuszników w zombiaki zamieniać...

- Amerykańce - podsumował Nietopyr.

- Ciekawe, co teraz zrobią - zamyśliła się Mała. - Pewnie tradycyjnie: jak już narobili burdelu, to zwieją.

- To by było w ich stylu - przyznałem.

- Byle tylko jakiejś atomówki nie zrzucili, żeby zatuszować ślady - zaniepokoił się Budzigniew.

- Chyba nie zrzucą - skrzywiła się Mała. - Jak by się potem z tego wytłumaczyli?

- Powiedzieliby, że w Cielęcinie odnalazła się broń jądrowa Saddama, kupiona dwadzieścia lat temu od Ruskich i eksplodowała ze starości.

Rozmowa nam się urwała. Wsłuchaliśmy się w świergot ptaków.

- Może coś pokażą w telewizji. - powiedziałem. - Chodźcie, zobczymy.

Otworzyłem altankę i weszliśmy do środka. Miałem tam stary telewizor, a na dachu była antena satelitarna. Zasiedliśmy na krzesłach ogrodowych, stanowiących obok dwóch łóżek polowych, stołu i toaletki trzon umeblowania. Włączyłem znany kanał informacyjny.

O wydarzeniach w Cielęcinie nie wspomnieli ani słowem. Dowiedzieliśmy się za to o kolejnej aferze rządowej i powołaniu nowej komisji śledczej, w celu zbadania zasadności powołania poprzednich komisji.

- Tak jak myślałem - stwierdziłem. - Nikt się o niczym nie dowie.

- A na co liczyłeś? - Nietopyr uśmiechnął się pobłaźliwie. - Przecież media są kontrolowane.

Wyłączyłem telewizor.

- Może wina? - zaproponowałem. Wszyscy przytaknęli zgodnie.

Poszedłem do drugiego pomieszczenia. Było znacznie mniejsze, zaprojektowane jako składzik na narzędzia. Mieściły się tam tylko wąska szafka i lodówka turystyczna. Wydobylem z szafy butelkę rubinowego trunku i cztery szklanki. Po drodze minąłem lustro.

- Mówiłem ci już, że zajebicie wyglądasz? - zagadnęło odbicie.

- Zamknij się - warknąłem.

Niewiele rzeczy irytuje bardziej niż okna do lustrzanych wymiarów.

Wróciłem do compadres. Uprzątnąłem ze stołu pozostałości po wczorajszej sesji i rozstawiłem szklanki.

- A co, jeśli przyjdą? - zapytał Budzigniew.

- To im też należymy - uśmiechnąłem się krzywo.

— * —

Nie przyszli. Przesiedzieliśmy w altance resztę dnia. Podjęliśmy decyzję, że nazajutrz rano pójdziemy do miasta sprawdzić, jak rozwija się sytuacja. Nietopyr i Mała chcieli iść do domów, ale ich z Budzigniewem nie puściliśmy. Jeszcze coś by się im stało. Nocowali więc z nami.

Noc minęła spokojnie. Obudziliśmy się niemal wypoczęci, co zaskakiwało, zważywszy na średnio komfortowe warunki. Wyrzebałem się spod Małej i nóg

Budzigniewa, przeciągnąłem, wstałem i wypilem kilka łyčzków wina.

- Dzieńdoberek - powiedziałem. - Jak się spało?

- W porządku - odparła Mała. - Tylko przytyj trochę, niewygodnie kościsty jesteś.

Ta bezpośredniość wskazywała, że obecnym jestestwem Małej było Ja. Oznaczało to Małą chłodną, analityczną i z feministycznymi ciągotami. Wolałem lekko szaloną Chyba Ja, ale i tak cieszyłem się, że nie przestawiła się na Coś Trzeciego. Wtedy była straszna; lakierowała paznokcie na czarno, mrucała bez przerwy do siebie i przebąkiwała o sado-maso.

- Nieźle się spało - mruknął Budzigniew. - Chociaż znowu mnie imperialiści budzili. Jest jeszcze wino?

Podąłem mu butelkę.

- Znowu latali? - zapytałem. Skinął głową.

-No.

- Witaj świecie - przeciągnął się Nietopyr. - Żyjemy?

- Ja tak. Za ciebie nie ręczę.

Przyniosłem z szafy kilka bułek. Zjedliśmy je w charakterze śniadania, popijając winem. Potem wykradliśmy z sąsiedniej działki trochę porzeczek i udaliśmy się na rekonesans.

— * —

W Cielęcinnie panował nieoczekiwany spokój. Ot, majowy dzionek w prowincjonalnym miasteczku. Emerycy wyprowadzali pieski na spacer, sennymi uliczkami z rzadka przetaczały się samochody. Nikt nie usiłował spożyć mózgu bliźniego i wyglądało na to, że wszystko wróciło do normy.

- Dziwne - stwierdziła Mała. - Nie sądzicie? Sądziliśmy.

- Żadnych Amerykańców na ulicach - powiedział Nietopyr. - I zombiaki jakby znikły.

- To mocno podejrzane - rzekł Budzigniew. - Lepiej uważajmy.

Poszliśmy do szkoły. Była zamknięta. Na drzwiach wisiała ulotka informująca, że: z przyczyn niezależnych w dniu dzisiejszym lekcji nie będzie; post scriptum: nie ciescie się, bo przenosimy je na sobotę.

- To chyba nie jest do końca zgodne z prawem - powątpiewał Budzigniew.

Ściany liceum zdobił szereg dziur po kulach. Na ziemi było trochę rubinowych plam krwi i okruchów szkła z wybitych okien, ze śmietnika zaś wystawała noga. Nic niezwykłego. Odbyła się tu bitwa, zgoda, ale przecież zdarzały się już większe demolki. Jak choćby w zeszłym roku, gdy niejaki Kajtek, nie uzyskawszy promocji do klasy następnej, przybył na apel z panzerfaustem.

Cielęcińska codzienność.

Nagle krzaki za barierkami poruszyły się i wyszło z nich coś przygarbionego i z grubsza człekokształtnego. Ruszyło w naszą stronę i wtedy rozpoznałem w nim Krzywego, kumpla z klasy. Nie było go wczoraj na biologii.

Zaniepokoił mnie jego wygląd. Krzywy był chorobliwie blady, miał zaczerwienione oczy i uśmiechał się głupio, a jego ruchy były ślamazarne i ociężałe. Gotów na wszystko schyliłem się i podniosłem spory kawałek szkła.

- Modrzew, spokojnie - Mała chwyciła mnie za ramię. - On się po prostu upalił.

- Myślisz? - zapytałem nieufnie.

- Jasne, nie pamiętasz biwaku?

Rzeczywiście, na biwaku Krzywy wyglądał dokładnie tak, jak teraz. Marihuanę palił nałogowo od czwartego roku życia i **THC** weszło w trwałą reakcję z jego **DNA**. Jeśli kiedyś

będzie miał dzieci, to prawdopodobnie urodzą się już upalone. Krzywy był po prostu przykładem doskonałej symbiozy człowieka z konopiami indyjskimi.

- Yo brothers - przywitał nas.

- Czołem - odparliśmy. - Co tutaj robisz?

- Jaram.

- To widzimy. A poza tym?

- Poza tym to nic.

Mała westchnęła.

- Skąd się tu wziąłeś?

- A przyszedłem se wczoraj do szkoły i tak zostałem.

- Przecież nie było cię wczoraj na lekcjach - zauważyłem.

Uśmiech Krzywego poszerzył się znacznie.

- A czy powiedziałem, że przyszedłem na lekcje? Gucio dostał najprzedniejszy holenderski stuff i rozumiesz. Siedzieliśmy se na ławeczce i filtrowaliśmy.

- Rozumiem.

- A jak zobaczyliśmy, że jadą Amerykance, to schowaliśmy się w krzaki. Bo to nigdy nie wiadomo. A potem zaczęła się ta rozróżba... - w opuchniętych oczkach Krzywego zakręciła się łza. - I zabili gnoje Gucia, niech go Jah ma w swej opiece. Zostawił biedak lufkę na ławeczce. Mówię mu, zostań, nie idź, a on na to, że nie, że tyle lat mu wiernie służyła, że nie zostawi jej na pastwę faszystów. I pobiegł. Już myślałem, że mu się uda, tyle przebiegł pod ostrzałem...

Przerwał i nabrał powietrza w wypalone płuca.

- Dopiero jak wracał, to go trafili - kontynuował. - Ranny zdołał jeszcze dobiec do krzaków, przekazał mi lufkę i dopiero wtedy umarł. To była bohaterska śmierć... Ostatkiem sił zdążył jeszcze wyszeptać, żebym zjarał jego część. Właśnie wypełniam jego ostatnią wolę...

Chwilą ciszy uczciliśmy pamięć bohaterskiego Gucia.

- Pocieszam się, że kurwę biologię dosięgła sprawiedliwość - Krzywy otarł łzy. - Nie wiem, czy wiecie, ale nareszcie szlag ją trafił... Widziałem, jak ją nasi wynosili, jak już odparli atak.

- Odparli?

- No mówię. Łysy od **PO** wyciągnął jakąś armatę i ładował w faszystów jak w kaczki... Zwiali.

- A co się działo potem? Wiesz, zombiaki...

Na twarzy Krzywego odmalowało się zaskoczenie.

- To wy też je widzieliście? O kurde... A już myślałem, że to ten holenderski stuff... Już się cieszyłem, że taka faza... Że wreszcie jarałem towar pierwszej klasy, wiecie, halucynacje i w ogóle... A to wszystko było naprawdę? Na Jaha, co za rozczarowanie!

- Bardzo nam przykro.

- Eee... No to potem przyszli kolesie w strojach jak z elektrowni atomowych i uprzątnęli zwłoki. A w nocy pierdoleni faszyści rozsypali na miasto jakiś świecący proszek i zombiaki zaczęły zdychać. Skrecało je, odpadały im kończyny... Istny kosmos. Myślałem, że to mi faza schodzi. A wy mówicie, że to wszystko było naprawdę...?

- I wszystko jasne - mruknęła Mała. - Amerykance przeprowadzili swój eksperyment do końca i zneutralizowali jego skutki. Zombiaki znikły. Wszystko pozostanie w tajemnicy... Odeszliśmy, pozostawiając zrozpaczonego Krzywego. Mruczał coś pod adresem Gucia i podrobionego stuffu.

— * —

Tak kończy się ta historia.

Gdzieniedzie walały się jeszcze drobne kawałki zombiaków, ale służby porządkowe działały sprawnie i wkrótce z miasta znikły ostatnie ślady amerykańskiego eksperymentu. „Głos Cielecina” wspominał wprawdzie potem o pewnym incydencie, który miał miejsce pod koniec maja, ale nie rozpisywał się zbytnio. Wiadomo. Ludzie szybko o wszystkim zapomnieli.

O bohaterstwie Gucia i Fafika powstały legendy. Powiadają, że na Guciovym grobie wyrosła samosiejka niespotykanych rozmiarów i idealnego kształtu, której widok nie pozwalał się smucić tłumnie przybywającym nieutulonym w żalu narkosom. Fafik zaś, wydalony ze szkoły, stał się symbolem walki o wolność i zbrojnego powstania przeciw niesprawiedliwej władzy. Jego gazrurkę przechowywano jak relikwię.

Za Andzią nikt tak naprawdę nie tęsknił, bo była wredną kujonką. Przepadł za to zapowiedziany sprawdzian z biologii, a zastępstwa nie udało się zorganizować do końca roku.

Wielki powrót von Keisera

Prolog

*W srebrnym, księżycowym
świetle nawet zapyziałe uliczki
Cielecina miały w sobie coś
bajkowego. Zapominało się
o odrapanych budynkach
i całym małomiasteczkowym
syfie. →*

Na pierwszy plan pchała się masa szczegółów, na które normalnie nikt nie zwracał uwagi. Nie szło się, tylko płynęło chodnikami.

Zwłaszcza trzymając pod rękę Małą.

W czystym i rześkim powietrzu unosił się zapach niedawnego deszczu. Cholernie romantycznie było, jak to w czerwcową noc.

Aż przykro się rozstawać.

- Nie idź jeszcze - poprosiła Mała, gdy stanęliśmy przed jej domem.

- Muszę. Nie chcę, ale muszę. Sama wiesz.

- Wiem - westchnęła. Pocałowaliśmy się na pożegnanie.

I poszła do domu. Ja zaś ruszyłem w swoją stronę. Musiałem się śpieszyć, wybrałem więc bardziej ryzykowną trasę przez plac zabaw i garaże. Sobotnią nocą prawdopodobieństwo natknięcia się tam na męty wzrastało, ale nie miałem wyboru. Włożyłem rękę do kieszeni i poczułem uspokajający chłód pojemnika dezodorantu, przerobionego na rozpylacz gazu obezwładniającego. Trzeba umieć sobie radzić, jeśli się mieszka w takim mieście.

Miałem szczęście. Żadnych krwiożerczych ćpunów akurat nie było. Niepokoiły za to wysprejowane na ścianie garażu swastyki i faszystowskie hasła. Nie, żeby była to rzadkość. Chodziło o to, że plugastwo świeciło. A to oznaczało problem. Fosforyzujący sprej był cholernie drogi, na jego użycie zdecydować się mógł tylko ktoś naprawdę oddany sprawie.

Innymi słowy: w Cielęcinie musieli się pojawić skinheadzi.

Nie wróżyło to niczego dobrego.

1.

W zamyśleniu bawiłem się kostką. Siedzieliśmy w altance wokół stołu zastawionego erpegowymi akcesoriami i wypatrywaliśmy Budzigniewa.

Czekaliśmy już ponad godzinę. Niebo zdążyło zasnuć się chmurami i w każdej chwili mogła rozpuścić się ulewa.

Najbardziej denerwował się Nietopyr. Od tygodnia prowadził grę i absencję Budzigniewa traktował jak osobistą obrazę.

- Co on, w kulki leci?

- Przyjdzie - uspokajałem. - Wiesz, jak jest z Budzigniewem. Zaspał, albo coś.

- Mam nadzieję, że nic mu się nie stało - mruknęła Mała.

W chwili obecnej w trójdzielnym umyśle Małej dominowało Chyba Ja. W każdej dziewczynie mieszkają różne natury. U Małej po prostu sięgnęło to ekstremum.

Błysnęło. Gdzieś daleko odezwał się grzmot.

- Chyba już pójdę - wymamrotał Krzywy. Spotkałem go wczoraj - rozpaczliwie pełził przez park, nie mogąc utrzymać pionu. Mogła mu się stać krzywda, tym bardziej że chyba zmierzał ku przejściu dla pieszych. Poczulem żal i postanowiłem wziąć go ze sobą, żeby przekimał w altance, póki się nie zdetoksykuje.

- Zaczekaj może trochę - powiedziałem. - Zobacz, jaka pogoda.

- A tam - machnął ręką. - Otrzeźwi mnie trochę. Na ziemię spadły pierwsze krople.

— * —

Kwadrans mijał za kwadransem, a Budzigniewa wciąż nie było. Na zewnątrz rozszalała się burza.

- Teraz to już chyba nie przyjdzie - westchnął Nietopyr. - Cholera, powinniśmy sobie komórki posprawiać. Zaraz byśmy się dowiedzieli, co z nim...

- Wypluj te słowa - warknąłem. - Komórki służą praniu mózgow. To element podstępного planu wroga, pragnącego zmienić nas w niewolników. Jako prawdziwi anarchiści...

- Dobra, dobra - Nietopyr przerwał mi brutalnie. - Wiemy.

Gdzieś niedaleko pierdyknął piorun. Grzmot był taki, że się altanka zatrzęsła.

I naraz otwarły się drzwi. Stał w nich nie kto inny, jak Budzigniew. Ściekała z niego woda, a bujne loki posklejały się żałośnie. Miał zadyszkę, ledwo łapał oddech.

- Budzigniew, bracie - zawołaliśmy. - Co się stało? Potoczył nieprzytomnym wzrokiem.

- Wina - wychrypiał.

Natychmiast podałem butelkę. Pił długo, a gdy skończył, ciężko opadł na krzesło.

- O Jezu! - powiedział. - Żyję. Żyję. Żyję.

- Mów, co się stało - zawołała zaniepokojona Mała.

- To może zacznę od początku - wykrztusił. - Jest jeszcze wino?

- Całą butelkę osuszyłeś? - warknąłem.

- Modrzew, amigo, nie żałuj - stęknął. - Nie po tym, co przeszedłem.

Nietopyr bez słowa wyciągnął butelkę spod stołu. Budzigniew przyjął ją z namaszczeniem i wlał w siebie kilka łyków. Potem jeszcze kilka.

- Dzięki - rzekł, ocierając usta wierzchem dłoni. - No więc tak. Idę sobie rano do was, w erpega pograć, jak zawsze. Przechodzę koło poczty, patrzę, a tu na murze wielka swastyka i naziolskie haselka. Co za bezczelność, myślę sobie. Rozejrzałem się, nie było akurat nikogo w pobliżu. No to wyciągnąłem markerka i wziąłem się za poprawianie wydźwięku ideologicznego.

- Markerem? - zdziwiła się Mała.

- No, tam jest gładka elewacja, można by spokojnie pisać nawet gównianym flamastrem, a co dopiero moim markerem, trzydzieści złotych za niego dałem... Więc poprawiłem kilka naziolskich hasełek, aż tu zza kiosku, wiecie, po drugiej stronie ulicy, wyskakuje... Nie uwierzycie. Siedmiu skinów.

- Jednak - mruknąłem.

- W szoku byłem, no bo skąd skini w Cielęcinnie. A oni co? Bejzbole powyciągali z nogawek i dawaj w moją stronę! No to zwiewam. Szkoda, że na wuefach tak nie biegam, bo jak nie pękłoby kilka rekordów szkoły.

- Długo cię gonili?

- No. Jakies półtorej godziny.

- Ile?!

- Mówię przecież. Jakieś półtorej godziny. Nóg nie czuję i w ogóle chyba umrę. Dobrzy byli, skubani... Gdybym ich nie zgubił w lesie, pewnie by mnie dopadli.

- Uciekłeś im aż do lasu?

- No. Kilka kółek po mieście zrobiłem, a potem pobiegłem do lasu, tam za stawami, wiecie gdzie.

Wiedzieliśmy. Stąd mniej więcej cztery kilometry.

- Stary - powiedział z podziwem Nietopyr. - Ty to jednak masz pałera. Biec tak bez przerwy przez półtorej godziny...

- To dlatego, że ciągle krzyczeli, co mi zrobią, jak mnie złapią.

— * —

Do Cielęcina zawitali skinheadzi. Opowieść Budzigniewa potwierdziła moje przypuszczenia. Wokół tłukły pioruny i huczały grzmoty. Siedzieliśmy w altance pogrążeni w niewesołych myślach. Zmordowany Budzigniew zasnął, ułożyliśmy go na łóżku polowym. O graniu w erpega mogliśmy zapomnieć.

2.

Kolejne dni obfitowały w nieprzyjemne niespodzianki. Swastyki pojawiały się w całym mieście. Nawet szpital i komisariat policji miały już po jednej. Że nie wspomnę o kościele.

Wszystko to od biedy mogłem zrozumieć - pieprzeni faszyci znaczyli teren.

Ale to, co stało się w środę, nie mieściło mi się w głowie.

Chlubą Cielęcina jest Kabeltech, nowoczesny zakład wytwarzający wiązki kablowe. Przed paroma laty założyła go polsko-niemiecka spółka i jak do tej pory nie było z nim żadnych problemów. Zatrudniał kilkaset osób i wszystko było w porządku. Aż do środy.

W środę Kabeltech wywiesił faszystowskie flagi i przekwalifikował się na zakład zbrojeniowy.

Tak po prostu. Nikt nie protestował, bo ponoć zapowiedziano podwyżki.

Już wtedy każde wyjście do miasta było grą w rosyjską ruletkę. Nie natknąłem się wprawdzie na skinów, ale ludzie mówili, iż jest ich coraz więcej. Najgorsze, że nie byli to tylko skini

przyjezdni. Miejscowa młodzież masowo goliła głowy, zaopatrywała się w tłumaczenia „Mein Kampf” i ochoczo brała się za zwalczanie wszelkich przejawów indywidualności.

Sporo indywidualności wylądowało w szpitalu.

Trochę się nad tym zastanawiałem i zawsze dochodziłem do wniosku, że my również jesteśmy indywidualnościami i to nawet grubszego kalibru. W tych okolicznościach nie była to wesoła myśl. Owszem, ciągle miałem ochronny Pentagram Protekcji, ale cóż on znaczył wobec tylu wrogów? Strach było działkę opuszczać.

A w dodatku czułem się coraz gorzej. Stałem się apatyczny, bolała mnie głowa. Pojawiła się dokuczliwa wysypka, ciekło mi z nosa. Byłem uczulony na faszyzm.

W piątek stwierdziłem, że dłużej nie dam rady.

- Słuchajcie - powiedziałem. - Nie mam pojęcia, co się tu dzieje, ale coś z tym musimy zrobić. Siedzieliśmy w altance i opróżnialiśmy butelki truskawkowego wina w ciężkim, wymownym milczeniu. Powietrze zgęstniało od dymu z kadzidełek i w ogóle było onirycznie.

- Niby co? - czknął Budzigniew. - Niby co możemy zrobić?

Mała i Nietopyr spojrzeli na mnie wyczekująco. Uśmiechnąłem się ponuro. Byłem zdesperowany.

- Zasięgnijemy rady u Dyzia.

— * —

Pociągnąłem za sobą bramkę. Zamknęła się ze zgrzytem; zdecydowanie wymagała naoliwienia.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? - nieśmiało zapytał Nietopyr.

- Nie - odparłem szczerze.

Dyzio mieszkał na działce, tak samo jak ja. Był człowiekiem absolutnie wolnym. Miał siedemdziesiąt lat i był hipisem. W roku 1992 zdołał osiągnąć stan nirwany i jego umysł rozpląnął się w nicości, aby dwa lata później szczęśliwie się odnaleźć w którymś z wymiarów wyższego rzędu. Od tamtej pory Dyzio właściwie nie przerywał medytacji.

Był krynicą mądrości, ale obcowanie z nim groziło nieodwracalnymi zmianami w psychice.

- Znasz go dobrze? - zapytała Mała.

- Nikt nie zna go dobrze - odparłem. - Ale wydaje mi się, że mnie lubi. Raz pożyczył ode mnie szklankę mleka.

- Był u ciebie?

- W pewnym sensie. Dokonał projekcji swej astralnej jaźni na moim suficie.

- No tak.

- Żebyś wiedziała. Poprosił, żebym do niego przyszedł i wlał mu do ust dwieście pięćdziesiąt mililitrów mleka, bo czuł, że mu poziom wapnia w organizmie niepokojąco spada, a nie chciał opuścić siedemnastego wymiaru.

- Kiedy to było?

- Niecały rok temu. Potem w żaden sposób się z nim nie kontaktowałem.

- To jaką mamy pewność, że on w ogóle żyje?

- Żadnej. A co?

- Nie, nic. Tak tylko pytam.

— * —

Działka Dyzia przypominała dżunglę. Chwasty dorównywały wysokością drzewkom owocowym; hipopotam skryłby się w nich swobodnie.

- Tak będzie wkrótce twój ogródek wyglądał - stwierdził Nietopyr, rozglądając się czujnie. - O ile się nie weźmiesz za pielenie.

- Ty mi już nie wypominaj - mruknąłem. - U ciebie w pokoju bajzel jest taki, że...

- Żaden bajzel. Ja hoduję entropię.

- Tłumacz to tak sobie, tłumacz.

Spomiędzy zarośli wyglądała altanka, w której spodziewałem się zastać hipisa. Przedzierając się przez chwasty podszedłem pod drzwi. Reszta podążyła za mną.

Zapukałem delikatnie. Zgodnie z moimi przewidywaniami nie wywołało to żadnej reakcji.

- I co teraz? - zapytała Mała.

Wzruszyłem ramionami i napałem ramieniem. Drzwi otwały się, skrzypiąc przeraźliwie. Wszedłem do środka.

Dyzio trwał w pozycji kwiatu lotosu, kwitując metr nad podłogą. Miał na sobie koszulę w kwiaty i wypłowiałe dzinsy, z szyi zwisał sznur koralu. Bujna, sięgająca podłogi siwa broda dyndała luźno, poruszając się leciutko w rytm zwolnionego oddechu. Starego hipisa pokrywała gruba warstwa kurzu; kurz unosił się też w powietrzu, wszędzie walały się jego kłęby.

Wyczuwałem specyficzną aurę przepelnioną mistycyzmem.

- O kurwa - mruknął Budzigniew za moimi plecami.

- Niesamowite - szepnęła Mała. Ostrożnie podszedłem bliżej.

- Przepraszam, panie Dyziu - zagaiłem, skłoniwszy się z szacunkiem. Czulem na plecach zimny pot. - Potrzebujemy pana pomocy.

Dyzio nie zareagował. Zupełnie ignorował naszą obecność.

- Panie Dyziu, to ja, Modrzew. Pamięta mnie pan? Zero reakcji.

- Dzień dobry, panie Dyziu - spróbowała Mała. -Czy nie zechciałby pan udzielić nam pomocy?

Nic. Nawet oka nie otworzył.

- I co teraz? - zapytał Nietopyr. Zastanowiłem się.

- Może próbujemy zbyt oficjalnie? Toż to hipis, pewnie brzydzi się oficjalnym językiem...

Budzigniew wysunął się do przodu, nabrał w płuca powietrza i wypalił:

- Witaj bracie! Czyż nie należy wspierać bliźnich? Pomagajmy sobie nawzajem, a świat będzie lepszy, nastanie Era Wodnika. Prosimy cię... - przerwał i po chwili: -...w imię pokoju, miłości i LSD - spuentował zgrabnie.

Twarz Dyzia jakby drgnęła.

- Teraz wiem - uśmiechnęła się Mała. Wzięła głęboki wdech i zaczęła nucić „Yellow Submarine“, klaszcząc i przytupując do rytmu.

Szczery uśmiech rozjaśnił zakurzoną twarz.

Otworzył oczy, zatrzepotał powiekami i spojrzał na nas. Dzięki Bogu, przyjaźnie. Po mieście krążyły legendy o tym, co spotkało Bolka i Smerfojagodę, którzy przerwali medytację Dyzia złośliwym żartem. Bolek od tamtego czasu nie przestawał się ślinić, Smerfojagoda zaś usiłował rozmawiać z bakłazanem, którego za nic nie dawał sobie odebrać.

- Witajcie, bracia - przemówił Dyzio. - Czemu zawdzięczam waszą wizytę?

Pokrótkie opowiedziałem mu o wzroście ciągot faszystowskich w cielecińskiej społeczności, o skinach i zdradzie Kabeltechu. Dyzio wyraźnie się zmartwił i milczał przez dłuższą chwilę.

Nie od razu się odezwał, a i to ważąc słowa:

- Cóż, obawiam się najgorszego. Bracia, tak silne faszyzowanie może oznaczać tylko jedno.

Powrót von Kei-sera.

- Eeee? - wyrwało się Budzigniewowi. - Kogo?

- Erich von Keiser - mruknęła Mała. - Lokalny burżuj. Przed wojną miał w niemieckim wówczas Zielenzig, czyli dzisiejszym Cielecinie, kilka fabryk, sporo kamienic i bodajże tartak.

- Zgadza się - powiedział Dyzio. - A przy tym był szczerze oddany Hitlerowi i całkowicie przesiąkł zbrodniczą ideologią. Był diabelnie charyzmatyczny, jako burmistrz cieszył się ogromnym poparciem i nawet wróżono mu awans na wysokie stanowisko w Rzeszy. Gdy zginął, mieszkańcy miasta płakali za nim jak za własnym ojcem. Potrafił przekonywać ludzi. Nawet jego zwłoki silnie faszyzowały, dlatego po zwycięstwie Ruscy gdzieś je wywieźli.

- W jaki sposób zginął? - zainteresował się Nietopyr.
- W czterdziestym czwartym zatrul się grzybami.
- I teraz powraca?
- Zapowiedział, że powróci.
- Tak po prostu? Dyzio pokręcił głową.
- Jak niemal każdy z ówczesnej niemieckiej elity, von Keiser pasjonował się okultyzmem. Było to wówczas bardzo modne. Z prawdziwym okultyzmem zabawy faszystowskich snobów nie miały zbyt wiele wspólnego, ale von Keiser naprawdę wierzył, że dzięki pomocy sił z drugiej, że tak powiem, strony, pewnego dnia powróci na swe włości. Gwarantuję wam, że owe siły miały go gdzieś, no, ale wiara potrafi czynić cuda...
- Zapowiedział, po co powróci? - nie ustawał w dociekaniach Nietopyr.
- Nie. Cholera go wie.
- Hmm - zastanowiła się Mała, marszcząc czoło. - Po co może powracać von Keiser, niemiecki burżuj, do tego faszysta fanatyk?
Samo zestawienie określeń sugerowało nachalnie, że po nic dobrego.
- I co ma z tym wspólnego Kabeltech? - mruknął Budzigniew.
- To akurat proste - powiedział Dyzio. - Niemiecki właściciel zakładu jest potomkiem von Keisera i nic dziwnego, że był najbardziej podatny na faszyzowanie towarzyszące jego powrotowi.
- Czy jego powrót już się dokonał? - zapytała Mała. Dyzio milczał. Wpatrywaliśmy się weń z napięciem:
- Nie sądzę - rzekł w końcu. - Ciągłe wyczuwam wzrost napięcia pola faszyzującego. Gdy von Keiser przybędzie, pole nieco osłabnie, ulegnie stabilizacji. Nie czujecie tego?
Uśmiechnąłem się ponuro.
- Aż mnie na rzyganie bierze.
- Z każdą chwilą Erich von Keiser staje się coraz bardziej materialny. Im bliżej do pełnego zmaterializowania, tym gorzej będziesz się czuł. Masz wyjątkowo silne uczulenie na faszyzm, bracie.
- Wiem - westchnąłem. - Odczuwam wyraźny dyskomfort już na widok zwykłej swastyki czy krzyża celtyckiego, a co dopiero teraz... Musimy się szkopa pozbyć, albo zwariuję.
- Właśnie - podchwycił Nietopyr. - Czy można go normalnie... zabić?
- Jasne - Dyzio spojrzał na niego. - Ale czyż godzi się zabijać człowieka?
- Człowieka? - zdziwił się Budzigniew.
- Faszysta też człowiek. Nie trzeba zaraz zabijać...

- To niby jak mamy go... zneutralizować?

- Użyjcie tego. To Boski Liść. - Dyzio sięgnął do kieszeni. - Potężny artefakt. Potrafi całkowicie zniwelować wpływ pola faszyzującego, a gdy zetknie się z jego źródłem, oczyści je, wchłaniając całą negatywną energię.

Przyjąłem artefakt z należną czcią. Wyglądał jak odlany ze złota liść gandzi i lśnił leciutko; poczułem delikatne mrowienie.

- Nie mogę bardziej wam pomóc - Dyzio rozłożył ręce. - Wybaczcie, bracia, lecz muszę wrócić do medytacji.

- Chwila - ocknęła się Mała. - A niby gdzie się ten skurczysyn pojawi?

Ale Dyzio już jej nie słyszał. Jego umysł ponownie przeniósł się do wyższego wymiaru i rzeczy doczesne przestały go interesować.

— * —

- I co teraz? - zapytała Mała. Długo nie znajdowałem odpowiedzi.

- A bo ja wiem - mruknąłem w końcu. - Nie mam pomysłów.

Sytuacja wyglądała tak: wiedzieliśmy, w jaki sposób pokonać von Keisera, ale nie mieliśmy pojęcia, gdzie on jest, albo raczej - gdzie go jeszcze nie ma, ale wkrótce będzie.

Kretynizm.

- Nie wyczuwasz go? - zapytał Budzigniew.

- Wyczuwam sam faszyzm - odparłem. - To tak jak z pyłkami. Wyczujesz je, jeśli jesteś uczulony, ale nie określisz w ten sposób położenia pyłającego drzewa.

- Aha. Szkoda.

Pogrążyliśmy się w smętnym milczeniu. Krople deszczu rozbijały się o szyby. Z drugiego krańca ogródków działkowych dobiegało wściekłe ujadanie Burka, psa Nowaków.

I wtedy właśnie...

- Słuchajcie - zacząłem. - Właśnie przyszedł mi do głowy pewien pomysł...

3.

Walka była krótka, ale bardzo zacięta.

- Rozbrajający brak wyobraźni - mruknął Budzigniew, otrzepując ręce.

- Co nie? - skrzywił się Nietopyr. Miał pecha, do-sięgnął go jeden z ciosów i teraz rozmasowywał sobie obolałe przedramię.

- Ja tego nigdy nie zrozumieję - rzekła Mała. - Jak tak można? Przecież to trzeba być naprawdę debilem...

- Młode to jeszcze - uśmiechnąłem się. - Niedoświadczone.

No bo widzicie... Żaden z wojowniczych skinów, którzy wyskoczyli zniemacka z ciemnego zaułka, nie mógł mieć więcej niż trzynaście lat. I niż metr sześćdziesiąt wzrostu.

Wyposażeni w Boski Liść, wcale nie ryzykowaliśmy. Roślejsze, bardziej ustabilizowane ideowo egzemplarze cieleńskich faszystów omijały nas szerokim łukiem; słusznie zakładałem, iż na bezpośrednią konfrontację zdecydować się może jedynie niewyrobiany narybek.

Dzieciaki, które chwilowo przedkładały narodowy socjalizm nad pokemony, z definicji nie bardzo wiedziały, o co chodzi - a moc działania artefaktu zależała od stopnia zindoktrynowania.

Czyli na pozerów nie działał.

- W faszystów się bawimy, tak? - Budzigniew trącił butem jednego z siedzących na chodniku i szlochających skinów.

- Ty, a może za mocno ich stłukiliśmy? - zaniepokoił się Nietopyr. Żaden z młodocianych skinów nie podnosił się bowiem z chodnika, płakali za to coraz głośniej.

- Nie sądzę - odparłem. - Po prostu bardzo przeżywają porażkę. Pewnie im wmawiano, że faszyzm jest niepokonany.

- Co z nimi teraz zrobimy? - zapytała Mała.

- Bierzymy jednego - odparłem. - Reszta niech spada do domów, bo jest późno i różne się typy kręcą po ulicach.

Odwróciłem się do nich.

- Dobra - przybrałem groźną minę. - Który jest najstarszy?

- Wojtek - młodociany skin z kozakami wskazał swojego kompana, połykając łzy.

- Konfident - syknął tamten.

- Idziesz z nami po dobroci, czy mamy zastosować przymus bezpośredni? - uprzejmie zapytał Budzigniew.

- Nigdzie nie pójde - warknął Wojtek, patrząc na Budzigniewa spode łba. Zalane łzami oczy psuły cały efekt.

- Jak tam sobie chcesz. Modrzew, gaz.

- Zaczekajcie - pisnął przerażony Wojtek. - Idę z wami.

- No widzisz - Mała poklepała go po łysej głowie. - Grzeczny chłopak.

— * —

W altance Wojtek ponownie poczuł bojowego ducha.

- Nic wam nie powiem! - krzyknął, gdy przywiązaliśmy go do krzesła.

- Ależ oczywiście - mruknął Budzigniew, krępując mu z tyłu ręce. - Zobacz Modrzew, może być?

- Chyba tak - odparłem, obejrawszy węzły. Wyglądały na solidne; zresztą bez przesady, ciężko było posadzać trzynastoletniego skina o herkulesową siłę.

- Nie zastraszcicie mnie! Nic wam nie powiem!

- Jak uważasz - westchnął Budzigniew.

— * —

Cztery godziny później zaczęło świtać. Kleiły nam się oczy i dosłownie chwialiśmy się ze zmęczenia. Wojtek ciągle siedział przywiązany do krzesła i kategorycznie odmawiał podjęcia współpracy. Na jego twarzy malował się triumf.

Nie wiem, jakim cudem wytrzymał tak długo. Nałożyliśmy mu słuchawki i puściliśmy z walkmana muzykę biesiadną, wybierając oczywiście prawdziwe perły, absolutną klasykę wieśniactwa. Nikt normalny nie byłby w stanie słuchać tego dłużej niż pół godziny.

Wojtek wytrzymał prawie dwie, aż siadły baterie.

Zastosowaliśmy wobec tego szalenie wyrafinowaną torturę, zaczerpniętą z najlepszych chińskich wzorców. Upuszczaliśmy mu na głowę po kropelce wody, wykorzystując przemyślną instalację, składającą się z pięciolitrowej butli, węża ogrodowego, lejka, mechanizmu wymontowanego z zegara z kukułką i taśmy klejącej. Kap... kap... kap... kap... I tak przez półtorej godziny. Można oszaleć. Sam bym oszalał. A tymczasem nic. Wojtek pozostawał niewzruszony.

Łaskotanie również nie pomogło. Budzigniew dawał do zrozumienia, że czas porzucić metody humanitarne.

- Masz rację - zgodziłem się za którymś razem, nie na żarty poirytowany. - Użyjemy broni biologicznej.

W oczach Wojtka błysnęła pogarda.

- Trujcie mnie czym chcecie - powiedział. - Nic ze mnie nie wyciągniecie.

- Niczym nie będziemy cię truli. Twój organizm cię wykończy, chłopie.

- Zobaczymy.

- Z hormonami nie wygrasz - uśmiechnąłem się złośliwie. - Budzigniew, Nietopyr?

- Się rozumie - podnieśli się z krzesel i wyszli na zewnątrz.

- Drzwi zamknijcie, bo komarów naleci. W porządku - przysunąłem się bliżej Wojtka, otwierając zeszyt, w którym miałem zamiar zapisywać jego zeznania. -A może jednak z nami porozmawiasz?

- Pierdol się - odparł z dumą, delektując się własną nieugiętością.

- Dobra - westchnąłem. - Mała, miejmy to już z głowy.

Mała wstała i poszła do drugiego pomieszczenia, zaprojektowanego jako składzik na narzędzia, a służącego za spiżarnię. Nie wracała przez dłuższą chwilę; Wojtek wyraźnie się denerwował, choć dzielnie starał się nie dać po sobie nic poznać. Wreszcie drzwi się otwarły. Z uwagą obserwowałem twarz skina.

Oczy niemal wylazły mu z orbit, a facjata przybrała kolor głębokiej purpury. Żyłki na czole pulsowały groźnie. Usta otwarły się mimowolnie; wargę górną z dolną połączyła strużka śliny. Mała powoli przespacerowała się po pokoju, mając na sobie tylko koronkową, erotycznie sugestywną bieliznę. Wojtek wodził za nią oczami z miną tak makabrycznie głupią, że aż parsknąłem śmiechem.

- Może porozmawiamy? Odpowiedział mi nieskładny bełkot.

Czułem, że za chwilę będziemy go mieć. Mała spojrzała na mnie, kiwnąłem jej głową z uśmiechem.

Usiadła Wojtkowi na kolanach.

W pierwszej chwili wystraszyłem się, czy aby nie przesadzamy. Skin zrobił się bowiem siny, jakby zapomniał o oddychaniu. Naraz jednak przypomniałem sobie o wadze naszych działań i odrzuciłem skrupuły.

- Chcesz mi może coś powiedzieć? - zapytałem zimno.

Ach, jakąż wewnętrzną walkę musiał stoczyć Wojtek! Niemał czułem, jak ostatkiem sił dławi nęcącą myśl o poddaniu się, jak odrzuca chęć poproszenia o szklankę wody i zimny okład na czoło. Choć z wyrazem niewyobrażalnego cierpienia na twarzy, pokręcił przecząco głową.

- Okej - mruknąłem, serio już wkurzony, a mimo wszystko dziwiący się własnemu sadyzmowi. - Mała, czy mogłabyś przestawić się na Coś Trzeciego?

- Mogę spróbować - odparła. - Ale nie obiecuję, że się uda. Teraz dominuje Chyba Ja... To zwykle dzieje się spontanicznie, wiesz o tym...

Jasne, że wiedziałem. Jeszcze nie wszystkie rany po-goiły mi się po jej ostatniej spontanicznej przemianie.

- Bardzo cię proszę.

Mała przymknęła oczy. Gdy otworzyła je po chwili, nie miałem żadnych wątpliwości. To spojrzenie, ten błysk w oku... Należało się czym prędzej ewakuować.

Zerwałem się z krzesła i wybiegłem.

— * —

Po kilkunastu sekundach w ciszę świtu brutalnie wdarł się rozdzierający, mrozący krew w żyłach wrzask. Dobiegał z altanki.

- Wchodzimy? - zapytał Budzigniew, podchodząc do drzwi.

- Poczekaj chwilę - powstrzymałem go. - Dajmy jej chwilę czasu. Minutę.

- Jak uważasz. Wrzask przeszedł w pisk.

- Ładna dziś będzie pogoda - powiedział lekko poblady Nietopyr, patrząc w niebo.

- Prawda? - Ja też czułem się trochę niepewnie. - Jaskółki latają wysoko...

- Jaskółki? - wtrącił Budzigniew. - Gdzie ty tu widzisz jaskółki?

- Faktycznie, nie ma - ciągnąłem niewzruszony. - Ale motylki, uważasz...

Pisk przeszedł w szloch.

- Wchodzimy.

— * —

Przywiązany do krzesła Wojtek leżał na podłodze. Pochylała się nad nim Mała, ciągle w samej bieliźnie. Jeśli mnie wzrok nie mylił, drapała paznokciami jego łysinę, drugą ręką wyciskając na powstałe skaleczenia sok z cytryny. Skin szlochał spazmatycznie. Nietopyr zrobił się biały jak ściana.

- Jezu. Modrzew, zrób coś.

- Eee... Mała? - bąknąłem. - Możesz przestać?

- Nie - odpowiedziała, obracając się w moją stronę.

- Dlaczego?

- Bo mi się to podoba - rozplaszczyła wyciśniętą cytrynę na podrapanej głowie Wojtka.

Biedak jęknął słabo.

- Ratujcie - wyszeptał. - Powiem wam wszystko...

- Milcz, dupku! - syknęła Mała i dźgnęła go palcem w oko.

- Mała, zrozum, tak nie można - powiedziałem przymilnym głosem. - Nie pamiętasz, co mówił Dyzio? Skin też człowiek...

- Przecież zwierzątek bym nie męczyła - oburzyła się. - Są takie kochane - dodała, usiłując wtłoczyć Wojtkowi cytrynę do nosa.

Spojrzałem w stronę Budzigniewa.

- Budzigniew?

Wzruszył ramionami, mówiąc:

- To twoja dziewczyna.

Cóż miałem robić? Gdy do głosu dochodziło Coś Trzeciego, w starciu z Małą cholerny **GROM** nie miałby szans. Zadrzeć z nią oznaczało podpisać na siebie wyrok. Ale nie mogłem ryzykować, że mój plan jasny szlag trafi tylko dlatego, że szalejąca Mała uśmierci jedynego informatora. Byłem postawiony pod ścianą. Każdy musi kiedyś umrzeć, pomyślałem i podszedłem bliżej.

- Zobacz, pelikan - wskazałem na okno.

- Jasne - parsknęła, nie przerywając policzkowania Wojtka, który zdaje się zemdlał.

Wzruszyłem ramionami. Chociaż próbowałem.

Znienacka złapałem w pasie zaskoczoną Małą, przerzuciłem ją przez ramię i błyskawicznie dopadłem drzwi do spiżarni, otwartych przez Nietopyra. Wrzuciłem ją tam, nieco może bezceremonialnie. Nie mogłem uwierzyć, że poszło tak łatwo.

- Trzymajcie ją - sapnąłem, zły na siebie. Wyzwolenie Czegoś Trzeciego chyba nie było najlepszym pomysłem.

— * —

Wojtek nie od razu doszedł do siebie.

- Aaach... - jęknął słabo, gdy po naszych staraniach wreszcie nawiązał kontakt z rzeczywistością. - Błagam, zabierzcie ją...

- Było nie strugać bohatera - powiedziałem wyniośle. Albo raczej: chciałem, żeby to zabrzmiało wyniośle. - Sam jesteś sobie winien.

Wojtek spojrzał z wyrzutem. Oczy miał zapuchnięte.

- Potwory... - mruknął.

- Jeszcze masz szansę - powiedziałem. - Wystarczy, że szczerze odpowiesz na kilka pytań... Najlepiej jak najszybciej - wskazałem na Budzigniewa i Nietopyra z ledwością utrzymujących zamknięte drzwi od spiżarni. - Ona tam jest i bardzo chciałaby się z tobą pobawić...

Wojtek nerwowo przełknął ślinę.

- Powiem wszystko.

- W porządku - uśmiechnąłem się. Rozpisałem długopis na marginesie zeszytu. - Zaczynamy. Zadawałem pytania, Wojtek odpowiadał prędko, i niemal bez zastanowienia. Zerkał co chwilę na Budzigniewa i Nietopyra, mamroczących, iż długo tak nie wytrzymają. Drzwi trzeszczały i jakimś niepojętym sposobem trzymały się jeszcze we framudze. Za oknem ćwierkały ptaszki.

4.

Dwa dni później napięcie pola faszyzującego osiągnęło stan krytyczny. Gdyby nie Boski Liść, który miałem przy sobie, pewnie nie byłbym w stanie ruszyć się z łóżka.

Z zeznań Wojtka wynikało niezbiecie, iż od powrotu Ericha von Keisera dzieliły nas tylko godziny. Jak każdy, kto uległ nafaszyzowaniu, trzynastoletni skin odczuwał z nim silną więź empatyczną. Wiedział, iż von Keiser pojawi się w ruinach swojej dawnej rezydencji we wtorek, dokładnie o osiemnastej.

— * —

Siedzieliśmy pochyleni nad planem miasta.

- Pałacyk von Keisera jest tutaj - stuknęła długopisem Mała. - Proponuję okrążyć Cielęcín lasem, wyjść na wysokości Winnej Góry, przejść uliczką i wdrzeć się na teren rezydencji od południa.

- Odpada - pokręciłem głową. - Mamy za mało czasu, żeby obchodzić miasto dookoła. Wiesz, ile to kilometrów?

- Tak? - W tej chwili w umyśle Małej na dobre rozgościło się Ja. Ja kalkulowało, było racjonalne i nienawidziło porażek. - A masz lepszy pomysł?

- Musimy przejść przez miasto.

- Niby jak? Trwa tam teraz regularna wojna. Głośny huk potwierdził jej słowa. Wczoraj burmistrz

poczuł w sobie dyktatorskie zapędy, urządził przeciwnikom Noc Długich Noży i rozpoczął rządy twardej ręki. Społeczeństwo poczuło się sfrustrowane i przystąpiło do zbrojnego oporu. Okazało się, że pan Szkwierel, zasłużony kombatan, trzymał w piwnicy czołg. Wizyta w mieście była teraz ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę.

- Kanałami - podsunął Nietopyr.
- Niegłupi pomysł.

— * —

Nie bez trudu podnieśliśmy klapę ściekową.

- Ciemno tu - mruknął Budzigniew, gdy już zesliśmy na dół.
- I cholernie capi - uzupełniła Mała. Faktycznie. Było ciemno jak diabli i niewyobrażalnie cuchnęło. A w dodatku coś chlupotało pod nogami.

Gdy Budzigniew oznajmił, że wyciągnie zapalniczkę Nietopyr aż się wzdrygnął.

- Porąbało cię? Jak są gówna, to jest też metan... Wiesz, co to znaczy?
- Fajerwerki?
- Mniej więcej.
- No dobra. Tylko skąd będziemy wiedzieli, czy idziemy we właściwą stronę?

Z ciężkim westchnieniem włączyłem latarkę. Być może byliśmy indywidualnościami - ale nie idiotami.

- Mamy plan miasta - pomachałem mu przed oczami złożonym arkuszem papieru. - Kanały z grubsza pokrywają się z ulicami.

Ach, jakie to się wydawało proste! Wejść tu, wyjść tam. I już. A w rzeczywistości... Bullshit.

Błąkaliśmy się pieprzonymi kanałami przez kilka godzin. Skąd mogłem przewidzieć, że ich budowniczym tak dopisało poczucie humoru? Kąty, pod jakimi krzyżowały się poszczególne korytarze, naprawdę zdumiewały. Nabrałem silnego podejrzenia, iż sieć kanalizacyjna układała się w czyjś inicjał.

Boski Liść zaczął drzeć. Von Keiser przybywał, a my nie mogliśmy wydostać się z kanałów. Poirytowany byłem nieziemsko.

- Kurwa mać! - zakląłem, gdy po raz trzeci znaleźliśmy się w tym samym miejscu. Plan wyrzuciłem już dawno, przydatny był nam jak ślepemu noktowizor.
- To jakiś pierdolony labirynt! - wybuchnął Budzigniew. - Nigdy stąd nie wyjdziemy!
- Cicho! - syknęła Mała. - Nie słyszycie?

Umilkliśmy i wyteżyliśmy słuch. Coś zbliżało się w naszą stronę. Wyraźnie słyszeliśmy coraz głośniejsze człapanie. Jakieś takie mlaszczące, jakby czyjeś stopy przy każdym kroku odklejały się od podłoża. Szalenie nieprzyjemny dźwięk.

- Co za cholera? - zaniepokoił się Nietopyr. Skierowałem latarkę w stronę, z której dobiegało człapanie.

- O Jezu - zmartwiła Mała.

- Zginęliśmy - stwierdził ponuro Budzigniew.

— * —

Pędziłem kanałami z silnym postanowieniem, że jednak przeżyję. Tuż obok biegli moi compadres. Echo naszych kroków odbijało się od ścian i sklepienia.

Nie wiem, jak nazwać to, co nas goniło. Stwierdzić mogę tylko jedno: gdyby zobaczył to Karol Darwin, roześmiałby się obłąkańczo i zemdłał.

W ciełecińskich kanałach ewolucja postanowiła naprawdę dać czadu.

Stwór wyglądał jakby był z galarety. Miał liczne macki pokryte przyssawkami, jedno wielkie wyłupiaste oko i paszczę pełną zębów. Wielkością dorównywał małemu fiatowi; jego półprzezroczysta skóra miała sraczko-waty odcień.

Od dawna krążyły plotki o menelach, którzy zapuścili się w kanały i już nie wrócili. Teraz mogliśmy je zweryfikować. Okazały się prawdziwe; właśnie przeskoczyłem dokładnie obrane z mięsa zwłoki.

W kanałach zalęgło się zło.

— * —

- Chyba to zgubiliśmy - wydyszał Nietopyr. Skręcaliśmy w wybierane na chybił trafił korytarze

i faktycznie, w pewnym momencie przestaliśmy słyszeć za sobą potwora.

- Mam nadzieję - odparł Budzigniew. - Jezu, wyjdźmy stąd wreszcie. Ja chcę w normalną, bezpieczną strefę wojenną.

W ścianie tkwiła wmurowana drabinka, kłapa ściekowa znajdowała się niemal dokładnie nad naszymi głowami. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie wyjdziemy. Ale jakoś przestało to być istotne.

Pierwszy wszedł na górę Budzigniew. Stękając odwalił kłapę i wydostał się na powierzchnię.

Po nim wyszła Mała. Zostaliśmy na dole we dwóch z Nietopyrem.

I wtedy potwór wrócił.

Znienacka wytoczył się z bocznego korytarza i ruszył w naszą stronę. Jego macki trzęsły się obrzydliwie.

- Właż na górę! - krzyknąłem do Nietopyra.

Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać.

Skierowałem snop światła latarki prosto w wytrzeszczone oko potwora. Ryknął i wycofał się odrobinę, rozpaczliwie zasłaniając się mackami. Wykorzystałem moment i zacząłem wspinać się po drabince. Bestia jednak nie zamierzała się poddawać. Nie zdziwiłem się zbytnio, gdy poczułem mackę owijającą się wokół nogi.

- Paszoł won! - wrzasnąłem, usiłując wyszarpnąć się ze stalowego uchwytu. - Spierdalaj!

Potwór jakby nie rozumiał po ludzku. Drżącymi rękami wyciągnąłem z kieszeni Pentagram Protekcji, mamrocząc pod nosem zaklęcie ochronne. Nie poskutkowało. Zębata paszcza była coraz bliżej. W akcie desperacji cisnąłem w nią amuletem.

Potwór charknął i zaczął się krztusić. Z całej siły szarpnąłem nogą. Udało się, galaretowaty skurwysyn w końcu mnie puścił. Błyskawicznie wspiałem się na powierzchnię. Przywaliłem właz klapą, zapominając, jak była ciężka.

Chłodny wietrzyk owiewał mi twarz.

— * —

- Jasna cholera - zakląłem, gdy pojąłem swój błąd.

- Co się stało? - zapytała Mała.

- Nie rzuciłem w gnoja Pentagramem... - w kilku zdaniach opisałem im starcie ze ściekowym potworem. -Tylko Boskim Liściem.

- Jak to?!

- Miałem obydwie w jednej kieszeni, no a że ciemno było... A jeszcze stres...

- Trzymałeś Boski Liść w kieszeni? - zdumiał się Nietopyr.

- No. Miałem go na szyi zawiesić, ale zapomniałem -przyznałem ze wstydem.

- To przejebane - westchnął Budzigniew. - Jak teraz damy sobie radę?

- Normalnie - odparłem, oceniając odległość. -Wpadamy i robimy rozróbę.

Szansę, że wyjdziemy z kanałów dokładnie w pobliżu pałacyku von Keisera były znikome, prawda? W zasadzie - było to nierealne. Równie dobrze moglibyśmy

zakładać, że w ścieku spontanicznie powstanie nowa forma życia... Prawda?

Cielecin nie przykładał wagi do rachunku prawdopodobieństwa.

5.

Pałacyk von Keisera zachwycał cudownymi proporcjami, oczarowywał kunsztownymi zdobieniami, które wszakże, broń Boże, nie sprawiały kiczowatego wrażenia. Był przykładem architektonicznego spełnienia. Ósmym cudem świata. Czystą harmonią i doskonałością.

To znaczy... Tak było przed wojną.

Obecnie pałacyk składał się z osmalonych ścian i kilku kup gruzu. Dziejowa zawierucha ani myślała go oszczędzać. Swoje zrobiły ruskie granaty, kilka pożarów, dwie powodzie, a potem kolejne generacje żuli instynktownie wyczuwających w ruinach doskonale miejsce na melinę. Dowiedziawszy się o losach budowli, generalny konserwator zabytków powinien strzelić sobie w łeb. Taka strata dla ludzkości...

Nie pora na sentymenty, pomyślałem.

- Modrzew, jak natężenie pola? - zapytał Budzigniew.

- Zaskakująco słabe - odparłem.

- Czyli von Keiser już powrócił - stwierdziła Mała. -Dyzio mówił, że pole osłabnie.

Poprawiłem opaskę na czole. Nienawidziłem, kiedy włosy wpadały mi do oczu.

- Jesteście gotowi? - zapytałem.

Kiwnęli głowami.

- Zgodnie z planem rozdzielimy się. Wy dwaj - wskazałem na Nietopyra i Budzigniewa - wedrzecie się do budynku od tyłu. Narobicie dużo hałasu i uciekniecie, korzystając z zasłony dymnej. W tym czasie ja z Małą odnajdziemy i zlikwidujemy von Keisera.

Czuliśmy się jak bohaterowie. Szliśmy w bój o wolność, stawialiśmy w hazard nasze życie, aby walczyć o lepszy świat dla przyszłych pokoleń. Los Cielęcina spoczywał w naszych rękach. Tylko my mogliśmy powstrzymać faszyzowanie.

Budzigniew wyciągnął z plecaka butelkę wina.

- Być może ostatni raz - powiedział i tego pociągnął z gwinta. Podał butelkę Małej.

- Jeśli zginę, to z tym smakiem w ustach - rzekła. Butelka trafiła do Nietopyra.

- Cytrynowe, moje ulubione - uśmiechnął się i zakosztował.

Złapałem butelkę za szyjkę i wzniosłem w górę. Zalśniła w złotych promieniach słońca, które akurat przebiły się przez zwały chmur.

- Za lepszy świat - powiedziałem i wypilem pozostałe wino.

Jeszcze przez chwilę staliśmy w pełnym uniesienia milczeniu - komandosi wolności, Spartanie z naszymi na plecach, kamikadze w trampkach i glanach.

— * —

Niezauważeni doczołgaliśmy się z Małą do najbliższej kupy gruzu. Ostrożnie podniosłem się i rozejrzałem.

- Teren czysty - szepnąłem.

Poderwaliśmy się i błyskawicznie dopadliśmy ściany pałacyku. Nie mogłem nie zauważyć wielkiej wysprejowanej swastyki. Przepęliśmy pod oknami i stanęliśmy przed drzwiami wejściowymi. Odliczyłem w myślach do pięciu i wbiegłem do środka. Mała wbiegła za mną. Cała nasza akcja opierała się na zaskoczeniu. Zakładaliśmy, iż tłumnie przybyli na powitanie von Keisera skini nie spodziewają się intruzów. Nie zamierzaliśmy z nimi walczyć. Chodziło o natychmiastowe obojętnienie tych jednostek, które staną nam na drodze, i precyzyjne uderzenie w Ericha. Zero zastanowienia. Wszystko miało zamknąć się w ciągu maksymalnie pół minuty.

A tymczasem to my zostaliśmy zaskoczeni. Staliśmy z Małą jak wryci. Przestronna sala, w której się znaleźliśmy, była pusta.

— * —

- Dżihaaad!!!

Petardy eksplodowały z hukiem, od ścian odpadały kawałki tynku, szkło fruwało w powietrzu. Do środka wpadli Budzigniew z Nietopyrem.

- Na ziemię! - ryknął Budzigniew.

Wolałem nie wdawać się, póki co, w dyskusję. Chłopaki podeszli do zadania bardzo serio, a ja wysoko ceniłem sobie integralność mojej osoby.

- Spokojnie! - krzyknąłem, gdy już dym opadł. Leżeliśmy z Małą skuleni w kącie, w dziwnie woniejącej kałuży. Podniosłem się z obrzydzeniem, obwąchując nieufnie rękaw flaneli. Miałem pewne podejrzenia co do śmierdzącej cieczy, ale zachowałem je dla siebie. Mała była wrażliwą dziewczyną.

- Gdzie on jest?! - W oczach Budzigniewa nie zgasł bitewny szal.

Rozłożyłem bezradnie ręce.

- Zdaje się, że Wojtek wystawił nas do wiatru.

Nietopyr pokiwał głową, rozglądając się po pomieszczeniu. Niedawno odbyła się tu zdrowa libacja, bez dwóch zdań. Ale nic nie wskazywało, aby melina dopiero co oglądała powrót niemieckiego faszysty.

- Już ja bym z niego wydusiła prawdę - mruknęła Mała.

Bojowy zapał ulatniał się z wolna.

- Ożeż kurwa - podsumował Budzigniew.

— * —

- Kogo ja widzę?

Odwrociliśmy się jak na komendę. Długo nie mogłem zlokalizować źródła dźwięku, aż w końcu...

- Krzywy?! - wykrztusiłem. - Co ty tu robisz, do jasnej cholery?!

Stał w oknie, uśmiechnięty od ucha do ucha.

Czułem, że za chwilę wszystko się wyjaśni. Krzywy w tajemniczy sposób wyczuwał puenty: jeśli tylko zaplątał się w jakąś historię, to pojawiał się w okolicach zakończenia.

- Jaram - odparł, puszczając kółko dymu.

- To wiemy - bardziej prawdopodobne było zastać dzika w wannie niż Krzywego bez blanta. - Ale poza tym?

- A dowiedziałem się, że jakiś burżuj ma tu z Niemiec przyjechać i że imprezkę z tego tytułu robią, to se przyszedłem.

Wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia. - I co?

- I jajco. Dupa zbita, imprezki nie było.

- Dlaczego?

- A to długa historia... Ale powiem wam, że ten burżuj to głupek i jakiś taki zapóźniony. Garnitur miał przedpotopowy i ani słowa nie znał po polsku. A w ogóle to wszystko zorganizowali Łosoś i Długi - dodał po chwili wyjaśniającym tonem. - Wiecie, tę znaleźli, ideologię czy jakoś. No i Łosoś miał Niemca przywitać, ale, he, he, w ogóle się z nim nie mógł dogadać. No to poszli po Dzedaja, wiecie, jak on nawija po niemiecku...

- Wiemy.

- Po jakimś czasie przynoszą Dzedaja, stawiają przed Niemcem i rozwiązują. Chyba mu nóż do boku przystawili, żeby sprawniej tłumaczył. No i przetłumaczył im powitanie, taką tam gadkę-szmatkę, a potem Niemiec zaczął zadawać pytania. Trochę Dzedaj oberwał po pysku, bo śmiał się jak wariat, gdy je usłyszał...

- Wiesz, o co pytał von Keiser? - szybko zapytała Mała. - No, ten Niemiec?
- O, to wy go znacie? - Krzywy zagryził wargi. - To się pewnie zmartwicie, jak wam coś powiem...
- Mów.
- No bo... Nie uwierzycie. Ten Niemiec, jak tylko się dowiedział od Dzedaja, że teraz tu jest Polska i że Hitler przepieprzył wojnę, to zaraz wyciągnął gnata i strzelił se w łeb. Pojebany jakiś, nie? Pewnie prosto z wariatkowa...
- Widziałeś to wszystko?
- No. Niecałe pół godziny temu to się wszystko działo... A to jeszcze nie koniec. Łysi, którzy tu przyszli, to się normalnie załamali. Popłakali się i poszli do domów. A Łosoś wziął i się powiesił na jabłonce w starym ogrodzie. Z tyłu, za rudera, tam, gdzie witali pojebanego szkopa. Możecie iść zobaczyć. Kurde, wiał wietrzyk i przysnąłem se w cieniu Łososia, ale jak zaczęliście hałasować, to się zbudziłem. Trochę mi szkoda, bo imprezka zapowiadała się ekstra... Ale nic. Jeszcze będą okazje, nie? A takiego cyrku to, na Jaha, dawno nie widziałem.
- No i po problemie - mruknął Nietopyr. Pole faszyzujące słabło z każdą chwilą.

Epilog

Kilka dni później siedzieliśmy w altance, czekając na Budzigniewa, który zapowiedział się na jedenastą. Wreszcie mogliśmy w spokoju zagrać w erpega. Na stoliku stały już figurki i przyszykowane kostki. Nietopyr przygotowywał się mentalnie do poprowadzenia sesji.

- W sumie to trochę mi żal von Keisera - powiedziała Mała. - Zobaczcie, tyle lat czekał na swój powrót, a tu masz, takie rozczarowanie...

- Eee tam - machnąłem ręką. - Krzywy miał rację. To był pojeb. Tylko dlatego się zaraz zabijać, że się granica trochę przesunęła? Bez sensu.

- To nie o granicę chodzi. Cały jego świat legł w gruzach...

Wzruszyłem ramionami.

- Wiesz, dziadek mi mówił, że zaraz po wojnie władzę nad tymi terenami sprawował niejaki Cześniak, komuch jakich mało. Zginął pod koniec lat pięćdziesiątych w tajemniczych okolicznościach. Myślisz, że gdyby увидziało mu się powrócić, to co by zrobił? Też by się zastrzelił. Niby jak miałby się dostosować? Nie ma **ZSRR**, Polska należy do **NATO**..

- Elastycznym trzeba być - mruknął Nietopyr.

- Na szczęście komuchy nie wierzyły w żadne powroty - uśmiechnęła się Mała. - Jak taki umierał, to na dobre.

- I to jest słuszne podejście. Każdy ma swój czas w historii.

- Masz rację, filozofie.

Z udawaną powagą pokiwałem głową. Zmęczony tym wszystkim byłem i nie chciałem angażować się w dyskusję. Wyjrzałem przez okno. Po raz pierwszy od paru dni była naprawdę ładna pogoda.

- Idzie Budzigniew - oznajmiłem.

Budzigniew stanął w drzwiach, jakiś taki wystraszony.

- Nie uwierzycie - powiedział. - Idę sobie do was, w erpega pograć, jak zawsze. Przechodzę koło poczty, patrzę, a tu wielki sierp i młot.

Załamaliśmy rękę.

Grzyb

Grzybnia-chujnia! (zastyszane)

1.

Gałęzki trzeszczały pod nogami.

Rozglądałem się czujnie niczym

czapla. →

Nie pamiętam już, kto wpadł na pomysł zorganizowania sesji RPG na żywo, ale jestem pewien - była to poroniona idea. Do udanej gry niezbędne są przecież komfortowe warunki - przytulne lokum, dobre wino -zapewniające poczucie bezpieczeństwa podczas mentalnego przeżywania epickich przygód.

Pozostało tylko wino. A gdzieś tam czał się Krzywy z dmuchawką na gwoździe.

Same założenia w gruncie rzeczy nie były głupie. Poprzedniego dnia Nietopyr ukrył w lesie magiczny artefakt, czyli butelkę burzuj skiego szampana za trzydzieści złotych. Naszym zadaniem było go teraz odnaleźć. Kto pierwszy, ten lepszy. Ekscytujące popołudnie, przesycone duchem zdrowej rywalizacji i współzawodnictwa.

Tyle teorii.

W praktyce las był ciemny i koleczasty, zasnuty pajęczynami pchającymi się do oczu i pełen wszelkiego robactwa. Zaproszony gościnnie Krzywy nie do końca zrozumiał zasady: jakiś czas temu zauważyłem go przyczajonego w paprociach, z nożem w zębach i przygotowaną do strzału dmuchawką; przekrwione oczy świeciły nieprzyjemnie i gdyby tylko nie był oziębiały z racji wypalenia kilograma gandzi, pewnie nie wyszedłbym żywy. Niedźwiedzie, jak się okazało, nie mają wiele wspólnego z puszystymi, uroczymi misiami, niedźwiedzie to cuchnące potwory, znajdujące wielką radość w ściganiu wystraszonych ludzi. Ciężko też nie docenić starań Nietopyra, aby podnieść atrakcyjność gry, ale wilcze doły z palikami uważałem za lekką przesadę.

Coś zaszeleściło w krzakach po lewej. Zebrałem się w sobie, gotów do natychmiastowej ucieczki.

Z zarośli wyłonił się Budzigniew.

- Modrzew - wychrypiał, gdy otrząsnął się z zaskoczenia. - Dobrze, że cię znalazłem. Zaraz siódma, kończmy to.

Wyglądał żałośnie. Cały był podrapany i ubłocony, bujne loki oklapły. Tkwiły w nich liście i drobne gałązki.

- Też tak myślę - odparłem. - Co tam trzymasz?

- Szampana - wyciągnął rękę. - To znaczy, pustą butelkę. Sterczała z mrowiska. Podejrzewam leśniczego.

Powlekliśmy się w stronę szosy. Było ustalone, że o dziewiętnastej kończymy i spotykamy się na wysokości starego paśnika.

- Widziałeś resztę? - zapytałem.

- Tylko Krzywego, jakieś pół godziny temu. Musiał zdrowo inhalować, bo rytmicznie tłukł głową w dąb, a minę miał przy tym natchnioną. Kompletnie ignorował próby nawiązania kontaktu.

Westchnąłem. Naprawdę miałem dość.

— * —

Reszta, jak się okazało, już na nas czekała. Mała, Nietopyr i Krzywy. Siedzieli na poboczu i apatycznie popijali wino.

- Jesteście - na nasz widok odetchnęli z ulgą.

- Ano. Masz - Budzigniew wcisnął Nietopyrowi butelkę. - Można powiedzieć, że wygrałem.

- Gratulacje - mruknął Nietopyr.

Wyglądał, jakby przeczłogał się przez zaskieki. Jako mistrz gry próbował urozmaicić rozgrywkę, wcielając się w szereg postaci pobocznych. Wymagało to sporego zaangażowania, choć i tak nie przewidział reakcji Krzywego. Na szczęście zdołał zatamować krwawienie, a rana nie była groźna.

- Długo tu siedzicie?

- Wystarczająco długo, by wytłumaczyć paru Niemcom, że nie sprzedajemy grzybów - rzekła Mała. - Wierście lub nie, ale jeden chciał kupić Krzywego.

Nietopyr kiwnął głową:

- Pewnie w charakterze ogrodowego krasnala. Oni lubią taki szajs.

Krzywy toczył wokół nieprzytomnym wzrokiem. Lekko przesunął się w czasoprzestrzeni i wyraźnie od-stawał od otaczającej rzeczywistości, jak puzzel z niewłaściwego zestawu, jak wklejona w tło filmowa postać na początku ery blueboksa.

Pokręciłem głową.

- To co, idziemy?

- A na co będziemy czekać.

Ruszyliśmy więc. Od tabliczki miejskiej dzieliły nas ponad trzy kilometry. Mała westchnęła.

- Stracone popołudnie. Tyle mogliśmy dzisiaj zrobić, zamiast biegania po lesie...

- Nie wyszło to najlepiej - przyznał Nietopyr. Krzywy czknął i wymamrotał:

- Ładny asfalt.

Poklepałem go po głowie. Gdy mówił, słowa nie do końca synchronizowały się z ruchem warg.

- I niebo fuli wypas - mruknął Budzigniew. - Bredzisz w delirium, Krzywy.

- Niebo jest rzeczywiście ładne - Mała podniosła głowę. - Prawie bezchmurne i taki piękny kolor... Ech, zachód słońca we wrześniu.

W trójdzielnym umyśle Małej bezsprzecznie dominowało teraz Chyba Ja, ta część jaźni, która skrycie uwielbiała przyrodę i mogła godzinami patrzeć w gwiazdy.

- Mówisz? - zadarłem głowę.

— * —

- Jasna cholera - rzucił Budzigniew. - Co się dzieje?

Gdzieś z góry dobiegło basowe, narastające buczenie; świat zapłonął czerwienią.

Wielka, ognista kula z rykiem przecięła niebo nad naszymi głowami.

- Jeżu kolczasty...

Staliśmy skamieniali, trwożliwie wpatrując się w nieboskłon.

Chwilę później nastąpiła eksplozja. Ziemia zadygotała, z trudem utrzymaliśmy równowagę.

Huk był ogłuszający. Dzwoniło mi w uszach.

- Spadajmy! - krzyknęła Mała.

Pociągnąłem zdezorientowanego Krzywego. Przebiegliśmy szosą mniej więcej dwieście metrów, gdy zza wzniesienia, wyrastającego przed nami łagodnym bąblem, doleciał warkot silników; nadjeżdżały samochody. Budzigniew bez namysłu zanurkował w gęste przydrożne krzaki; poszliśmy za jego przykładem.

- Krzywy! - syknąłem.

Stał na poboczu, rozglądając się niepewnie, w ogóle nie nadażał, nic nie ogarniał. Chciałem po niego wyskoczyć - ale było już za późno.

- Armia? - mruknęła Mała.

Zza wzniesienia wylaniały się wojskowe dziipy. Jeden, dwa... Cztery. Zahamowały gwałtownie. Otworzyły się drzwi, kilku żołnierzy wyskoczyło na asfalt. Jeden z nich, najwyższy, zwalisty drab, szafa gdańska w mundurze, bez słowa złapał Krzywego i wciągnął do środka. Pozostali omietli w tym czasie okolice czujnymi spojrzeniami - i lufami karabinów. Wsiedli z powrotem, trzasnęli drzwiami i pojechali.

- Nie wychodźcie jeszcze - warknął Budzigniew. Miał rację. Zaraz nadleciały śmigłowce. Zadrzałem,

widząc ich tłuste brzuchy w prześwitach między gałęziami; szanse, abyśmy zostali dostrzeżeni w tych gęstych zaroślach były niewielkie, ale cóż - adrenalina.

- Co tu się dzieje? - zapytałem, gdy już ucichł warkot wirników.

- Skąd mogę... - zaczął Nietopyr. - O ja piernicę. Seria błękitnych błysków rozlała się na niebie, jakby ktoś zamienił Słońce w lampę stroboskopową. Zjawisko trwało tak krótko, że mogło być zwykłym złudzeniem. Rozszerzone ze zdumienia oczy przyjaciół sugerowały jednak, że widzieli dokładnie to samo. Powoli wyszliśmy na szosę.

- Co to było? - zachodziła w głowę Mała. - I co z Krzywym?

- Spójrzcie - mruknął Budzigniew.

Czubki drzew tonęły w białej chmurze, unoszącej się nad lasem.

- Para wodna - powiedział Nietopyr. - To musiało wpaść do jeziora.

— * —

Myśl o udaniu się na miejsce zdarzenia wydawała się z jednej strony nęcąca, ale z drugiej... Wiadomo.

- A jeśli to radioaktywne? - sugerował Nietopyr. Zachnąłem się.

- Zostawimy tak Krzywego?

- Nic mu nie zrobią - uspokajał Budzigniew. - Wypuszczą go, przecież jest niegroźny i nic nie kojarzy.

Całe zajście ulegało metodycznej racjonalizacji.

- Było tak - wywodził Budzigniew. - Do jeziora wpadł meteoryt. To się zdarza, codziennie na Ziemię spadają tony kosmicznego badziewia. Wojskowi pojechali na miejsce ocenić wielkość szkód.

- A niebieskie błyski?

- Nie było żadnych błysków - z przekonaniem pokręcił głową. - Zdawało nam się, ot, co. Zmęczenie, stres...

- Skoro tak twierdzisz - westchnąłem. Starał się być przekonujący, a to oznaczało jedno - dalsza rozmowa nie miała większego sensu. - Mam nadzieję, że wszystko szybko się wyjaśni.

— * —

Był późny wieczór. Na ciemniejącym niebie żarzyły się już gwiazdy, pyzaty księżyc ciekawie spoglądał na świat. Świerszcze koncertowały w krzakach; Burek, pies Nowaków, podejmował nieśmiało próby wycia.

Sokowirówka w mojej głowie ani na moment nie zwolniła obrotów.

Coś spada z nieba, chwilę potem zjawia się wojsko - i porywa Krzywego. Na deser dostajemy serię tajemniczych błysków. Zagadki piętrzyły się ponad chmury.

Westchnąłem. Upiłem parę łyków wina ze szklanki, przeciągnąłem się. Na horyzoncie las odcinał się czarnym zygzakiem od granatowego nieba; to tam rozegrały się dzisiejsze wydarzenia.

Szklanka wypadła mi z ręki i roztrzaskała się na płycie chodnikowej. Zmelłem pod nosem przekleństwo.

Nad lasem unosiły się błękitne światła. Sześć jasnych kropek, tworzących trójkąt równoboczny, leciutko bujający się na boki. Bez większego przekonania prześliznąłem myślą po racjonalnych wytłumaczeniach typu parolotniarz czy balon meteorologiczny.

Przetarłem oczy. Nie było żadnych świateł.

2.

Nazajutrz szkoła puchła od plotek. Nie rozmawiano w zasadzie o niczym innym.

- Antoś był akurat na rybach - szeptała w tylnej ławce Berta. - Świetny facet, ale ma to ichtiologiczne zboczenie. Słuchasz mnie? Wrócił do domu kompletnie przemoczony, głuchy na jedno ucho, ale za to z koszem ugotowanych szczupaków.

- Białoruski satelita szpiegowski - twierdził siedzący przed nami Teflon. - Bez przerwy nas obserwują, szykując się do ataku. Nie odpuszczają, o nie. Wkrótce zrobią nam tu łagry.

- Od dawna słyszałem, że na poligonie wciąż stacjonują Amerykańcy - Siwy tłumaczył Nietopyrowi. - Nieoficjalnie wiadomo, że testowali nowy typ raket. Coś się musiało wymknąć spod kontroli...

- Skąd to wiesz?

- Z pewnego źródła. Brat kuzyna mojego szwagra pracuje w wojskowej pralni.

Zamyślony wyglądałem przez okno. Obok drzemał Budzigniew z głową podpartą piórnikiem. Krzesło Krzywego było puste.

— * —

Długa przerwa dobiegała końca. Siedziałem z Małą na ławeczce, opierając się plecami o ścianę; korytarzem powoli spacerowały siostry bliźniaczki z pierwszej klasy, blade i masywne, podobne do ryb jaskiniowych. Skłodowska-Curie i Reymont spoglądali surowo z portretów.

Mała kontemplowała zagrzybioną ścianę korytarza.

- W jakich warunkach musimy się uczyć... Zarodniki są rakotwórcze.

Problem z wilgocią pojawił się, gdy rozpoczęto remont dachu. Na przełomie jesieni i zimy zdawało się już, że potoniemy: woda płynęła po ścianach, na posadzkach stały kałuże. Wiadra rozstawione w newralgicznych miejscach i desperacko walczące sprzątaczkę nie pomagały wiele. Gdy w styczniu awarii uległo na dodatek ogrzewanie, zakiełkowała nadzieja, że ogólniak w końcu rozsypie się w diabły; niestety, skończyło się na odwołaniu kilku dni lekcyjnych, które i tak odrobiliśmy w ferie. Mijały miesiące, remont postępował wyjątkowo opornie, a na ścianach zadomowił się grzyb. Pstrokaty zaciek miał w tym miejscu nieregularny kształt; jedni widzieli w nim profil polonistki, inni - kontur Republiki Weimarskiej.

- Źle mi z tym - przyznałem. - Mam wrażenie, że na mnie patrzy.

- No. Wiesz, często się zastanawiam, jak to możliwe, żeby w Unii Europejskiej...

Umilkła. Podążyłem wzrokiem za jej spojrzeniem.

Korytarzem kroczył wojskowy. Mundur opinał się na kłacie szerokiej jak portal romański; dudniło echo, gdy żołdat stawiał kroki - sztywne i dobitne, jakby chciał wbić w ziemię już samą myśl o stawieniu oporu. Ogolona głowa wyglądała jak wykuta z kamienia prostymi i oszczędnymi ruchami dłuta, bez popadania w najmniejszą finezję. Ciemne okulary przysłaniały oczy. Jednoosobowa forteca, golem ze stali. Rozpoznałem od razu: to on wczoraj wciągnął Krzywego do samochodu.

Paznokcie Małej wbiły się w moją dłoń. Przełknąłem ślinę.

Przechodząc obok naszej ławki, żołnierz obrócił głowę; poczułem śnieg w żołądku. Czas zatrzymał się na moment: czy to o nas chodzi?

Poszedł dalej. Zatrzymał się przy drzwiach gabinetu dyrektora. Zapukał, odczekał, wszedł.

- Jezu - szepnęła Mała. - To był on.

- Myślę, że chodzi o Krzywego...

- Mam nadzieję, że nic mu nie jest. Na pewno ten killer przyszedł wyjaśnić sprawę. Znaleźli przy chłopaku legitymację, a przecież był ujarany jak wieprzek...

- Jest to jakieś wytłumaczenie.

- Swoją drogą, zwróciłeś uwagę, jak dziwnie on szedł? Pan żołnierz? Jak stawiał kroki?

- Zwróciłem. Jak ktoś, kto świetnie opanował teorię chodu, ale dopiero zaczyna ćwiczyć w praktyce.

Przysiedli się Budzigniew z Nietopyrem - wrócili ze sklepu niosąc drożdżówki. Nietopyr ssął palec: skaleczył się otwierając tymbarka. Pokazał kapsel: napis na wewnętrznej stronie głosił „Uważaj, sierotko”.

- Z makiem - wręczyli nam po bułce. Opowiedzieliśmy, kogo widzieliśmy przed chwilą.

- Wspaniale - mruknął Budzigniew. - Ciekawe, co z tego wyniknie.

Niemal w tym samym momencie zza drzwi gabinetu dyrektora dobiegł tłumiony krzyk. Nietopyr skrzywił się po swojemu, w tej nietopyrowej parodii uśmiechu:

- Argumenty ktoś miał mocne.

— * —

Kwadrans po rozpoczęciu lekcji matematyki, gdy zdawało się, że nic już nie uratuje wijącego się pod tablicą Budzigniewa, próg klasy niespodziewanie przekroczyła wicedyrektorka - zapraszając na uroczysty apel.

- Obecność obowiązkowa! - Trzasnęła drzwiami.

Zazwyczaj apele nie cieszyły się wielką popularnością. Dyrektor nie grzeszył krasomówstwem. O poziomie przedstawień szkolnego koła dramatycznego najlepiej świadczy fakt, że ktoś pomysłowy nagrał je komórką i wrzucił na YouTube, jako występy dzieci z ciężkim porażeniem mózgowym - nie połapał się nikt, komentarze utrzymane były zaś w tonie pełnym współczucia. Teraz jednak wszyscy zerwali się z miejsc i rzucili do wyjścia. Każdy, kto zakosztował arytmetyki z panią Trufel, postawiony przed wyborem: lekcja matematyki albo zesłanie na galery, ochoczo chwyciłby wiosło.

- Apel? - nie ukrywano wszakże zdziwienia. - Z jakiej okazji?

Oczywiście wyobraźni ujrzałem dyrektora, zajmującego z niewyraźną miną miejsce za mikrofonem. Wygładziłby rękaw marynarki, odchrząknął, po czym ze smutkiem poinformował o znalezieniu w lesie ciała Krzywego. „Mnie również przepełnia żal z powodu śmierci waszego kolegi. Pamiętajcie, szkolny psycholog chętnie z wami porozmawia, nie krępujcie się. I nigdy, przenigdy nie bierzcie narkotyków!”. Grono nauczycielskie pokiwało by zatroskanymi głowami, może nawet skapnęłyby łezka. Potem wszyscy rozeszliby się do klas; podczas przerwy historyk uczciłby pamięć Krzywego, tego popijając z piersiówki, imię Krzywego padałoby wśród chrupnięć zgryzanych tabsów, minuta ciszy poprzedziłaby pochylenie się nad białą ścieżynką polskiej fety w kiblu na parapecie.

Dotarliśmy do hali sportowej. Panowało małe zamieszanie: zaciął się segment rozsuwanych trybun, pospiesznie rozkładano gimnastyczne materace, aby nie zabrakło miejsc.

Usiedliśmy we trzech obok głównego wyjścia, bez większych wszakże nadziei na ewakuację; nad nami za-

wisła szkolna pedagog, groźna niby front burzowy i nieustępliwa jak rosyjskie MSZ. Odnalazła nas tu Mała; jej klasa przybyła jako ostatnia, zawrócona z wufu w parku. Nauczyciele poobsadzali boczne wyjścia. Z głośników rozległ się metaliczny chrobot, dowód, że aparatura nagłaśniająca posiada zbyt wiele kabli i pokręteł, aby z jej obsługą poradził sobie przeciętny peowiec. W końcu udało się, popłynęły pierwsze takty „Mazurka Dąbrowskiego”, poczet sztandarowy ruszył sztywnym krokiem. Wstaliśmy. Przez najbliższą minutę uwaga koncentrowała się na nogach tegorocznych sztandarynek, Aldony i Moniki.

Sztandar wrócił na miejsce. Dyrektor, z mocno niewyraźną miną, zajął miejsce za mikrofonem. Wygładził rękaw marynarki, odchrząknął. Nabrał powietrza i wydukał:

- Ziemianie. Przybyliśmy. Po was.

Jego oczy zajaśniały błękitem. Policzki wyduły się, cały spuchł niczym bardzo niecierpliwy nurek głębinowy; widok skojarzył mi się z oglądanym jakiś czas temu filmem o Romach, gdzie śniadoliccy młodzieniec nadmuchał jeża, aby ogolić go żyłką i upiec na ognisku. Gałki oczne strzeliły z trzaskiem, z ust pociekł strumyk krwi.

W tym momencie jeszcze nikt nie krzyczał.

Głowa dyrektora wybuchła niczym ściśnięty pomidor. Trzasnęła marynarka, rozsadzona puchnącym nagle i pękającym korpusem. Różowe płaty mięsa wylewały się na boki, jak ciasto wyrastające ponad foremkę. Darła się skóra, falowały mięśnie, bryzgała krew. Wykwitały błoniaste bąble. To, co przed chwilą było dyrektorem, przypominało teraz makabryczny ukwiał, bałwana ulepionego z mielonki garmażeryjnej, rzeźbę z żywego mięsa.

- Kuuuurwa - jęknął ktoś.

Z bulgoczącej krwawej masy wysunęły się macki żylaste, różowe jak dżdżownice. Wystrzeliły prosto w sztandarynkę Aldonę; jedna oplótła dziewczynę w pasie, druga owinęła się wokół uda, trzecia zakneblowała usta. Szarpnęły. Aldona, chyba już nieprzytomna, wystrzeliła w powietrze; załopotana spódniczka, mignęły koronkowe majtki. Macki z impetem uderzyły bezwładnym ciałem dziewczyny o parkiet. Potwór wchłonął ją w siebie, zatopił w mięsnej miazdze. Wyrosły kolejne pęcherze, pojawiło się więcej sinoróżowych narośli.

W hali wybuchł wrzask - chyba głośniejszy niż po ostatnim zwycięstwie siatkarzy Olimpij Cielećcin.

Zerwaliśmy się z miejsc. Tłum napierał na drzwi wyjściowe, ktoś się przewrócił, ktoś zasłabł. Potwór chwycił kolejną ofiarę, gardłowy krzyk urwał się nagle.

Chwyciłem Małą za rękę. Przepychaliśmy się w stronę drzwi.

- Patrz - Nietopyr trącił mnie łokciem. Obróciłem się. I zastygłem.

- W dupę ważki...

Szalejącą bryłę mięsa pokrył kolorowy nalot. Dziwna substancja kapała na potwora z góry; zadarłem głowę -pstrokaty zaciek płynął sufitem, zwieszał się drżącymi glutami z elementów konstrukcji dachu.

Potwór zakwiczał, zatrząsł się. Pęcherze pękały, chlustając parującą krwią, macki tłukły na oślep. Cielskiem wstrząsał dreszcz, obłąkańczo pulsowało, zmieniało kolor na coraz ciemniejszy - jak w oldschoolowych strzelankach, gdy ostatni boss jest o krok od wykończenia.

- Grzyb...

Wzerał się w mięso. Potwór wył, macki rwały klepki z parkietu.

Wreszcie eksplodował, jak granat w masarni, obryzgując wszystkich gorącą krwią i strzępami tkanki.

3.

Jak niemal wszystkie, również ta historia kończy się w altance. Jeśli rzeczywiście życie jest opowieścią - wiem, gdzie umrę.

Ćma krążyła wokół żarówki. Nasze myśli - wokół ostatnich wydarzeń. Gdy zamykałem oczy, widziałem przerażone twarze uczniów podczas apelu, Bertę machinalnie ścierającą krew ze

szkieł okularów, trupio bladą polonistkę. Nie czułem nic specjalnego. Wyzwałem się w myślach od nieczułych pomiotów cywilizacji śmierci, degeneratów, zimnych dzieci zgonu.

Budzigniew odstawił szklanę.

- Więc - zamyślił się. - Kosmici dopadli tamtych wojskowych. Opanowali ich ciała. Potem jeden, już pod postacią żołnierza, zainfekował naszego dyrektora.

Nietopyr wszedł mu w słowo:

- A zainfekowany, sterowany przez kosmitów dyrektor odstawił show życia i pozabijałby nas wszystkich, gdyby nie cudowny ratunek ściennego grzyba. Który, założę się, to w rzeczywistości również przybysz z odległej galaktyki, kosmiczny symbiont, strażnik pokoju i wielki przyjaciel rodzaju ludzkiego. Chyba że po prostu tak nas pokochał i chciał się zrewanżować za gościnność.

Nalałem jeszcze wina.

- Może tak, może nie. Może to zbiorowa halucynacja, albo rządowy eksperyment, albo... Co za różnica.

Mała spoglądała przez okno na szarzejący w zmroku świat.

- Ciekawe, co z Krzywym.

- Boję się - powiedział Nietopyr - że już go nie zobaczymy. Nasi kosmici nie wydawali się zbyt pokojowo nastawieni... Nie smuć się, jeśli nie żyje, jest już w upalonym niebie i kręci blanty Bobowi Marleyowi.

Zapadła cisza.

Nagle zmaćło ją głucho łupnięcie za oknem. Podniosłem się z krzesła, Nietopyr machnął tylko ręką. Otworzyłem drzwi.

- Nie wierzę.

Pośrodku działki leżał Krzywy, z rękami i nogami rozrzuconymi jak marionetka, która zerwała się z linek. Przyskoczyłem do niego.

- Krzywy! - potrząsnąłem nim. - Krzywy! Otworzył oko. Po chwili drugie. Zamrugął.

- Modżef - oznajmił. - Szszszszkurfasz.

- Spokojnie... Hej! - zawołałem resztę. - Pomóżcie! Krzywy podniósł się, zmarszczył brwi. Stęknął, nieśmiało poruszył palcami.

- Nie uwierzyłbyś... Taka faza. Taaaka. Co ja tu robię? Dobry Jah... Zdawało mi się, że widzę szare ludziki.

Spojrzałem w niebo. Błękitne światła unosiły się tuż nad nami, tworząc idealnie odmierzony trójkąt równoramienny. Geometryczna tajemnica, muśnięcie nieznanego, zimny konstrukt lęku i fascynacji.

Przetarłem oczy. Nie było żadnych świateł.

Drzewo

*Słońce zachodziło ponad
postrzępioną linią lasu. Niemal
bezchmurne niebo zaczęło
przybierać barwę głębokiego
fioletu. Słaby wietrzyk szumiał
w koronach drzew. →*

I gdyby nie komary, byłoby naprawdę idyllicznie.

Wracaliśmy z Małą ze spaceru. Wiecie, nic nie zacieśnia związku bardziej niż romantyczne przechadzki leśnymi drózkami. Najlepiej wieczorową porą. Można wtedy patrzeć sobie w oczy i, co za tym idzie, synchronicznie potykać się o korzenie; można wspólnie wpadać w bagno; można kłąć w duecie pod adresem wszelkich krwiożerczych insektów... Można urządzić mały piknik na polance, oczywiście na samej linii frontu wojny pomiędzy dwoma szczepami wyjątkowo wojowniczych mrówek. Jeszcze napatoczy się śliczny zajaczek, toczący pianę z pyszczką, z szaleństwem w krwistoczerwonych oczkach; jeszcze spadnie kwaśny letni deszczyk, wypalający dziury w liściach; jeszcze pozna się przemiłego leśniczego, snującego się między drzewami z nabitą dubeltówką i wyraźnie czekającego na pretekst...

Tak, kocham romantyczne spaceru.

- Ślicznie jest, prawda, Modrzew? - Mała oparła głowę na moim ramieniu.

- Mhm - mruknąłem. Cały byłem ubłocony i pogryziony. Zdaje się, że wszystko, co żyje, postawiło sobie za punkt honoru ukąsić moją skromną osobę.

- Odnoszę wrażenie, że nie podzielasz mojego zadowolenia z przechadzki.

- Wydaje ci się - właśnie zauważyłem kolejną dziurę w rękawie flaneli. Musiała powstać, gdy, profilaktycznie wymijając podejrzanego zajaczkę, z impetem wpięprzyłem się w nadspodziewanie kolczaste chaszczki.

- Mam nadzieję. Powinniśmy tak spacerować częściej.

- Ależ oczywiście. Hartujmy ciało i ducha.

- Słucham?

- Nie, nie, nic - odetchnąłem z ulgą, gdy za zakrętem ścieżki ujrzałem ogródki działkowe. Byłem w domu.

— * —

Makabryczny bajzel wewnątrz altanki, niestety, nie zniknął podczas mojej nieobecności. Stół nadal był wywrócony, wino rozlane, a wszelkiego typu rupiecie wały się dosłownie wszędzie. Spodnie dyndały z żyrandola, naścienny zegar leżał w talerzu z zupą, a paprotka dumnie wieńczyła piramidę złożoną z telewizora, sterty komiksów, kilkunastu skarpet i sporej ilości ugotowanego makaronu. Wszystko to wyglądało jak scenografia wyjątkowo odjechanego happeningu.

- O kurczę - Mała rozejrzała się po pomieszczeniu. Wprawdzie zawsze zarzekała się, że jest antyestetką, ale jakaś typowo kobieca część jej duszy musiała odczuwać prawdziwy ból na widok tak potwornego bałaganu. - Co się tu działo?

Zawstydzony spuściłem wzrok.

- Ociupinkę wczoraj wypilem, a potem przyszła wena twórcza. Miałem ochotę przemeblować świat, sił wystarczyło ledwo na przestawienie telewizora.

Mała pokręciła głową z troską.

- Powinieneś odpocząć. Musimy wyjechać z tego przekłętego Cielęcina chociaż na parę dni.

- Jasne - skrzywiłem się. - A miasto przez ten czas wyleci w powietrze.

- Za bardzo się tym wszystkim przejmujesz - westchnęła. - Musisz trochę wyluzować. Może masz ochotę na relaksujący masaż?

Z głośnym pomrukiem zwałem się na łóżko polowe, usunąwszy zeń uprzednio stary, upačkany pastą do zębów płaszcz przeciwdeszczowy. Bolała mnie głowa i bardzo byłem daleki od radości życia.

Mała masowała mi plecy delikatnymi, wypracowanymi ruchami. Dokładnie wiedziała, czego potrzebuję. Moja Mała.

- Zostań ze mną dzisiaj - poprosiłem.

— * —

W nocy zerwała się nawałnica. Lekki wietrzyk zamienił się w niemalże huragan; niebo znikło pod całunem gęstych chmur.

Jak to się wszystko może zmienić w ciągu paru godzin, pomyślałem.

Chociaż od czasu do czasu grzmoty zdawały się wystawiać fundamenty świata na poważną próbę, a ściany altanki dygotały jak w febrze, Mała spała niczym niemowlę. Przykryłem ją kocem i wsłuchałem się w bębnienie kropel deszczu o blaszany dach.

Dziwna to była burza. Miała w sobie coś niedwuznacznie ostatecznego, jakby Wielki Haker właśnie de-fragmentował wszechświat.

— * —

Obudził mnie głośny śpiew ptaków. Niechętnie otworzyłem oczy i natychmiast ponownie je zamknąłem, oślepiony złotymi promieniami słońca. Wziąłem kilka głębokich wdechów, przeciągnąłem się i dopiero po chwili

powolutku, lecz zdecydowanie, rozwarłem powieki. Gotów byłem stawić czoła nowemu dniu.

- Witamy na jawie - uśmiechnęła się Mała. Siedziała na krześle i mieszała coś w plastikowym kubku. Powonienie podpowiadało, że to zupa pomidorowa z torebki.

- Hej - ziewnąłem potężnie. - Co tu tak jasno?

- Tak to bywa po burzy. Może śniadanko? Bardzo chętnie zwlokłem się z łóżka i poczłapałem stronę toaletki. Ochlapałem twarz chłodną wodą,

przepłukałem usta. Przemylem oczy, co wpłynęło pozytywnie na ostrość widzenia. Mała postawiła kubek na taborecie (gdyż stół wciąż leżał wywrócony).

- Proszę, to dla ciebie. Ja już jadłam.

Poczułem, jak coś ściska mi serce. Po raz pierwszy od miesiący dane mi było zjeść rano coś ciepłego! Wprawdzie tylko rakotwórczą breję, rozcieńczoną wodą konserwanty, ale za to okraszone ślicznym uśmiechem kochanej dziewczyny, uszlachetnione jej troską o mnie...

Byłem w raju. Mało brakowało, żeby do oczu napłynęły mi łzy.

Strasznie głupio musiałem wyglądać, stojąc tak i kontemplując kubek zupy pomidorowej.

- Coś nie tak? - zaniepokoiła się Mała.

- Ależ nie - uśmiechnąłem się. - Wszystko w porządku. Po prostu się zamyśliłem.

Usiadłem po turecku na podłodze i zabrałem się za jedzenie.

— * —

- Pycha - skłamałem, odstawiając kubek. - Ślicznie dziękuję.

- Cieszę się, że ci smakowało. Padliśmy sobie w ramiona.

- Może wyjdziemy na dwór? - zaproponowałem. - Na pewno jest cieplutko.

- Chętnie.

Wziąłem dwa leżaki, oczyściłem je z grubsza z płatków owsianych i skierowaliśmy się ku wyjściu.

— * —

Upadając na wyłożoną popękkanymi płytami chodnikowymi ścieżkę, dwa z grubsza oczyszczone z płatków owsianych leżaki wydały z siebie brzęk cichy i metaliczny. Rozglądałem się wokół w zdumieniu.

- Co tu się, cholera, dzieje?

Działka tonęła w złotym blasku. Nie to jednak było najważniejsze. Raczej, że:

1. Znikło gdzieś przerdzewiałe ogrodzenie;
2. Szlag trafił bujnie wyrosłe chwasty;
3. Ich miejsce zajęły przecudnej urody rośliny, których nie byłem nawet w stanie nazwać;
4. Tam, gdzie do tej pory z ziemi sterczał kran, pojawiło się wysmukłe drzewo, jaśniejące tajemniczo i transcendentnie;
5. Pod tymże drzewem stał anioł, z mocno znudzoną miną, podpierający się gorejącym mieczem.

Roześmiałem się histerycznie. Oszalałem.

Anioł pozdrowił nas gestem uniesionej dłoni. Miał śnieżnobiałe skrzydła i jasne, sięgające ramion kręcone włosy. Wyglądem niczym nie odbiegał od stereotypu.

- Witajcie - przemówił, a głos jego był niczym bojowy zaśpiew mosiężnych surm. - Nie lękajcie się, przy-wam w pokoju.

- Cześć - palnąłem. - Modrzew jestem.

- Wiem - anioł uśmiechnął się pobłażliwie. - Przynoszę wam Wiadomość.

Tak to powiedział, że słychać było wielką literę.

- W nocy wykasowaliśmy ludzkość - oznajmił takim nem, jakby mówił o wyrzuceniu śmieci.

- Zostaliście tylko wy, czujcie się wyróżnieni. To wasz ogród. Wiecie, macie być płodni, a potomstwo wasze ma zaludnić lądy całej Ziemi. Rozumiecie, chcemy zacząć jeszcze raz, od zera. Wszystko jasne, nic nie muszę powtarzać? Bezmyślnie pokiwałem głową.

- To dobrze. Nie będę już wam przeszkadzał. - Aha - dodał jeszcze. - Lepiej nie ruszajcie tego drzewa.

Rozwinął skrzydła i odfrunął. Stałem z otwartą gębą, wpatrując się w niknący na niebie punkcik.

- O kurwa - zakląłem.

Mała również była zdezorientowana. Staliśmy przed altanką jak skamieniali, a drzewo jaśniało natrętnie.

— * —

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? - Mała spoglądała na mnie z obawą.

- O tak - odparłem. - Zawsze o czymś takim marzyłem.

Otworzyłem składzik narzędzi i wydobyłem z niego sporą siekierę.

Zagajnik, który przez noc porósł sąsiednie działki, dopalał się właśnie. Ogień żarzył się jeszcze w kupkach popiołu, ale dawno już było po samym pożarze.

Kilkoma mocnymi uderzeniami siekiery ściałem lśniące drzewo. Obok leżały inne rajske rośliny, powyrywane z korzeniami.

- Ale właściwie po co?

Otarłem pot z czoła.

- A tak, dla zasady - uśmiechnąłem się wrednie. - Nikt nie będzie za mnie decydował.

Rajske ptaki przyglądały mi się w zdumieniu. Uciekły, gdy pogroziłem im siekierą.

Ars poetica

*W tę szczególną noc, ciemną
jak sumienie poganina, niebo
schowało się pod grubą koldrą
z chmur. Jedyna w pobliżu
działająca latarnia na przemian
zapalała się i gasła; wiatr
świszczał w koronach drzew,
niósł zimno i butwiejące liście. →*

Stałem pośrodku działki, przy starej jabłonce. W zamyśleniu otworzyłem butelkę i wypakowałem z folii kanapki od Małej. Ułożyłem je w równy stosik, rozlałem wokół wino: zapachniało słodkimi gruszkami. Ta partia wyjątkowo się udała. Z szacunkiem skłoniłem głowę.

Nade mną zaskrzeczało ptaszydło.

Nadchodził decydujący moment. Odwróciłem się i powoli odszedłem kilka kroków. Spokojnie, powtarzałem sobie. Tylko spokojnie.

Mijały sekundy. Wiatr dął coraz silniej, dało się już w nim dosłyszeć niepokojące szepty: Boże, co za noc.

Spojrzałem za siebie i odetchnąłem: kanapki zniknęły.

Dary zostały przyjęte.

— * —

- Co za noc - mruknęła Mała.

Ściany altanki trzeszczały pod naporem wiatru. Żarówka pod sufitem chwiała się leciutko.

- No - zgodził się Nietopyr. - Atmosfera z horroru.

Budzigniew potwierdził skinieniem głowy.

- Brakuje tylko świra z piłą mechaniczną.

- A czego byście chcieli? - uśmiechnąłem się. - Dzisiaj dziady.

- Dziady - powtórzyła w zamyśleniu Mała.

Raz do roku jest noc, gdy żaden egzorzysta nie zazna snu. W noc dziadów bariera oddzielająca nasz świat od świata duchów staje się wyjątkowo krucha i łatwa do sforsowania. Nikt, kto wykazuje większą niż przeciętna aktywność psychotroniczną, nie może wówczas liczyć na spokój.

Nietrudno się domyślić, co to dla nas oznacza: cholerny ból głowy.

Wiele się zmieniło przez ostatnie dekady. Dziś nikt już nie nosi na groby jadła i napoju; bardziej trendy jest bieganie z dynią na głowie i smarowanie keczupem drzwi sąsiadów. Obrzędy przodków odeszły w niepamięć. Zapomnieliśmy o dziadach.

Tu pojawia się problem: Dziady nie zapomniały o nas.

- Czujecie? - zapytałem. - Przypatrują się nam.

- Kto?

- Jak to kto. Duchy.

Nietopyr wzdrygnął się nieznacznie, Mała odruchowo poprawiła fryzurę.

- Nie egzorcyzmujesz? - zdziwił się Budzigniew.

- No co ty - zachnąłem się. - Dzisiaj? Przez rok bym potem oka nie zmrużył. To duchy dumnych pogan, wojowników. Są dość drażliwe i oczekują szacunku. Przepraszam najmocniej za tego nieokrzeszańca - powiedziałem głośno.

Ulokowanie ogródków działkowych bezpośrednio na prasłowiańskim cmentarzysku musi nieść ze sobą pewne niedogodności, zwłaszcza w sezonie, gdy działkowicze bezwiednie obsiewają pogańskie groby. Gdy pod gruszą, z której owoców pędzi się wińsko, spoczywają prochy wodza osady sprzed dwóch tysięcy lat, spojrzenie na niektóre sprawy siłą rzeczy ulega zmianie. Niegdyś byłeś potężnym wojownikiem, którego imię powtarzano z szacunkiem nawet hen, za lasami, a dzisiaj krążysz w sokach drzewa, którego owoce fermentują potem z drożdżami ku uciechu kilku gówniarzy.

Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej. Zabębniły grube krople deszczu. Pomruk grzmotu wprawił szyby w drżenie.

- Burza? - Mała uniosła śliczne brewki. - O tej porze roku?

- Demonstrują swój gniew. Oj, coś je musiało wkurzyć.

Nietopyr lekko zbladł.

- Mogą być niebezpieczne?

- Mhm.

Zapadło milczenie. Ciężko było czuć się swobodnie. Nagle ktoś załomotał do drzwi, popisując się rewelacyjnym wyczuciem dramaturgii. Spojrzeliśmy po sobie.

- Modrzew, nie otwieraj - jęknęła Mała.

— * —

Przemogłem się i otworzyłem. Za drzwiami stała zgarbiona postać w kapturze, podparta sękatym badylem. Widok upiorny - delikatnie mówiąc.

- Cześć, Krzywy - powiedziałem. - Wejdz do środka.

- Sześć wszystkim - wymamrotał.

Wszedł i zdjął kaptur, przy okazji ochlapując wszystko wokół.

- Krzywy, cholera - Mała pokręciła głową. - Coś ty z siebie zrobił?

Spojrzał na nią z tym niemym wyrzutem naćpanego stracha na wróble. Jedno jego oko nie nadążało za drugim.

- Błękitny niczym orły w karnawale? - wykrztusił, wyraźnie przestraszony.

Westchnąłem. Krzywy, z genetycznego punktu widzenia chłopak, był już w połowie konopiami indyjskimi. Podejrzywałem, że jeśli nic się nie zmieni, wkrótce zacznie przeprowadzać fotosyntezę.

- Fajczyłeś? - zapytałem.

- I wołam przed siebie jak kawior z otchłani - pokiwał głową.

Fajczył. I to sporo. Przy jego uodpornieniu potrzebował naprawdę znacznej ilości zielska, żeby przełączyć się na właściwą narkosom logikę rozmytą.

- Budzigniew, weź go może do drugiego pokoju - poprosiłem. - Niech trochę dojdzie do siebie.

„Drugi pokój” był w rzeczywistości malutkim pomieszczeniem zaprojektowanym jako składzik na narzędzia. Przechowywałem tam wino, różne drobiazgi oraz, gdy zachodziła taka potrzeba, Krzywego.

Ledwo Budzigniew zamknął za sobą drzwi, niedaleko trzasnął piorun. Grzmot, który przetoczył się nad altanką, wybrzmiewał wściekłością niczym ryk bestii w dniu sądnym. Zgasło światło. Po omacku znalazłem zapalki.

- Ciemno wszędzie, głucho wszędzie - rzekła Mała, gdy udało mi się zapalić świeczki. - Co to będzie, co to będzie?

No i chwilę potem się zaczęło.

— * —

- O jasna cholera - wykrztusiłem, widząc unoszący się telewizor.

- Modrzew - pisnęła Mała, wpatrując się w nagle odchylone płomienie świec - Coś tędy przeszło!

- Spokojnie, tylko spokojnie... Padnij!

Wazonik o włos chybił głowy Budzigniewa.

Na suficie zakotłowały się podejrzone cienie. Rozdygotał się Pentagram Protekcji, amulet ochronny, który nosiłem na szyi jak zwykły wisior. Co chwilę uderzały pioruny.

Odruchowo złapałem lecący w moją stronę kieliszek.

- No dobra - powiedziałem. - O co wam chodzi? Odpowiedział mi rechot. Nadprzyrodzony i bardzo złośliwy.

Balansując na granicy popadnięcia w panikę, Nietopyr śledził ruchy kwitującej nad stołem ławicy sztucców.

- Ożeż - jęknął, w ostatniej chwili nurkując pod stół.

Wiele byłem w stanie im wybaczyć. Niby to już wszystko jedno, ale osobiście nie chciałbym, aby po śmierci rósł na mnie szczypiorek. Nie dziwiłem się, że były nerwowe.

Ale bez przesady.

- Czego chcecie? - zapytałem. - Co takiego wam niby zrobiłem?

Cudem uniknąłem trafienia budzikiem; może była to odpowiedź, ale jeśli nawet, nie podejmowałem się interpretacji.

Kolejne przedmioty unosiły się w górę. Nawałnica za oknem wciąż przybierała na sile i generalnie była to szalenie nieprzyjemna chwila.

Budzigniew wrzasnął, gdy doniczka trafiła go między łopatki.

Skulony pod stołem Nietopyr odmawiał, zdaje się, jakąś litanie. Mała kleła pod nosem, rozmasowując przedramię.

- Dość! - zawołałem, zręcznie zagarniając z przelatującej akurat przede mną półki krucyfiks. Dziady nie dziady, na demolowanie altanki nie mogłem się godzić. Zamierzałem wyegzorcyzmować skurczybyków w cholere.

Jak się zaraz okazało, nie był to najlepszy pomysł.

- Modrzew, uważaj!

Za późno. Zobaczyłem na ekranie odbicie własnej, wykrzywionej ze strachu twarzy i zdążyłem tylko zasłonić rękoma głowę. Telewizor grzmotnął we mnie z impetem. Usłyszałem jeszcze triumfalny chichot i odpłynąłem.

— * —

- Modrzew... Modrzew, nic ci nie jest?

- Abgh - odparłem, z trudem otwierając oczy. -Kurde.

- Żyje - Budzigniew odetchnął z ulgą.

Podniosłem się niezgrabnie. Wokół mnie było istne pobojuwisko; klamoty walały się na podłodze, nic chyba nie pozostało na swoim miejscu. Dumni poganie dali czadu.

- Już po wszystkim?

- Jak widzisz...

W altance zaległa smętna cisza. Tylko deszcz szumiał cicho za oknem.

- Co z Krzywym?

- Dobre pytanie - westchnęła Mała. - Sam zobacz.

Powlokłem się do drugiego pokoju. I zdębiałem. Krzywy zniknął, małe okienko otwarte było na oścież, a na ścianie pojawił się pokraczny napis:

TU TRUPNAŁ KRZYWY,

A NARODZIŁ SIĘ MARIAN.

- Szlag - mruknąłem. - Kumpel nam oszalał.

— * —

- Krzywy, zejdziesz? - zapytałem przymilnie.

- Nie - dobiegło z jabłonki.

Od kilku minut staliśmy wokół drzewa i usiłowaliśmy nakłonić Krzywego do zejścia na dół. Jak na razie bezskutecznie.

- Ale dlaczego?

- Bo tworzę dzieło wiekopomne.

Cóż, wszystko wskazywało na to, że Krzywego zniecka zaatakowała wena twórcza. Podczas zafundowanej przez pogan rozpierduchy przeszedł spontaniczną przemianę w romantycznego poetę. To możliwe; wypalił już tyle, że swobodnie mógł zacząć pisać epopeje.

- Może pokaż nam, co już stworzyłeś? - spróbowała Mała.

- Mam lepszy pomysł - rzekł Budzigniew. Podeszedł do drzewa i energicznie nim potrząsnął. Po chwili Krzywy spadł na ziemię jak uleżka.

- Najmocniej przepraszam - Budzigniew uśmiechnął się złośliwie.

- I coś uczynił? - Krzywy spojżał na niego z wyrzutem. - Rękopis mego dzieła wpadł w błoto, niedokończony.

- Przepiszesz sobie - Nietopyr poklepał go po łopacie i wetknął w rękę świstek papieru, który spadł z jabłonią w ślad za Krzywym.

Moją uwagę przykuła leżąca przy drzewie pusta butelka. Musiałem ją tam przez nieuwagę zostawić. Przyjrzałem się i westchnąłem.

— * —

Parę dni później doszedłem do siebie na tyle, by zabrać się za sprzątanie. Akurat wymiatałem spod łóżka kawałki talerzy, gdy przyszedł Budzigniew.

- Czołem - rzucił w drzwiach. - Pomóc ci, amigo?

- Chętnie - sapnąłem. - Pozbieraj może sztućce i inne badziewia spod tamtej ściany... Skarpety to chyba potem sam wezmę.

Budzigniew ochoczo zabrał się do roboty.

- Słyszałeś o Krzywym?

- No.

Zachwycona polonistka nie spała przez trzy noce, dzwoniąc gdzie trzeba i dręcząc odpowiednich ludzi, aby zorganizować chłopakowi wieczorek poetycki w domu kultury. Lokalne autorytety co do jednego zapowiedziały swoją obecność. Twórczość młodego poety była rzekomo przełomowa, epokowa i Nobel wisiał w powietrzu.

- A wiesz już, o co chodziło poganom?

- Wiem - westchnąłem. Opowiedziałem o składaniu darów pod jabłonką. Odpowiednio wiele miejsca poświęciłem własnej durnocie i roztargnieniu. Oni lubią wino, owszem. Zawsze lubili. Wszystkie wina. Ale, cholera, przecież nie gruszkowe!

Rock'n'roll, bejbi!

*Stoję przed lustrem i z uwagą
przyglądam się zarostowi.*

*Zarost jest ciemny, a przy tym
rzadki jak słupy telegraficzne,
przez co twarz wygląda
przekomicznie. No i jeszcze
te przyszcze.*

Czystej wody beznadzieja. —)

- Spoko - pociesza mnie odbicie, uśmiechając się krzywo. - I tak wyglądasz zajebiście.

- Zamknij się - warczę.

Nie jest to zwykłe lustro, o nie. To okno do Lustrzanego Wymiaru. I wiercie mi, mało co wkurza bardziej niż cholerny wazeliniarz z tamtej strony, czujący wewnętrzną potrzebę prawienia komplementów. Nie lubię go, nie lubię, nie lubię.

Chociaż... Dzięki niemu zmienia się żalony status picia do lustra. Zwłaszcza jeśli przyprowadzi kumpli.

Wzdycham ciężko i rozpoczynam nudny rytuał golenia. Kiedyś podśpiewywałem sobie przy tym. Ostatnio musiałem tego zaprzestać; lustrzany głupek włączył się z lubością, a w duecie brzmieliśmy tragicznie. Kwiaty wędły.

- Milcz - mruczę, widząc, iż odbicie otwiera usta, aby coś powiedzieć.

Posłusznie milczy. Lustrzany Wymiar jest uniwersum niższego rzędu, co z definicji obliguje odbicia do przyjęcia postawy służalczej i pełnej pokory. Ciężko zresztą, aby było inaczej, każdy jest panem swojego odbicia, czyż nie?

Nagle syczę, zaciąwszy się paskudnie. Cholera, zapamiętajcie moje słowa: maszynek do golenia nie należy kupować u Ruskich! Przenigdy! Golenie się takim ustrojstwem to balansowanie na granicy podzrywania sobie gardła.

Pociesza mnie myśl, że szrama na gębie wygląda bardzo hardcorowo, a przecież szykuje się sesja zdjęciowa.

Jakoś udaje mi się dociągnąć golenie do szczęśliwego końca. Nieźle mi dzisiaj poszło, bilans to tylko jedno skaleczenie.

Bywało, że zdzierałem sobie pół twarzy.

Z obrzydzeniem naciągam nowe dzinsy. Mała czepiała się, że bojówki nie pasowały kolorystycznie do nowej flaneli, a wszelkie moje nieśmiałe protesty odrzucała stanowczo; jakoby byłem daltonistą, jak każdy przecież mężczyzna, a poczuciem estetyki dorównywałem co najwyżej Izabeli Trojanowskiej.

Nawet odbicie krzywi się na mój widok.

- Spoko - mówi, wyraźnie wbrew sobie. - Zajebicie w tym wyglądasz.

- Ach, tak - odpowiadam.

Jest chłodno, więc nakładam wiatrówkę. Muszę dbać o zdrowie, compadres zabiliby mnie chyba, gdybym się teraz rozchorował. Prześlizguję się wzrokiem po zakurzonych kostkach od erpega pod stołem. Nie graliśmy już od tak dawna... Smutno mi się robi.

- Ani słowa!

Odbicie potulnie zawiera gębę. Wychodzę z altanki, trzaskając drzwiami.

Po chwili wracam i zamykam je na klucz.

— * —

Wszystko zaczęło się mniej więcej miesiąc temu, gdy dobroniusz, a obdarzony słabą wyobraźnią wujek kupił Budzigniewowi gitarę na urodziny. Takie tam zwyczajne klasyczne pudło z nylonowymi strunami.

No i Budzigniewa kopnęło. Naściągał z internetu samouczków i całymi dniami nie ruszał się z domu. Jak już nawet wpadł do mnie na działkę, to i tak nieobecny był jakiś i bez przerwy ćwiczył chwyt na sucho. To jeszcze dawało się wytrzymać, chociaż zmulona pustka w oczach, gdy tylko oderwało się go od gitary, budziła irytację.

Ale parę dni później Budzigniew przypomniał sobie, że inny jego wujek pracuje w domu kultury. I że mają tam sprzęt.

- Założmy zespół - zaproponował któregoś wrześniowego wieczoru. Fala entuzjazmu, na której popłynęły jego słowa, omal mnie nie przewróciła.

- No pewnie - Nietopyr nawet nie oderwał wzroku od gameboya. - Powiedz mi tylko, dzisiaj czy jutro?

- Raczej jutro - Budzigniew jakby nie wyczuł ironii. -Dzisiaj to chyba pójdę z wujkiem pogadać.

Obłoczki szaleńczego entuzjazmu zbierały się pod sufitem.

- Eee... Budzigniew? - zaczęła Mała. -Tak?

- Bo widzisz... Nie umiemy na niczym grać... -No i?

- Jak to: no i?

- To będzie punkowy zespół.

Idea w sumie nie była głupia. Kto by nie chciał grać w punkowym zespole? Ukryta chęć rzępolenia tkwi głęboko w każdym. Myślę, iż w głębi ducha nawet pan Bolek, kominiarz, chciałby postawić irokeza.

- Mnie tam się pomysł podoba - powiedziałem ostrożnie. - Tylko wytłumacz mi, jak to sobie wyobrażasz.

Ach, słodka nieświadomości! Absolutnie nie zdawałem sobie wówczas sprawy, w co się pakuję.

- No... - zastanowił się Budzigniew. - Normalnie. Ja znam już parę chwytów. Starczy. Mała będzie śpiewać, ty z Nietopyrem utworzycie sekcję rytmiczną.

- Budzigniew - uśmiechnął się Nietopyr. - My o tym nie mamy najmniejszego pojęcia.

- Chrzanisz. Mało to koncertów w telewizji oglądałeś? Sekcja rytmiczna to perkusja i bas. Perkusista musi tylko tłuc w te garnki, a basista brzdąknie od czasu do czasu. Ot, wielka filozofia.

Mała podniosła rękę, jakby zgłaszała się na lekcji.

- Chciałam tylko wspomnieć, że kompletnie nie umiem śpiewać.

- No, co ty, oburzyłem się. - Najśliczniejszy masz głos na świecie.

Kiedyś Mała rozbiła krzykiem karafkę z winem. Moc.

- Pomyślcie tylko - w oczach Budzigniewa zapłonął niezdrowy ogień. - Koncerty, teledyski, tłumy fanów. Nasze nazwiska odnotowane w annałach, na stałe zapisane w historii popkultury...

- Pomyślcie tylko - rozmarzył się Nietopyr. - Długi za przypadkowe rozpieprzenie czegoś w domu kultury, powszechna niechęć... Nasze nazwiska na czarnej liście Wani Egzekutora.

Wania Egzekutor zajmował się ściąganiem wszelkiego typu wierzytelności. Jego skuteczność była już niemal przysłowiowa. Gdy dłużnik nie miał pieniędzy, sympatyczny Rosjanin zabierał mu nerkę albo wątrobę.

Jego obecność niezwykle hamowała rozwój drobnej przedsiębiorczości w powiecie.

- Bez przesady - roześmiałem się. - Może i jesteśmy ofiarami, ale mimo wszystko bez przesady.

- Zresztą, tam przecież pracuje mój wujek - przypomniał Budzigniew.

- W sumie to czemu by nie spróbować - zamyślił się Nietopyr. - To może być ciekawe.

Tak więc tego pamiętnego dnia zapadła decyzja o utworzeniu zespołu. Wyraźnie czułem drżenie zasłony Przeznaczenia.

— * —

Następnego dnia Budzigniew przyleciał do mnie o ósmej rano. Trochę się na niego wkurzyłem, bo była sobota, a w soboty zwykle sypiać do południa.

- Właż - burknąłem, wyczołgawszy się z barłogu. Wpadł do środka jak pocisk.

- Cześć. Idziemy po resztę.

- Ale po co? - rano zwykle słabo kontaktowałem, a w kontekście Budzigniewowego rozbiegania to już w ogóle poczułem się zdezorientowany.

Budzigniew westchnął.

- No, jak to po co. Salę nam w domu kultury na dziewiątą załatwiłem.

Zapadła chwila ciszy, podczas której spróbowałem pozbierać myśli. Z grubsza otrząsnąłem się już z sennego odrętwienia i mój umysł powoli osiągał wyższe obroty.

- To może zaczekaj chwilę - poprosiłem. - Umyję się. Sypiałem w ubraniu, więc z tym akurat problemu nie

było. Podszedłem do toaletki i ochlapałem się chłodną wodą. Ach, od razu lepiej.

- Pycha - usłyszałem. - To twoje?

- Ano - przyznałem nie bez dumy. Wiedziałem, o co chodziło: Budzigniew dobrał się do wina. Nie było to bynajmniej zwykłe wino. Pędziłem je samodzielnie, korzystając ze sprawdzonej tradycyjnej receptury. Teraz mało kto o tym pamięta, ale sztuka pędzenia wina ociera się o magię. I, przy zachowaniu odpowiedniego rytuału, napój powstaje iście magiczny.

Choć nie oszukujmy się: tanie jabole też nie są złe.

- Wyborne - Budzigniew otarł usta i skłonił się z szacunkiem. - To co, idziemy?

Więc poszliśmy.

— * —

Myślałem, że Mała nas pozabija, gdy przyszliśmy po nią kwadrans po ósmej.

- Nikt nie będzie mnie oglądał bez makijażu! - ryknęła zza zamkniętych drzwi.

Czekaliśmy więc przed jej domem przez mniej więcej pół godziny.

Z Nietopyrem poszło łatwiej. Brat przywiózł mu Playstation, więc i tak nie spał przez całą noc. Gotów był do drogi jak stał, choć nie wyglądał najlepiej: sińce pod oczami wyolbrzymiały, garbił się jeszcze gorzej niż zwykle i nie chodził, tylko się snuł. Gdyby do Cielecina zawitali Ghostbusters, mielibyśmy przez niego spore kłopoty.

W ogóle dziwnie nasz orszak wyglądał. Budzigniew niemal biegł, wyrywał się do przodu i trajkotał jak najęty. Mrukliwymi monosylabami kontrował go Nietopyr, wpadający na wszystko, na co tylko można wpaść, i potykający się bez przerwy Mała z kolei biadoliła, iż nie daliśmy jej czasu na zrobienie porządnego makijażu i usilnie starała się nie rzucać w oczy. Przyjrzałem się jej uważnie. Okazało się, że na jednej powiece miała cień zielony, a na drugiej fioletowy.

- Całkiem panczursko to wygląda - spróbowałem ją pocieszyć, na co omal nie wybuchła płaczem.

Tak sobie człapaliśmy w promieniach wrześniowego słońka, aż dotarliśmy do domu kultury. Był to spory budynek, przytulony jednym skrzydłem do Winnej Góry. Intrygująca nazwa pagórka wzięła się od winnej latorośli, porastającej przed wojną jego zbocza; obecnie wprawdzie nie było po niej śladu, jej miejsce zajęły rozłożyste kasztanowce, a ruiny winnicy dawno porosła trawa, ale historyczna nazwa pozostała.

I bardzo dobrze. To przyjemne mieć świadomość, iż pędząc wino na działce kultywuje się lokalną tradycję.

— * —

Wujek Budzigniewa okazał się bardzo miłym facetem. Miał posturę niedźwiedzia, nosił wytarte dżinsy i kraciatą koszulę, przez co przypominał kanadyjskiego drwala, z tych, co to w pojedynkę puszcę wykarczują. Jego uśmiech był przesympatyczny, choć z drugiej strony facet miał w sobie coś atawistycznego. Mógłby grać w filmie o jaskiniowcach; patrząc na jego brodę, człowiek oczekiwał, iż wypadnie z niej ogryziona kość.

- Lechu jestem - przedstawił się tubalnie i zaprowadził nas do znajdującej się w piwnicy sali prób.

- Spoko gość - mruknąłem, gdy zamknął za sobą drzwi.

- Co nie? - szczery uśmiech Budzigniewa ledwie mieścił się na twarzy.

Nieco nieufnie rozejrzałem się po pomieszczeniu. Było niskie, ciemne i wilgotne; przez zakratowane okienka wpadało niewiele światła. Kamienna podłoga i ściany z ciemnej nieotynkowanej cegły potęgowały nieprzyjemny nastrój. Salka wyglądała niczym loch świętej inkwizycji.

Pod ścianą stał archaiczny lampowy stół mikserski zabrany chyba szalonemu naukowcowi z jednego z pierwszych filmów o Jamesie Bondzie. Obok, na specjalnych stojakach, pyszniło się kilka gitar i mikrofonów. W kącie ulokowano zestaw perkusyjny, nieco niekompletny i na pewno nie pierwszej młodości.

Dokładniejsze oględziny pozwoliły ustalić, że finanse na sprzęt muzyczny skończyły się mniej więcej w połowie lat osiemdziesiątych. Tylko jedna gitara była nieznacznie młodsza ode mnie.

- Białoruskie wszystko - oznajmiła Mała, która ze względu na wschodnie korzenie babci nieco orientowała się w cyrylicy.

Nic jednak nie mogło powstrzymać radosnego entuzjazmu Budzigniewa. Poinstruowany wcześniej przez wujka, podłączył co trzeba i zakomunikował głosem nie znośnym sprzeciwu:

- Zaczynamy.

- Niby jak? - zapytał wciąż otepiały z niewyspania Nietopyr.

- Normalnie. Łapcie za instrumenty i gramy.

- Ale co gramy?

- O jeny - Budzigniew wzniośł oczy. - Nieistotne. Cokolwiek.

Mała chciała coś powiedzieć, ale gestem dałem jej do zrozumienia, że nie warto. Łatwiej było zatrzymać lodołamacz niż Budzigniewa, gdy już się do czegoś zapalił.

No więc złapaliśmy za instrumenty. Przyznam ze wstydem, iż perfidnie wykorzystałem otepienie Nietopyra i wrobiłem go w perkusję. Do tej pory nie ustaliliśmy bowiem, który z nas ma na czym grać. A ja jakoś od początku nie byłem przekonany do roli perkusisty. Tyle bębnów i talerzy... Bas miał tylko cztery struny i wyglądał mniej przerażająco.

Jakby nigdy nic chwyciłem gitarę basową i zająłem miejsce obok Budzigniewa. Mała położyła mikrofon na statywie i w zakłopotaniu przestępowała z nogi na nogę. Nietopyr nie miał innego wyjścia, jak tylko zawlec się za perkusję.

- Zaczynamy! - krzyknął Budzigniew i zagrał kilka nut. Albo raczej: zazgrzytał, bo nałożony na gitarę białoruski przester nadawał jej dźwiękowi subtelną głębię piłowania metalu.

- A wy na co czekacie? - zdziwił się.

- Eee... Co ja niby mam śpiewać? - zapytała Mała.

- Cokolwiek - westchnął Budzigniew. - Ludzie, improwizujcie.

I z powrotem zaczął rzępolić. Nie chciałem robić mu przykrości, więc brzdęknąłem kilka razy na najgrubszej strunie; z głośników popłynęło chorobliwe charczenie. Skinąłem na Nietopyr a. Chłopak, dzierżąc pałeczki jak tłuczki do kartofli, wystukał na werblu rytm anemiczny i trochę koślawy.

- Co ja mam niby śpiewać? - Mała zanuciła na melodię „Londons Calling”. - Cooo mam, chooolera, śpieeeewaaać?

Dziwne, że sufit nam nie runął na głowy, taka to była kakofonia. Mówi się czasem o kosmicznej harmonii, o muzyce sfer. My stworzyliśmy raczej antymuzyczny łomot na skalę galaktyczną. Czekałem tylko, kiedy nas wyrzucą.

Tymczasem zaczynało się to robić zabawne. Powoli się rozkręcaliśmy. Budzigniew coraz intensywniej katował przetworniki gitary, Nietopyr odważył się walnąć parę razy w talerze. Mała przeszła do opętańczego wycia.

Brzdąkałem już na dwóch strunach, na zmianę.

— * —

Następną próbę (bo tak to zaczęliśmy na wyrost nazywać) zaplanowaliśmy dopiero na za tydzień. Przez ten czas wszyscy już przekonaliśmy się do zabawy w zespół, znikły ostatnie wątpliwości. Zawsze to było coś nowego.

Inna rzecz, że niespecjalnie poważnie do tego podchodziliśmy. Poza Budzigniewem, oczywiście.

- Musimy się jakoś nazwać - oznajmił. - Co powiecie na Guns'n'Budzigniew?

- Straszna bieda - skwitowała Mała.

- Może Budzigniew's Addiction?

- Budzigniewie - rzekła poważnie Mała. - Wiem, że pragniesz ekspresji własnej osoby. Ale daj se lepiej siana.

- To co proponujesz?

- Gang z Altanki - wypaliła.

Nazwa była na tyle kretyńska, że spodobała się wszystkim. Oficjalnie zostaliśmy więc Gangiem z Altanki.

- No dobra. To teraz kwestie repertuarowe. Musimy ustalić, co chcemy grać. Co powiecie na mroczny punk rock podszyty blackmetalem, z lekką naleciałością grungeu w warstwie wokalnejszej?

- Budzigniewie - Mała była bardzo poważna. - Będziemy grać, co nam wyjdzie.
- No dobra - Budzigniew był niezrażony. - To ja na sobotę przygotuję parę piosenek.
- Ja mogę napisać teksty - zaproponowała.

— * —

Jakoś zleciał nam ten tydzień. Nie działo się nic ciekawego ot, szkolna rutyna. Jedyne podnoszące ciśnienie zdarzenie miało miejsce w czwartek, gdy z niewyjaśnionych przyczyn małżom znudziło się przebywanie w zalewie z białego wina. Pomysłowe mięczaki wydostały się z lodówki Małej i rozpełzły po całym domu.

Małże w białym winie... Obrzydliwość, swoją drogą.

W każdym razie w sobotę rano spotkaliśmy się w altance i bez zbędnych ceregieli poszliśmy do domu kultury.

- No to zaczynamy - powiedział Budzigniew, gdy już zainstalowaliśmy się w salce. - Pokażę wam kawałki, które napisałem.

I zarzępolił. Gitara na przemian jęczała i wyła, nie szło wyłowić jakiegokolwiek melodii. Na dobrą sprawę efekt nie byłby gorszy, gdyby wlec za sobą włączoną gitarę po podłodze. Myślę, że pawian zagrałby to bez większego problemu..

- I jak? - zapytał Budzigniew, gdy już przebrzmiała ostatnia, przeraźliwie wysoka nuta.

- Nieźle - odparłem dyplomatycznie. - Ale do Hendrixa jeszcze ci trochę brakuje.

- Wiem - przyznał skromnie. - Dopiero się uczę.

- Zmieńmy nazwę na Gniew Wobec Jerycha - zaproponował Nietopyr. - Lepiej to odda istotę sprawy.

Budzigniew uśmiechnął się głupio, nie do końca pewien, czy usłyszał komplement, czy też nie.

- No dobra. Teraz drugi kawałek. - powiedział.

Szczerze mówiąc, nie różnił się specjalnie od pierwszego. Zagrał trzeci. Znowu niemożliwe było wyłapanie jakichkolwiek zmian, przynajmniej nie bez użycia wyspecjalizowanych urządzeń. Dopiero czwarty utwór zabrzmiał inaczej, pojawiło się nawet coś melodiokształtnego, przy pewnej dozie dobrej woli dającego się słuchać.

- To było całkiem przyzwoite - rzekła Mała.

- Cholera - mruknął Budzigniew. - Kompletnie to spieprzyłem. Od początku do końca myliłem chwyt. Nie tak miało być.

- I wszystko jasne.

- Spoko - klepnałem go w ramię. - Wyszło naprawdę fajnie.

- No - dodał Nietopyr. - Tak powinno zostać.

Po minie Budzigniewa wnioskowałem, iż rozdarty był wewnętrznie: nadać się czy wkurzyć. Jednak wiecie, jak to jest. Wyjdzie coś niechcący, a potem zadziera człowiek nosa, jakby to była jego niepodważalna zasługa. Jak z penicyliną, że się posłużę tym wyświechtanym przykładem. Rewolucyjne odkrycie świat nauki zawdzięcza tylko temu, że pewien Szkot miał syf w laboratorium i grzyby się załęgły. Paranoja. Widocznie tak już człowiek działa.

Umysł Budzigniewa nie miał więc oporów przed zawłaszczeniem sobie praw autorskich.

- W sumie to może i macie rację - uśmiechnął się. - Ta wersja faktycznie jest chyba nieco lepsza.

- Nawet by melodia pod mój tekst pasowała - powiedziała Mała.

- Napisałaś tekst? - ucieszył się Budzigniew.

- No przecież mówiłam, że napiszę. - Mała wyciągnęła z kieszeni zmiętą, zagryzmołoną kartkę.

Nie wiem dlaczego w społeczeństwie pokutuje przekonanie, iż jak już się ktoś urodzi dziewczyną, to jego pismo musi być śliczne, równiutkie i superestetyczne. Pismo Małej rozwalalo tę teorię jak buldożer wigwam. Było pokraczne i absolutnie nieczytelne. Jej rodzice byli lekarzami można to od biedy potraktować jako okoliczność łagodzącą.

Bo że jej się nie chciało, to co innego.

- To nam zaprezentuj - poprosiliśmy.

Mała odchrząknęła i zaczęła recytować z egzaltacją. Budzigniew przerwał jej, gdy kończyła pierwszą zwrotkę.

- A nie mogłabyś od razu zaśpiewać?

- Chyba mogłabym...

Wzięła więc i stanęła za mikrofonem.

- Tak a cappella? - powątpiewała.

- Bardzo cię proszę.

No i Mała zaczęła śpiewać. Bardzo fajnie jej to szło, serio. Mała ma bardzo ładny głos, a o jej możliwościach już wspominałem. Gdy się tylko przykladała, spokojnie kasowała większość namolnie lansowanych gwiazdek. Sam tekst też był niezły. Zwłaszcza refren: cholernie chwytliwy. Chwytliwy jak klamka, powiedziałbym.

Słuchaliśmy Małej z otwartymi ustami; wyraźnie widziałem, jak z rozdziawionej paszczy Budzigniewa pociekła strużka śliny.

To była prawdziwa rewelacja.

- Eee... ekstra - wykrztusiłem.
Budzigniew otarł łzę szczęścia.

— * —

Mieliśmy więc już gitarę i wokala. Pozostawała kwestia sekcji rytmicznej.

- Nietopyr, Modrzew, postarajcie się - błagał Budzigniew.

Tego dnia w obskurnej salce panowała arcykreatywna aura. Dość powiedzieć, iż prosty, ale przyjemny motyw basu ułożył mi się sam, ledwie wziąłem gitarę do ręki. Nietopyr ponoć ćwiczył trochę w domu, na doniczkach, i udało mu się wybębnić rytm raczej nieskomplikowany, ale przystający do punkowej piosenki.

Cholera, nagle poczułem, jak rozsadza mnie duma. Udało się nam stworzyć pierwszą piosenkę! Spróbowaliśmy zagrać. Wyszło tak sobie, bo wszyscy myliliśmy się bez przerwy, ale słyhać było, że poszczególne elementy pasują do siebie, jak w dobrej sałatce z majonezem.

Poczuliśmy moc, bogowie w dźwiękowym uniwersum. Dokonaliśmy bezprecedensowego aktu stworzenia.

- Trochę nad tym popracujemy, to będzie ideał - powiedział Budzigniew.

- Aha - kiwnął głową Nietopyr. - Świat będzie nasz.

- Jak dla mnie, może być - oznajmiłem

- Całkiem nieźle, jak na pierwszy raz - oceniła Mała. - Nawet nie fałszowałam zbyt.

- No co ty - oburziliśmy się. - Jesteś najlepszą wokalistką na świecie.

- Jasne - uśmiechnęła się z lekka kpiąco. - A Budzigniew najlepszym gitarzystą.

- Ależ ja się dopiero uczę - zaprotestował Budzigniew, znów niezbyt pewien czy go chwala, czy wręcz przeciwnie.

- O jeny - westchnąłem. - Dajcie sobie spokój.

- Proponuję małą improwizację dla rozluźnienia - rzekł Budzigniew. - Nic nie relaksuje lepiej niż niezobowiązujące brzdąkanie.

Pograżyliśmy się więc w radosnej improwizacji. Dzika kakofonia sprawdziłaby się świetnie jako podkład dźwiękowy do Ragnaroku.

- A daj mi na chwilę gitarę - poprosiła Budzigniewa Mała, zmęczona już najwidoczniej generowaniem apokaliptycznych wokaliz.

Budzigniew z namaszczeniem wręczył jej instrument, a sam stanął za mikrofonem. Nietopyr zawzięcie udawał perkusistę, ja szarpałem struny, leżąc na plecach. Było punkowo jak jasna cholera.

I nagle doznałem nieprzyjemnego uczucia déjà vu. Po prostu wiedziałem, że zaraz coś się stanie. Uwagę skupiłem na Małej.

Niczym na zwolnionym filmie widziałem, jak dziewczyna potyka się o kabel od wzmacniacza, jak traci równowagę i zaczyna się przewracać. Jak naturalnym, instynktownym odruchem próbuje osłonić się gitarą.

TRZASK.

Gitara rozleciała się na kawałki. Mała podniosła się, klnąc pod nosem.

- Nic ci nie jest? - zerwałem się.

- Raczej nie - skrzywiła się. - Kurde, co ja narobiłam...

- Fuck - mruknął Budzigniew, patrząc na szczątki gitary.

- Nie martw się - powiedziałem, choć sam pewnie nietęgą miałem minę. - Przecież, eee, nic się nie stało.

- No - bąknął Nietopyr. - Nic.

- Odkupię - jęknęła Mała.

- Wszyscy odkupimy - westchnął Budzigniew. - Zrobimy zrzute.

- Każdemu się mogło zdarzyć - pocieszałem. - Mnie czy Budzigniewowi..

- Pewnie - Mała była zdołowana. - Tylko ja jestem taką ofiarą...

Nagle zbladła i osunęła się na ziemię.

- O Boże - stęknął Nietopyr.

- Mała! - pochyliłem się nad nią. - Mała, co z tobą?

- Mmmm... - otworzyła oczy. - Nie, nic.

- Chodź - podniosłem ją. - Źle się czujesz?

- Nie, nie - powiedziała słabo. - Wszystko jest w porządku.

Odetchnąłem i przytuliłem ją do siebie.

Ale w głębi serca wiedziałem, że nic nie jest w porządku.

— * —

Zdołaliśmy wytłumaczyć się z tej nieszczęsnej gitary. Wujek Budzigniewa zachował klasę, nie robił tragedii. Przełknął rzecz gładko i z uśmiechem.

Choć trzeba przyznać, że ten uśmiech zyskał na autentyczności, gdy obiecaliśmy instrument odkupić.

W każdym razie poszło znacznie lepiej niż się spodziewaliśmy, czarny scenariusz zakładał ciężki opierdziel i wylot na zbity pysk.

- Jakoś to wszystko będzie - przekonywał mnie Budzigniew, gdy parę dni później siedzieliśmy we dwóch w altance. - Wierzę w ten nasz zespół. To się może udać.

Mówił powoli i z lekka już bełkotliwie. Nieskromnie muszę przyznać, iż wyszła mi najlepsza partia wina w życiu, a przecież nie mogłem przyjacielowi żałować.

- Znowu przegrałeś - oznajmiłem.

- To nie fair - westchnął. - Bo ty jesteś trzeźwy. Graliśmy sobie na Nietopyrowym playstation. Przytargał je chłopak przedwczoraj i jeszcze nie przyszedł po odbiór, więc głupio było tego nie wykorzystać. Budzigniewowi trzęsły się już ręce, z łatwością odnosiłem zwycięstwo za zwycięstwem.

- Dawaj jeszcze raz - wymamrotał.

Przez chwilę toczyliśmy walkę w pełnym skupieniu milczeniu. Potem Budzigniew wydał z siebie serię dziwnych, nieprzyjemnie wilgotnych dźwięków. Coś jakby bagno albo napowietrzacz do akwarium.

- Ale fajnie - ucieszył się. - Mam pijacką czkawkę. Nagle rozległo się pukanie. Podniosłem się ociężale

i powlokłem zobaczyć, kto zacz.

- Zapauzuj, oszuście - rzuciłem, widząc, iż Budzigniew nie przerywa gry.

Otworzyłem. Przed drzwiami stała Mała.

- Mała - zaryzykowałem. - Coś dziwnie wyglądasz. Ubrana była na czarno, a jej włosy lśniły drobinami brokatu. W dziwacznej sukni z gorsetem wyglądała jak wampir. Całości dopełniał ciężki gotycki makijaż. Gdybym nie wiedział, że to moja kochana Mała, raczej nie odważyłbym się wpuścić jej do środka.

- Zdaje ci się - odparła spokojnie. - Chyba że masz na myśli mój nowy image. Czyżby się nie podobał?

- Ależ skąd takie przypuszczenie - wycofałem się, widząc w jej oczach zły błysk. - Całkiem, eee, oryginalny.

- Też tak myślę - uśmiechnęła się, odsłaniając równiutkie ząbki.

Na ten widok ciarki przeszły mi po grzbiecie, a Budzigniew skulił się w fotelu. Coś się w Małej zmieniło. Było w niej coś dziwnego. Niedobrego. Krwiożerczego.

- Chcesz może zagrać? - rozpaczliwie podsunąłem jej gamepada, nie bardzo wiedząc, co robić. Był to błąd.

Po chwili bowiem konsola leżała na podłodze i iskrzyła, Mała zaś śmiała się obłąkańczo. W uszach brzmiał mi paskudny chrzęst łamiącego się plastiku. Budzigniew wyglądał, jakby miał do ewolucji poważny żal, że nie wykształciła mu skorupy.

- Mała - jęknąłem. - Nietopyr nas zakatrupi. Własną głową ręczyłem, że nic się tej zabawce nie stanie.

- Wyluzuj, Modrzew! - uśmiechnęła się kpiąco. -Rock'n'roll! Patrz! - krzyknęła.

Złapała stojącą na stole, w połowie jeszcze pełną butelkę i z rozmachem trzasnęła nią w ścianę. Kawałki szkła zawirowały w powietrzu, wino chlusnęło nam na twarze.

Szukałem wzroku Budzigniewa, ale Budzigniew szczelnie zamknął się w sobie.

- Z czego to było? - zapytała.

- Z gruszek - wykrztusiłem.

- To i niewielka strata - roześmiała się swobodnie. - Paskudztwo. Dobra, będę spadać, na chwilę tylko wpadłam. Próba w sobotę?

Bezmyślnie kiwnąłem głową.

Pocałowała mnie w policzek i trzasnęła drzwiami.

Zdawałem sobie sprawę, że życie w Cielęcinie wypacza nawet pojęcie absurdu. Ale pewne rzeczy jeszcze do mnie docierały.

Stałem więc, ociekając gruszkowym winem, i gapiłem się w drzwi jak Zulus na wahadłowiec albo z jeszcze głępszą miną.

- Wow - mruknął Budzigniew, patrząc na mnie ponuro. - To chyba te dni.

— * —

Playstation Nietopyra udało się uratować. Trochę drutu, taśmy klejącej, małe lutowanko i działało jak nowe. Nikt by nie zauważył.

Zrobiliśmy rzrzute na tę nieszczęsną gitarę dla domu kultury. Z bólem serca rozstaliśmy się z forszą chomikowaną od kilku miesięcy na zakup paru dodatkowych podręczników do erpega, pozbyliśmy się wszelkich zaskórniaków, musiałem nawet sprzedać trochę wina. Ale w końcu uzbieraliśmy. Budzigniew wszystko załatwił i drzwi do salki wciąż stały dla nas otworem.

Czas dzieliliśmy teraz między szkołę i próby. W szkole jak to w szkole. We wtorek wybuchła mała afera, gdyż Krzywy wrócił spalony z próbnego alarmu przeciwpożarowego. Grono pedagogiczne wykazało się jednak wielką wyrozumiałością i nie wyleciał ze szkoły za

narkomanię, tylko przez dwa dni musiał szorować kible. W środę miała miejsce niewielka eksplozja, gdy peowiec odkurzał swoje ukochane pociski mózdzierzowe. Obiecaliśmy dyrekcji, że będziemy go odwiedzać.

Na próbach szło nam coraz lepiej. Nasz popisowy numer, zatytułowany roboczo „Piję wino”, wychodził nam za każdym razem coraz lepiej i byliśmy już bliscy osiągnięcia perfekcji. Stopniowo wzbogacaliśmy też repertuar; potrafiliśmy już zagrać parę punkowych standardów. Budzigniew wciąż doskonalił się w gitarowym fachu, Nietopyr grał już dwiema rękami naraz i trzymał nawet rytm. Ja też, nie chwając się, grałem coraz lepiej.

Problem był z Małą. Nie chodziło tu o jej wokal, niezmiennie znakomity, raczej o zachowanie. W jednej chwili była słodką, kochaną dziewczyną, by nagle zmienić się w demolującego otoczenie wampa. I nijak nie wiązało się to z jej słynną już psychiczną trójdzielnością. Dotychczasowe przeskoki między analitycznym chłodnym Ja, romantycznym Chyba Ja i demonicznym Czymś Trzecim pojawiały się w miarę regularnie i z grubsza dawały się przewidzieć; zachowywała też proporcje między poszczególnymi wcieleniami. Uważnie obserwując i zachowując czujność, można było z Małą współistnieć naprawdę bezproblemowo.

Teraz wszystko się pochrzało.

Raz tak wyszło, że idąc na próbę dyskutowaliśmy zawzięcie o poezji.

- Kobieta zmienną jest - skwitował Nietopyr, gdy Mała, urwawszy w połowie zdanie wychwalające nieprzeciętny talent noblistki Szymborskiej, podbiegła do jakiegoś menela i kopnęła go w dupę.

- Bywa - rzekł, gdy, skończywszy delektować się rumianym jabłuszkiem, cisnęła ogryzkiem w autobus.

Nabierałem konkretnych podejrzeń.

— * —

Niedziela, jak na koniec września, była wyjątkowo ciepła i słoneczna. Rozłożeni na leżakach zażywaliśmy ostatnich chyba w tym roku kąpielei słonecznych. Mała koniecznie chciała opalać się topless i trochę czasu mi zajęło, zanim jej to wyperswadowałem, ku wyraźnemu rozczarowaniu Nietopyra.

Nagle wyczułem, że nadciąga Budzigniew. Pchał przed sobą falę entuzjazmu, aż świat nabierał ostrzejszych barw, a wróble zaczynały kreślić w powietrzu radosne ósemki.

- Koncert gramy! - obwieścił od bramki.

- Jak to? - zapytał Nietopyr.

- Normalnie - Budzigniew spoczął przy nas. - Za tydzień w „Katakumbie”.

„Katakumba” była klubem w domu kultury. Pasowała tam jak, nie przymierzając, prałat Jankowski na przedszkolankę; ciemna mordownia w nobliwym postpeerelowskim przybytku. Coś jakby burdel w piwnicy domu spokojnej starości. Organizowano tam rockoteki, na których kosztem niewielkich starań można było stracić życie. Jednego skejta, który się tam zaplątał, odratowano tylko dzięki skomplikowanej operacji - metalowcy kazali mu zjeść deskorolkę. Próbowali też nawlec na statyw mikrofonu wokalistę lokalnego zespołu, który ich zdaniem sprofanował kawałki Metalliki.

- Budzigniewie - rzekłem ze zgrozą. - Czy ty wiesz, o czym mówisz?

- Wszystko zorganizowałem - pochwalił się. - Będziemy atrakcją rockoteki.

- Nie wątpię - przyznał Nietopyr. - Tylko że ja chcę żyć.

- No co ty - roześmiał się Budzigniew. - To dla nas okazja, aby dać się poznać publiczności i być może zdobyć lokalną popularność.

- Albo udać się na Wielkie Łowy - mruknąłem. Mała wstała i zmierzyła nas pogardliwym wzrokiem.

- Pękacie - rzuciła.

- Ależ kochanie - uśmiechnąłem się przymilnie, a w głowie zatliła się iskierka nadziei. Postanowiłem uchwycić się ostatniej szansy. - Przecież wiesz dobrze, że grając od dwóch tygodni, nie możemy dać koncertu.

- Niby czemu? - zapytała jednocześnie z Budzigniewem. Spojrzeli po sobie.

- No bo... Metalowcy nas zabijają, jak to usłyszą.

- Skąd. Będą zachwyceni.

Niestety. Budzigniew mówił poważnie. Mimo najszczerzych chęci nie dosłyszałem w jego głosie ironii, ani nawet przekąsu. Jeśliby przyrównać szanse do pociągów, właśnie odjeżdżał ostatni, a ja stałem bezradnie na peronie.

- Nie wiem, czy to najlepszy pomysł... - próbowałem jeszcze, choć bez wiary w sukces.

- Ale ja wiem - ucięła Mała. - Gramy i koniec. Jasne?

- Jasne - zgodziłem się potulnie.

- A ty - warknęła na Nietopyra. - Jakież obiekcje?

- Żadnych - powiedział ze zrezygnowaną miną. - Już dawno napisałem testament.

- Rany, jak się cieszę! - krzyknął Budzigniew. - Zagramy prawdziwy koncert!

Po prostu promieniał radością i tym prawdziwym, pierwiastkowym szczęściem. Aż dziwne, że spod ziemi nie wychynęły kwiaty, by otoczyć jego stopy barwnym kobiercem.

— * —

Wracaliśmy z ostatniej już próby przed koncertem.

- Czuję, że to będzie nasz dzień - mówił Budzigniew. - Jeżeli jutro zagramy nasze kawałki tak, jak wyszły nam dzisiaj, to nie mamy się czym martwić.

Cóż, rzeczywiście daliśmy wtedy czadu jak nigdy. Wszystko wychodziło perfekcyjnie, fałsze wkradały się

rzadziej niż sporadycznie, a i brzmienie jakieś było lepsze niż zwykle. Byliśmy w znakomitej dyspozycji. Nawet patrząc na sprawę przez pryzmat ostrożnego sceptycyzmu, pozostawaliśmy dobrej myśli.

Przeszły mi już myśli samobójcze, związane z występem w „Katakumbie”. Teraz traktowałem to raczej jako wyzwanie, możliwość udowodnienia czegoś sobie samemu. Podskórnie chciałem wiedzieć, czy zdołamy okiełznać nieprzyjazny tłum, czy wystarczy nam woli i determinacji, aby zwyciężyć. Bo czekała nas ciężka walka: po jednej stronie my, z naszymi rozlatującymi się instrumentami i skromnymi umiejętnościami, po drugiej bywalcy klubu, okrutni i bezpośredni, niewystawiający recenzji, tylko noże.

Potrzebowaliśmy strategii.

- Ustawimy się tak - tłumaczyła Mała. - Ty, Modrzew, z Nietopyrem po lewej stronie sceny, Budzigniew po prawej. Ja stanę pośrodku i będę skupiać na sobie uwagę. Dlatego wezmę tę obcisłą kieckę.

Poczułem ukłucie zazdrości. Inni będą podziwiać wdzięki mojej dziewczyny? Szybko mi jednak przeszło. Ostatecznie, nie ubędzie jej od tego, a może ujdziemy z życiem.

Feromony. To żalosne, ile razy chemia organiczna ratowała nam głowy.

- I nie możecie dać po sobie znać, że jesteście zdenerwowani. Strugajcie rutyniarzy.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Już to widziałem. Czuję, że czeka mnie bezsenna noc.

— * —

Poranek nastał podejrzanie szybko. Rzeczywiście, przez całą noc nawet nie zmrużyłem oka.

Gdy zobaczyłem swoją twarz w lustrze, poczułem mdłości. Odbicie jęknęło ze zgrozą.

- Ani słowa - uprzedziłem, wymownie chwytając za młotek. Leżał na wierzchu, bo poprzedniego dnia naprawiałem taboret, którym ostatnio rzucała Mała.

Odbicie przełknęło ślinę.

Godziny wlekły się jak żółwie. Gdy w końcu przyszedł Budzigniew, wydawało mi się, że zapuściłem w fotelu korzenie.

- Hardcorowo wyglądasz - ucieszył się. - To dobrze, image będzie bardzo istotny.

Aha. Więc wiedziałem już, dlaczego przyszedł w wieśniackich ciemnych okularach i różowej koszuli, stylizowanej krojem na lata siedemdziesiąte.

- Wow - mruknąłem. - Dzięki. Wydawało mi się, że zaiskrzy.

Zderzenie mojej ponurej aury z aurą Budzignie-wa, głupkowato wręcz radosną, przypominało front burzowy.

— * —

- Fuck, fuck, fuck - mantrował Budzigniew, chodząc w kółko.

Nietopyr siedział na podłodze pod ścianą jak ćpun dworcowy, z uwagą przypatrując się czubkom własnych butów. Ja obserwowałem ciemne plamy na ścianie. Lekko trzęsły mi się ręce.

Nerwowo było.

- No, co wy? - Mała spoglądała na nas z pogardą. -Panikujecie? Trema was zżera?

- Nie potwierdzam - wybełkotał Budzigniew. - Nie zaprzeczam.

Nietopyr podniósł wzrok na Małą. Dawno nie widziałem tak pustego i bezmyślnego spojrzenia. Już oczy glonojada wyrażają więcej emocji.

Nagle otworzyły się drzwi. Stał w nich pan Lechu, wujek Budzigniewa.

- Okej - powiedział. - Możecie wychodzić. Powodzenia!

Wstaliśmy i poczłapaliśmy ku wejściu na scenę. Zgodnie z ustaleniami, Mała wchodziła na końcu.

- Pamiętajcie - syknęła. - Dobre wrażenie.

— * —

Ludzie tłoczyli się w klubie. Za stolikami zasiadali postawni metalowcy z zaplecionymi w warkocze brodami, wyglądający jak znacznie powiększone wersje erpegowych krasnoludów. Cholera wie, Thora czcili czy może szatana, grunt, że sprawiali wrażenie, jakby chętnie złożyli kogoś w ofierze. Pod samą sceną ustawiło się trochę długowłosych indywiduów, spoglądających na nas z zaciekawieniem.

Panowała specyficzna atmosfera ciszy przed burzą, zastoju, nim toporki przetną powietrze.

- Czołem - wykrztusił do mikrofonu Budzigniew. - Przed wami Gang z Altanki.

Przez salę przetoczył się pomruk. Gdzieniegdzie wybuchły śmiechy.

Nietopyr jęknął za moimi plecami.

- Pochowajcie mnie na działce - usłyszałem. Budzigniew kontynuował nawiązywanie kontaktu z publicznością.

- Na początek coś z klasyki - obwieścił. - Raz, dwa, trzy...

Zagrał prosty riff. Po chwili włączył się Nietopyr, cicho stukając w hihaty. W tym momencie na scenę weszła Mała. Dała nam umówiony znak.

Budzigniew stłumił struny, zapanowała cisza. Mała odchrząknęła. Nie był to może szczególnie wyrafinowany sposób budowania dramaturgii, jednak sprawdzał się całkiem nieźle.

Jeszcze chwila, jeszcze chwila...

- *Jabolpunk!* - krzyknęliśmy chórem. Zaczęliśmy grać.

Kawałek wypadł równo, bez większych potknięć. Ot, Nietopyr parę razy złamał rytm i raz nie trafił w talerze, Budzigniew lekko zafalował solówkę. Ale ogółem było bardzo dobrze, jak na próbach.

Ludziom też się podobało; gdy po dwóch minutach skończyliśmy, odezwały się nieśmiałe brawa. Odetchnęliśmy z ulgą. Nasze szanse rosły i było coraz bardziej prawdopodobne, że uniesiemy głowy.

- Teraz absolutny kanon - powiedział Budzigniew. - Coś zza kanału La Manche.

No i zaczęliśmy grać

- *Rage!* - ryknęła Mała. - *Now!* Tłum zafalował z uznaniem.

Pod sceną się zakłębiło: długowłose indywidua rozpoczęły pogo. Specyfika tegoż sprawiła, że radosne podrygi na zasadzie efektu domina rozprzestrzeniły się na pół sali. Ktoś wskoczył na stół.

Śpiew Johny'ego Rottena można by w porównaniu z Małą nazwać co najwyżej bulgotem. Reszta Pistolsów też bynajmniej nie była wirtuozami, więc nasza wersja dalece przewyższyła oryginał.

Docenili to zebrani, nagradzając nas gromkimi brawami. Nawet metalowcy, obwieszeni wszelkim żelastwem, że aż chciałby się człowiek pobawić elektromagnesem, klasnęli parę razy. Było to niezwykle, zważywszy, że pięć minut wcześniej rzucali nam spojrzenia sugerujące gotowość ciągnięcia harleyami po bruku.

- Dzięki - rzekł Budzigniew. - To może teraz nasza autorska kompozycja.

Ludzie umilkli w oczekiwaniu. Nieco skonfundowany spojrzałem na Budzigniewa, według planu mieliśmy zagrać jeszcze kilka coverów, a dopiero potem startować z naszym własnym materiałem. Nietopyr był tak samo zaskoczony, jak ja. Mała wzruszyła ramionami.

Budzigniew uśmiechnął się promieniście. Jakaż zaszła w nim przemiana! Gdy wchodziliśmy, tyle w nim było pewności siebie co w siedmiolatku stającym do pierwszego w życiu szkolnego apelu. Teraz wyglądał, jakby zamierzał rzucić się w tłum.

Widocznie, nacytawszy się branżowych magazynów, postanowił postawić na spontaniczność. Pokręciłem głową, ale na jakąkolwiek dyskusję było za późno: rozległy się pierwsze takty gitary. Radzi nieradzi, musieliśmy dołączyć.

Piję wino ograliśmy przez te wszystkie próby niemal perfekcyjnie. Palce same łapały odpowiednie chwyt, ręka sama przesuwała się po gryfie. Czuję się, jakbym był zawodowcem, kończącym właśnie dwuletnią trasę koncertową. Ot, rutyniarstwo. Jasne.

Do drugiego refrenu wszystko było dobrze. Bas pulsował jak powinien, Nietopyrowa perkusja podawała prosty taneczny rytm. Budzigniew rzępolił melodyjnie, Mała była klasą sama dla siebie.

Ludziom się udzieliło, zaczęli klaskać do rytmu. Powietrze w sali aż wibrowało od pozytywnej energii.

A potem rozpętało się piekło.

Mała ryknęła przepotężnie, pogujący polecili pod przeciwległą ścianę. Cisnęła statywem jak oszczepem w największy tłum. Wyrwała osłupiałemu Budzigniewowi gitarę i prasnęła w najbliższy stolik; kufle z piwem poleciały na boki, jakiś metalowiec złapał się za głowę i runął na ziemię. Mała kopniakiem obaliła solidny białoruski wzmacniacz, ważący ładnych parę kilo, i zepchnęła go metalowcowi na głowę. Biedak podniósł się niezgrabnie, zamrugał, rozejrzał wokół, po czym runął na plecy i zastygł w ekspresyjnej pozie z naprawdę idiotyczną miną.

Początkowo nikt nie wiedział, co się dzieje. Ale w momencie, gdy jakiś wysoki gość z dreadami cudem uniknął dekapitowania, bo perkusyjny talerz śmignął mu centymetr koło ucha, wszelkie wątpliwości się rozwiały.

Zaczęto krzyczeć.

Kto tylko mógł, rzucił się w stronę wyjścia. Inni chowali się pod stołami; ktoś skoczył szczupakiem na ladę bufetu, w filmowym stylu kosząc szklanki, kufle i kieliszki. Nikt nie próbował powstrzymać szalejącej Małej.

Sam odsunąłem się najdalej, jak tylko mogłem, kurczowo uczepony basu. Trochę to ograniczało możliwości, bo kabel był dziadowsko krótki, ale w takich sytuacjach mało kto działa racjonalnie.

Owszem, widziałem już Małą w podobnym stanie, tyle miesięcy byliśmy razem, to i naoglądałem się popisów rozmiłowanego w destrukcji Czegoś Trzeciego. Ale teraz przekroczyła wszelkie granice. To, co się działo, nijak nie mieściło się w jej standardach. Mała była jak ziemską ambasadą końca świata.

Staliśmy na scenie jak sparaliżowani, podczas gdy wokół nas dokonywała się istna orgia zniszczenia. Sowiecki pluton pijany w sztok nie narobiłoby tylu szkód, nawet gdyby dostał łopatkę.

Wszystko trwało około minuty. Naraz zapanował spokój, Mała otrząsnęła się z amoku. Z zakłopotaną miną rozglądała się wokół siebie. Coś się poruszyło, to zza przewróconego stołu powolutku wstał przerażony brodacz w koszulce z dumnym napisem „True, Grim & Necro”. Z podniesionymi rękoma zaczął wycofywać się w stronę drzwi. Potknął się o rozwaloną gitarę Budzi-gniewa i na czworakach dopadł wyjścia.

Uszkodzony potencjometr piszczał przeraźliwie.

- Eee... - bąknęła Mała. - Ups?

— * —

Siedzieliśmy w altance.

- Już po nas - jęczał Budzigniew.

Nie czekając na nic, zwialiśmy ze zdemolowanego klubu. Straty materialne na pewno były ogromne i podejrzewam, że nie pokrylibyśmy ich, nawet sprzedając własne wnętrzności na przeszczepy.

- Przecież mówiłem, że tak będzie - Nietopyr uśmiechnął się ponuro. - Zwiewajmy za granicę, zanim nas dopadnie Wania Egzekutor.

- Wszystko przeze mnie - pociągnęła nosem Mała. Nikt nie zdobył się na to, by zaprzeczyć.

- Co ja narobiłam? Cisza.

- No, jak tak można? - wybuchnął w końcu Budzigniew. Po policzkach ciekły mu łzy. - Tak nam dobrze szło, takie mieliśmy dobre przyjęcie...

- Daj jej spokój - mruknąłem.

- Ja naprawdę nie chciałam - szlochnęła Mała. - To jakby coś we mnie wstąpiło... Jezu, same kłopoty ze mną macie... Nie zadawajcie się ze mną.

Za oknem ozwał się puchacz. Jego żałobne pohukiwanie wydało mi się dziwnie radosne. Cholerna zasada kontrastów.

- Co my teraz zrobimy? - rozpaczał Budzigniew. - To już koniec...

- Chodź - Nietopyr pociągnął go za rękę. - Chodźmy już.

Pewnie nie mógł już wytrzymać pogrzebowej atmosfery. Sam bym chętnie poszedł, gdyby to nie była moja altanka.

Poszli. Jeszcze długo słychać było lamenty Budzigniewa.

- Też będę szła - Mała podniosła się z fotela. - Trzymaj się, Modrzew. Powieszę się na stryżku.

- Nigdzie nie pójdziesz - powiedziałem stanowczo. - Zostajesz u mnie.

Utwierdziłem się w swoich podejrzeniach.

— * —

Kochasz mnie? - zapytała.

Oczywiście - odparłem szczerze i z pełnym przekonaniem.

Przyniosłem szklaneczki z najprzedniejszym winem, puściłem z ruskiego magnetofonu składankę z jej ulubionymi piosenkami.

- Ja bardzo przepraszam - spojrzała na mnie pełnymi łez oczami. - Nie wiem, jak mogłam zrobić coś takiego. Tyle starań, tyle marzeń... Wszystko rozwalіłam!

- Oj tam. Zdarza się. Przytuliłem ją.

Bardzo starałem się nie dać po sobie poznać, jak jestem zdenerwowany. Jednak trochę nienaturalności musiało się uzewnętrznic, a przecież Mała była kobietą. Kobiety wyczuwają takie rzeczy.

- Pewnie masz mnie dość - obróciła się do mnie bokiem i zapatrzyła w okno. Lekko ściągnęła brewki, jak zawsze, gdy popadała w zadumę.

Wykorzystałem ten moment i powoli wydobyłem z kieszeni krucyfiks. Drugą ręką ścisnąłem Pentagram Protekcyi. Usiłowałem spokojnie oddychać. Bez jaj. Cholernie się bałem.

- Duchu nieczysty - zacząłem mamrotać. - Zaklinam cię na wszystko, co święte, opuść jej ciało...

Trochę to rozładowało atmosferę, ale niepokój i tak pozostał. Budzigniew uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nie uwierzysz... - zaczął.

— * —

- Nie uwierzysz... - powiedziałem. Mała obudziła się i zjadła śniadanie, relacjonowałem jej właśnie rozmowę z Budzigniewem. - Normalnie nie uwierzysz.

Spojrzała na mnie.

- Jakiś facet zobowiązał się zapłacić za szkody - wypaliłem.

- Nie wierzę - pokręciła głową.

- Mówiłem przecież - uśmiechnąłem się. - Serio. Wujek zadzwonił rano do Budzigniewa. Jakiś gość zgłosił się do niego wczoraj i rozmawiał o pokryciu strat, nawet umowę wstępną już podpisali... Ponoć facet oglądał nasz koncert.

Mała patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- Autentycznie - ciągnąłem. - Ale słuchaj, teraz będzie najlepsze. To nie jest jakiś tam zwykły frajer, któremu się akurat uwidziało uratować nam tyłki. To przedstawiciel wydawnictwa. Cholernie mu się nasze show spodobało i chce wydawać naszą muzykę!

Mała wyglądała, jakby raził ją piorun.

- Niemożliwe - wykrztusiła.

- A jednak! Też nie mogłem w to uwierzyć... Wyobrażasz to sobie? Dzisiaj po południu mamy się z nim spotkać, Budzigniew po nas przyjdzie.

Roześmialiśmy się. Gdyby nie świadomość, że w Małej coś siedzi, byłbym chyba całkiem szczęśliwy.

Postanowiłem przygotować się do naprawdę porządnego egzorcyzmu.

— * —

- Chodźcie, chodźcie - poganiał nas Budzigniew.

Jak się to wszystko zmienia. Jeszcze wczoraj optymalnym wyjściem zdawało się zbiorowe samobójstwo. Minęła zaledwie jedna noc i proszę, szliśmy spotkać się z wydawcą.

Rock'n'roll, bejbi!

Mała pozbierała się już całkiem. Udało nam się jej wmówić, że to finałowa demolka zwróciła na nas uwagę. Swoją drogą, jeszcze mnie ciarki przechodziły, gdy o tym myślałem. Wykonaliśmy chyba największy koncertowy rozpierzdel od czasów Nirvany.

- Ciekawe - zastanawiał się Nietopyr. - Któż to taki spadł nam z nieba? Ciągle nie rozumiem, komu się mogło nasze rzępolenie spodobać...

- Zaraz zobaczymy - powiedziałem. Zbliżaliśmy się już do knajpy, w której tajemniczy

dobroczyńca nas oczekiwał.

— * —

Knajpa nazywała się „Jelonek” i nie należała, szczerze mówiąc, do lokali o najwyższym standardzie. Wyróżniała się wystrojem. Klientów miał tu bowiem naganiać makabryczny łeb jelenia, szczerzący się z okna wystawowego. W miejscu oczu bydłęcia migają czerwone żarówki; gdy byłem mały, bałem się nawet przechodzić w pobliżu.

O poczuciu humoru właściciela knajpy krążyły legendy. Zresztą, wystarczyło wejść do środka. Z niskiego sufitu zwieszały się rybackie sieci, w szerokim szynkwasiu tkwiły wbite głęboko ogromne majchry. Całość stylizowano chyba na portową tawernę. W tym kontekście zagadkę stanowiły jednak wysokie drewniane krzesła i obrusy w kratkę, niczym z hotelu robotniczego.

No i jeszcze wewnątrz było koszmarnie zadymione. Wzrok przebijał się z trudem.

- To chyba on - szepnął Nietopyr, wskazując najdalszy stolik. Siedział przy nim typ w garniturze, podczas gdy pozostałe okupowane były raczej przez kilkusobowe grupki podtatusiałych piwoszy.

Woń chmielu mieszała się z odorem tanich papierosów, smętny zapach bezrobocia rozchodził się w powietrzu. Panowało marazmatyczne milczenie.

Dołujące miejsce.

Podeszliśmy do stolika. Jegomość w garniturze zmierzył nas wzrokiem i skrzywił się uśmiechopodobnie.

- Witajcie - zagał. - Gang z Altanki, prawda?

- To my - skinął głową Budzigniew. - Ale nazwa może jeszcze ulec zmianie.

Facet był szczupły, krótko ścięty, miał może trzydzieści lat. Twarz śniada, oczy czarne, przepastne. Szpicbródka i wąsik. Na pierwszy rzut oka typowy japiszon. Dobry garniak, świecące lakierki, droga woda kolońska. Insygnia karierowicza marzącego o wdrapaniu się na szczyt drabiny społecznej. A przy tym nieuchwytne poczucie wyższości w spojrzeniu. Pomyślałem, że pewnie specjalnie wybrał na miejsce spotkania tę spelunę, aby na jej tle zrobić jeszcze korzystniejsze wrażenie i umocnić nas

w przekonaniu, że mamy do czynienia z Nie Byle Kim. Gdy przyjrzałem mu się uważniej, poczułem delikatne ukłucie lęku. Takiego pierwotnego, płynącego wprost z rdzenia kręgowego.

- Nazywam się Diabół, Artur Diabół - typ podał rękę kolejno każdemu z nas. Była zimna i śliska. - Chciałbym z wami chwilę porozmawiać. Usiądźcie, proszę.

Zasiedliśmy. Modliłem się w duchu, aby Budzigniew nie zrobił żadnej durnej uwagi na temat niecodziennego nazwiska. Na szczęście wykazał się tą odrobiną przyzwoitości, choć wyraźnie widziałem, jak w ostatniej chwili zwalczył wypełzający na wargi uśmiech.

Gruba kobieta przyniosła herbatę.

- Przejdźmy do rzeczy - ciągnął Diabół. - Otóż oglądałem wasz wczorajszy występ... Cóż, jestem pod wrażeniem. Sądzę, że macie ogromny potencjał, a wasza muzyka zasługuje na pokazanie szerszej publiczności. Dawno nie widziałem takiego autentyzmu i zaangażowania. Co za moc, co za energia...

- He - mruknął Budzigniew, debilnie ciesząc gębę.

Dziwne, nie przypominałem sobie obecności naszego rozmówcy w „Katakumbie”. Ale może był po prostu inaczej ubrany, zresztą, mógł mi po prostu umknąć w tłumie.

- To był prawdziwy, niczym nieskrepowany rock'n'roll. Zwłaszcza końcówka... Ujmujący brak poszanowania cudzej własności, beztroska demolka... Nasza scena muzyczna tęskni za kimś takim.

Mała odkaszlnęła. Nietopyr wyłowił z herbaty muchę i przyglądał się jej z obrzydzeniem. Odstawiliśmy filiżanki.

- Zapytam wprost. Chcecie wydać płytę?

- Oczywiście - błyskawicznie odparł Budzigniew.

- Pragnę zaprezentować wam ofertę naszego wydawnictwa...

- Nie chcielibyśmy poddać się komercji - zastrzegł Budzigniew, rumieniąc się lekko.

Spojrzelśmy po sobie z zażenowaniem. Budzigniew był straszny.

- Ależ spokojnie - przez twarz Diabola, wciąż wykrzywioną w sztucznym uśmiechu, przebiegł cień prawdziwego rozbawienia. - To podziemne wydawnictwo.

Jakoś dziwnie zaakcentował słowo „podziemne”. Poczulem się cholernie nieswojo. A Budzigniew brnął dalej.

- Ważna jest też dla nas pełna swoboda artystyczna.

- Ależ naturalnie.

Facet zerknął na zegarek. Złoty rolex, nie inaczej.

- Państwo wybaczą, czas mnie goni. Proszę - wręczył Budzigniewowi plik papierów dobytej z eleganckiej teczki. - Oto nasza oferta. Proszę ją przejrzeć i ewentualnie zgłosić się pod podany numer telefonu. Dziękuję za spotkanie.

Wstał, pożegnał się grzecznie i zniknął w zadymionym wnętrzu, dosłownie rozpułnął się w dymie całkiem efektownie. Wyłowiona przez Nietopyra mucha leżała na obrusie, rozpaczliwie przebierając nóżkami.

— * —

- Wiecie - mruknąłem. - Coś mi się tu nie podoba. To podejrzane.

Kurde, papiery wyglądały w porządku. Warunki kontraktu były znakomite, choć o żadnych dużych pieniądzech nie było mowy. Wydawca zapewniał wytłoczenie płyty w nakładzie przyzwoitym, jak na obecne ciężkie realia, oraz w miarę możliwości jakąś promocję. Wiadomo, koncerty, może występy w lokalnych radiach. My zaś musieliśmy tylko dostarczyć materiał. Chyba każdy amatorski zespół marzyłby o takim kontrakcie.

- Co ci się niby nie podoba? - oburzył się Budzigniew. - To rewelacyjne warunki. Ani słowa o wyglądzie brzmienia i graniu popu. Lepiej być nie może.

- Budzigniewie - mruknął Nietopyr. - Ja wiem, że jesteśmy niegrzecznymi buntownikami, ale nieustannie tego podkreślanie zakrawa na wieśniactwo.

Budzigniew zbierał się do odpowiedzi, ale w słowo weszła mu Mała.

- Według mnie warunki są naprawdę bardzo dobre - powiedziała. - Nie wiem, co ci się w nich może nie podobać, Modrzew.

- Nie chodzi mi o same warunki - odparłem. - Te są przecież fantastyczne. A właśnie cała ta sytuacja mi się nie podoba. No zastanówcie się. To niemożliwe, gramy dwa tygodnie, a już mamy wydawcę...

- Po prostu jesteście dobrzy - burknął Budzigniew.

- No dobra. A dlaczego zapłacili za tamte zniszczenia? Ot, tak, z altruizmu?

- A tam, chcieli na pewno, żebyśmy zaczęli na luzie, bez psychicznych obciążeń i ciśnień.

- Albo chcieli nas tym kupić.

- Nas się nie kupuje - Budzigniew dumnie wypiął wątlą pierś. - To był co najwyżej przyjacielski gest.

- Skoro tak twierdzisz - westchnąłem. - A ty - zwróciłem się do Nietopyra. - Co o tym myślisz?

- Musimy być czujni - zamyślił się Nietopyr. - Świat wyciągnął ku nam rękę, zamiast kopać w tyłek. Dziwnie się z tym czuję. No i nie zamierzam ukrywać, że ten Diabeł mi się nie podoba...

- Jakiś jest niepokojący - zgodziłem się.

- No - Nietopyr spojrział mi w oczy. - Na jego widok zaraz mi się przypomniały słowa babci.
Że rock'n'roll to rzecz z piekła rodem.
Budzigniew parsknął śmiechem.

— * —

Wieczorem zamknąłem się w altance i pograłem trochę na playstation, którego Nietopyr wciąż nie zdecydował się zabrać. Umyłem się, poprzekomarzałem z lustrzanym odbiciem i poszedłem spać. Obudziłem się koło drugiej w nocy, stłumiłem w gardle krzyk i z rezygnacją oczekiwałem na rozwój wydarzeń.

Nade mną unosiło się seledynowe otoczone bladą poświatą widmo. Widmo, zaznaczmy, dość nietypowe. Miało długie, posklejane włosy i przerzuconą przez plecy gitarę. Jim Morrison wyglądałby tak, gdyby był przezroczysty i miał nieco lepszą cerę.

- Sie ma - zawyla istota. - Jestem Duchem Rock'n'Rolla.

- Modrzew - mruknałem. Machinalnie sięgnąłem po krucyfiks.

- Zostaw to! - krzyknął Duch.

- Czego tu szukasz? - zapytałem spokojnie, obracając w palcach krzyż.

- Przyszedłem, aby cię przestrzec... Nie próbuj robić głupstw, chłopaczku, bo pożałujesz!

- Dlaczego nawiedziłeś Małą?

- Bo rozwalila gitarę, grając rocka - wyjaśnił takim tonem, jakby to było coś oczywistego. -
Było w niej dla mnie miejsce. Ona ma rockową duszę.

- Zostaw ją w spokoju! - krzyknąłem, celując w zjawę krucyfiksem.

- Ani mi się śni! Już dawno nie bawiłem się tak dobrze!

No to zacząłem mrużyć egzorcyzmującą formułkę. Duch Rock'n'Rolla napęczniał z wściekłości i zawył jękliwie, britpopowo.

- Zapomnij o niej! - syknął. - Ona jest już moja! Formułka zbliżała się do momentu kulminacyjnego.

Powietrze zaczęło drżeć. Pokazałem gest Kozakiewicza.

Uciekł drań, a huku przy tym narobił, jakby ktoś wystrzelił z haubicy. No i...

- Skurwysyn - jęknąłem, spoglądając na zielone zacieki na ścianach. Wszystko było w ektoplazmie.

— * —

Oj, nie miała moja altanka szczęścia ostatnimi czasy. Najpierw gruszkowe wino, teraz ektoplazma... Zmachałem się okrutnie, czyszcząc sprzęty. Jak na rzecz póleteryczną, płamiała strasznie. Nie szło doczyścić. Tak na świeżo to jeszcze pół biedy, ale jak już zaschła... Makabra.

Sprzątałem więc, a przez moją głowę przewalały się kłęby ponurych myśli.

Zapewne nieraz słyszeliście, że muzycy rockowi to opętańcy. Zresztą, każdy chyba widział Ozzy'ego Osbournea czy Alice a Coopera. Jakoś tak już się utarło: rockman równa się opętaniec.

Ten, kto to wymyślił, znał się na rzeczy.

Bardzo martwiłem się o Małą. Biedna dziewczyna została opętana. I to przez kogo! Przez samego Ducha Rock'n'Rolla. A ja nie mogłem nic zrobić, nic! Jak już skubaniec kogoś sobie upatrzył, to kaplica. Chyba tylko papież mógłby go na dobre wyegzorcyzmować.

Przebieg wypadków za każdym razem wyglądał podobnie. Najpierw faza pierwsza, czyli talent, niestandardowy charakter i wysoka kreatywność. Potem faza druga, czyli sława i uwielbienie tłumów. A potem faza trzecia, ostatnia. Dragi, rozprawy sądowe i umysł pogięty niczym sosenka z za koła podbiegunowego.

Moja kochana dziewczyna. Tyle razem, a teraz miałem patrzeć, jak jej się autodestrukcja włącza?

No i, wstyd przyznać, martwiłem się też trochę o siebie. Duch Rock'n'Rolla był zaraźliwy. Rozprzestrzeniał się zatrwajająco szybko. Myślę, że Budzigniew zdradzał już oznaki zainfekowania.

A przecież nie mogłem ich zostawić! Westchnąłem ciężko.

— * —

Wracaliśmy z próby. Mała bawiła się srebrnym naszyjnikiem, który wręczyłem jej poprzedniego dnia.

- Jej, jakie to ładne - powtarzała. - Wielkie dzięki, Modrzew. Ciągłe nie mogę się nacieszyć.

Nie był to zwykły naszyjnik. Specjalna kombinacja srebra, bursztynu i ułożonych w odpowiedniej kolejności szlachetnych kamieni tworzyła bezcenny magiczny artefakt. Otrzymałem go od dziadka, który na krótko przed śmiercią przekazał mi rozległą wiedzę o świecie pozazmysłowym. Do tej pory trzymałem go w ukryciu z nadzieją, że nigdy nie będzie mi potrzebny.

Proces opętania polega na stopniowym jednoczeniu się pasożytniczego ducha z duszą osoby opętanej. To jak mieszanie farb: w pewnym momencie z powstałej barwy nie można już wyodrębnić kolorów, które się na nią złożyły. Do tego właśnie dążą wszelkie duchy, demony i inne siły nieczyste, dokonując inwazji na człowieka. Chcą zasymilować jego duszę, zlać się z nią w jedność.

Naszyjnik hamował ten proces. Specjalne pole, które wytwarzał, izolowało ducha agresora od zaatakowanej osoby, uniemożliwiając proces asymilacji.

Wystarczyło przekonać Małą, aby go nosiła („Wiesz, kochanie, ale ci w tym do twarzy...”), a problem znajdował tymczasowe rozwiązanie. Jasne, był to tylko półśrodek, ale zawsze dawał czas na wymyślenie czegoś skuteczniejszego.

O ile w ogóle wchodziło to w rachubę.

— * —

Mimo moich usilnych protestów kontrakt został podpisany.

- Przejrzyj na oczy, człowieku - Budzigniew klepnął mnie w łopatkę. - To ogromna szansa.

- No - mruknąłem.

Od paru dni słyszałem to nieustannie. Każdą wolną chwilę spędzaliśmy w sali prób domu kultury.

- W erpega bym zagrał - rzuciłem.

- Modrzew - Budzigniew pokręcił z politowaniem głową. - W tej chwili najważniejsze jest przygotowanie płyty. Na tym musimy się skupić. Póki co, mamy gotowe dopiero dwie piosenki, a do końca miesiąca powinniśmy mieć jeszcze przynajmniej dziesięć. Wydawca załatwił nam studio na połowę października. A ty tu mówisz o erpegu!

- Najmocniej przepraszam - burknąłem.

Miałem tego wszystkiego dość. Po jaką cholere zaczęliśmy bawić się w ten zespół? Małą opętało, Budzi-gniewa pieprnęło. To od dawna nie było już zabawne. No i jeszcze ten zasrany kontrakt.

Chrzanić to! Chrzanić, chrzanić, chrzanić!

- Będę już szedł - powiedziałem. - Dziwnie pieką mnie nadgarstki.

- Niedobrze - zafrasował się Budzigniew. - Rzeczywiście lepiej przerwij. Trzeba uważać na kontuzje.

Ściemniałem. Odkąd lider nasz i gitarzysta wyczytał w samouczku o zdradzieckim zapaleniu ścięgien, miałem znakomitą wymówkę do urywania się z prób.

- Idziesz ze mną, Mała?

- Eee... Bo widzisz - zająknęła się lekko zawstydzona. - Chyba muszę jeszcze przećwiczyć chórki.

- Tak myślałem - pokiwałem głową.

Odłożyłem bas i wyszedłem. Na korytarzu z trudem zwalczyłem pokusę ugryzienia ze złości gaśnicy.

— * —

Tak mijały dni. Piosenek przybywało, a Budzigniew martwił się głównie o to, czy aby nie powinniśmy zabronić drukowania koszulek z naszymi podobiznami.

W jakiejś pobliskiej mieścinie organizowano przegląd młodych kapel. Naturalnie niestrudzony Budzigniew nie byłby sobą, gdyby nie wysłał zgłoszenia.

Nietopyr dawał do zrozumienia, że w kontrakcie musiał być napisany małą czcionką akapit o zaprzedeniu naszych duszyczek piekłu. Nie wydawało mi się, bo Duch Rock'n'Rolla zapewne chciał wyłączności. Budzigniew zaś po głębokim namyśle uznał, iż jednak nie byłaby to komercja.

Na srebrnym naszymyjkę powolutku wykwiatała korozja. Drań nie składał broni. I A ja, dumny basista, heros czterech strun, Pan Niskich Dźwięków, dusiłem się na miękko w sosie rezygnacji i przygnębienia.

— * —

Jak zahipnotyzowany wpatrywałem się w pracujące wycieraczki. Deszcz bębnił o dach samochodu.

Triumfalnie wracaliśmy z przeglądu młodych kapel w Łośnie. Zwyciężyliśmy bezapelacyjnie. Budzigniew na przednim siedzeniu dumnie tulił do siebie główną nagrodę - Złote Chrapy ufundowane przez burmistrza mieściny.

Gang z Altanki zarządził.

Samochód prowadził pan Artur Diaból. Wydawnictwo rzeczywiście nie mogło być duże, skoro facet był jednocześnie naszym menadżerem i kierowcą. Zresztą i tak dobrze, że w ogóle mieliśmy zapewniony transport. Cały sprzęt jechał za nami w przyczepce.

Naprawdę nie wiem, jak zabrałibyśmy perkusję do autobusu.

- Macie znakomitą prezencję sceniczną - chwalił nas Diabeł. - Szalejąca wokalistka, a obok, kontrastowo, apatyczny basista. Perkusista z twarzą zastygłą w wystudiowanym wyrazie skrajnego zniechęcenia. Gitarzysta ciągle zarzucający włosami. Zawodowo to wygląda. Na waszym tle inni przypominali chór kombatanów...

Budzigniew pokraśniał z dumy.

- Repertuar świetnie dobrany - kontynuował kierowca. - Nośne melodie. Warto było wyłożyć za was kasę. Czuję, że to, co wydaliśmy na remont „Katakumby”, zwróci nam się z nawiązką... Będą z was gwiazdy.

Przed oczami miałem publiczność, jak jeden mąż odśpiewującą refren naszego najlepszego kawałka.

- Związek uroczej wokalistki z tajemniczym basistą... Media was pokochają. Budzigniew, Modrzew, Nietopyr... Co za fantazyjne pseudonimy. A wasze antyspołeczne nastawienie... Rewelacja. Ogromnie się cieszę, że to my was wydajemy.

Było strasznie ślisko, jadący przed nami maluch omal nie wdupił się do rowu. Wydawca uśmiechnął się pod nosem. Prowadził pewnie, z szatańskim spokojem.

Otwieram drzwi cukierni, moje nozdrza atakuje słodki, ociekający lukrem zapach. Mdli mnie, ale odważnie brnę dalej.

Dziennikarka czeka już na mnie. Siedzi za stolikiem, ze znudzoną miną wertując jakieś kolorowe czasopismo.

Przysiadam się bez słowa.

- Och, to pan - mówi, serwując mi wystudiowany uśmiech. - Cieszę się, że pan przyszedł.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiadam.

Włącza dyktafon.

- Jak się czujesz - pyta, natychmiast przechodząc na „ty” - jako członek najpopularniejszego w Polsce zespołu rockowego?

- Zajebicie - zapewniam.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że z dnia na dzień stałeś się idolem?

-No.

Nie jestem łatwym rozmówcą. Dziennikarka jednak wydaje się niezrażona.

- Czy to prawda, że od momentu założenia zespołu do wydania debiutanckiej płyty, notabene znakomicie przyjętej, minął zaledwie miesiąc?

-No.

Fajnie. Nie pamiętam już, dla kogo jest ten wywiad prowadzony, ale wiem jedno - wyjdę w nim na niedorozwoja.

- Czy myślicie o zagranicznej karierze?

- Budzigniew myśli.

- Jak ustosunkujesz się do krążących w internecie plotek, jakoby za niespodziewanym sukcesem zespołu stały siły nieczyste, nadprzyrodzone?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo.

Nagle czuję dziwne ukłucie, jakby jakiś wewnętrzny głos prosił mnie o wysłuchanie. Chyba wiem, co się dzieje, ale nie czuję strachu ani żalu. Wzdycham jedynie. Trudno, skoro tak...

Wstaję i zaczynam śmiać się histerycznie. Przewracam stolik, rzucam krzesłem w stojące w kącie rododendrony. Łapię kawałek sernika i rozsmarowuję go na twarzy osłupiałej dziennikarki.

- Rock'n'roll, bejbi! - krzyczę.

Święty Anzelm - od - śmieci

Cielęcín smażył się jak na patelni.

*Stałem na skraju lasu,
widząc ze wzniesienia całe
miasteczko. Przepis na Cielęcín:
wrzucić w dolinę rzeki Postomii
kolorowe domki, trochę bloków
z wielkiej płyty i poprzetykać
zielenią. →*

Słońce odbijało się w oknach. Najbliżej stały nowe domy jednorodzinne - Cielęcín od kilku lat wysuwał mackę po wieś Brzeźno. Nieco dalej, częściowo schowane za drzewami, przycupnęły rzędy poniemieckich domostw z dachami podobnymi do czapek krasnoludków. Przytulone do siebie domki cierpliwie czekały - nikt nie wie, na co. Później był rynek, stąd niewidoczny. Za rynkiem - rzeka. Dalej centrum zasłonięte dwoma blokami z początku lat sześćdziesiątych. Zza bloków wyglądała wieża kościoła, przebudowywanego na przestrzeni wieków tyle razy, że styl architektoniczny był nie do rozpoznania. To, co stąd wyglądało jak zwarta dżungla, to w istocie cztery parki; w ich zieleni tonęły dwie szkoły, budynki banku i kilku innych opresyjnych instytucji. Dalej, na skutek ukształtowania terenu, nikła spora część Cielęcina, zdawało się, że ponad drzewa wyrastają dopiero osiedla Kopernika i Słoneczne. Pomiędzy azbestowymi klockami sterczały kominy osiedlowych ciepłowni. Przy głównym wylocie z miasta stał Kabeltech, duży zakład produkujący wiązki kablowe; przed jego wejściem powiewały flagi amerykańska, niemiecka, polska i europejska z gwiazdkami, a kanciasty, srebrny budynek wyglądał jak przybysz z innej planety. Dalej był już najeżony lasem horyzont. Ze dwa kilometry Cielęcina ciągnęły się jeszcze na północ, miasto miało kizkowaty kształt. Stały tam domki i osiedla niskich bloków. Stara wieża ciśnień dla

parowozów przypominała grzyb, a za torami kolejowymi zaczynał się świat, gdzie wszystko było porzewiałe: przygnębiające królestwo upadłych fabryk i złomowisk.

Pociągnąłem piwo z puszki. Lubilem wyobrażać sobie, że rzeczka Postomia - szeroka może na pięć metrów i głęboka na półtora - występuje z brzegów, uderzają wściekle fale, woda błyskawicznie wypełnia całą dolinę. Powstaje legenda o zatopionym mieście; po latach znajdują się świadkowie przysięgający, że stojąc na brzegu jeziora słyszeli fałszywy głos elektronicznych kurantów. Nikt nie daje im wiary, tak jak nikt nie wierzy, że kiedykolwiek mogło istnieć coś równie niedorzecznego jak Cielęcín.

Piwo było ciepłe i niedobre. Dopilem, zgmiotłem puszkę i schowałem do plecaka.

Nudziłem się. Mama zabrała Małą na wczasy do Chorwacji, Budzigniew obnosił wąż kłatę po deptaku w Międzyzdrojach, Nietopyr dopiero za dwa dni miał wrócić z wizyty u cioci na wsi. Niebo buchało żarem, w okolicznych jeziorach ciężko było dopchać się do wody; koniec lipca postawił mnie przed pytaniem: co, do jasnej cholery, robić?

Wyszedłem z lasu. Nie miałem ochoty wracać, w plecaku czekały jeszcze dwie puszki. Postanowiłem zajrzeć do żwirowni.

Piasek na budowy wybierano tu jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych. Mając lat kilka, chodziłem tu z dziadkiem na spacer i w zachwycie obserwowałem wgrzyzające się w ziemię koparki. Piasek, który wybierały, był czysty i żółty jak na plaży. Pamiętam imponujący lej, największy spośród wszystkich (wiele było małymi jamkami - dwa-trzy machnięcia łyżką kopary); urzędujący w nim mrówkolew musiałby przerastać ciężarówkę. Później wydobyć stanęło, żwirownia zaczęła zarastać. Dziś z jej ścian wystrzeliwały wyższe ode mnie sosny, a praktyczny lud polski znalazł zastosowanie dla piaskowych zagłębień, nielegalnie składując tam śmieci.

Powoli schodziłem w dół. Ostrożnie, krok za krokiem; było stromo.

- Stój!

Zatrzymałem się. Zza drzewa wyłonił się człowiek.

Zamrugalem. Był niski i chudy, jakby zapadnięty w sobie; celował we mnie - przyjrzałem się - szkieletem parasola. Nosił cudaczne ubranie: na głowie plastikowe wiaderko po farbie, kalosze nie do pary; brudny arkusz folii nosił niczym togę. Małe oczka lustrowały mnie nieufnie, lewa powieka trzepotała w nerwowym tiku. Podrygiwał sumiasty wąs.

- Kim jesteś? Mów! - potrząsnął parasolem. Westchnąłem.

- Modrzew. Dzień dobry panu.

- Czego tu szukasz?

- Niczego... Może pan opuści to żelastwo?

- Przyszedłeś się ponośmiewać ze starego Anzelma, he? Cwaniaczek! Przychodzili już tacy przed tobą... żaden nie pokazał się drugi raz!

Spokojnie uniosłem ręce.

- Nie wiedziałem, że tu pana spotkam.

Ostry szpikulec zataczał kółeczka. Poczułem zrezygnowanie.

- Dałby pan sobie spokój... Może piwa? - sięgnąłem do plecaka. Wyciągnąłem puszkę w stronę zjawiska z parasolem.

Stary Anzelm przez dłuższą chwilę mierzył mnie spojrzeniem. Wreszcie opuścił parasol.

- Dlaczego tu przyszedłeś? - zapytał już łagodniej, chwytając piwo.

- Nudziło mi się. Naprawdę nie chcę pana denerwować. Mogę odejść, jeżeli przeszkadzam.

Otworzył puszkę, spił pianę, wyraźnie się rozluźnił. Ramiona opadły, oparł się na parasolu.

Poruszył wąsem.

- W porządku, przepraszam, źle cię oceniłem. Chodź ze mną.

— * —

Jedna ze ścian żwirowni musiała się niedawno osunąć; jasny piasek odcinał się od brudnej szarości. U szczytu widniała ciemniejsza warstwa gleby, niezbyt głęboka, związana korzeniami trawy. Piasek, wszędzie pod nami piasek. Całe województwo lubuskie porasta las; praktyczni Niemcy zalesiali ziemię, które były tak słabe i nieurodzajne, że nie nadawały się do niczego innego. „Nie zbierzemy tu plonów, niech więc choć szumi las”. Na piasku nie buduje się zamków, zbudowano Cielęcín.

Dziki wysypisko śmieci skrzyło się kolorami, pstrokaty wymiot po konsumpcyjnej uczcie. Samochodowe fotele, wybebeszone materace, rowerowe koła; buteleczki po lekarstwach, wytłoczki po jajkach. Wiklinowe koszyki i połamane płyty CD. Absurdalnie wręcz różnorodne, a zarazem zlewające się w jednolitą masę odpady, rzeczy niechciane, wchodzące na drogę rozkładu i entropii.

Anzelm usiadł na odrapanym sedesie, dumnie górującym nad śmieciami. Za jego plecami stał koślawy namiot, połatany w kilku miejscach, spłowiały, zapewne pamiętający obozy harcerskie w środku prząsnego Peerelu - jak się domyślałem, schronienie niezwykłego człowieka, który przede mną siedział.

Zauważył moje spojrzenie. Wlał w siebie kilka łyków piwa, otarł usta.

- To mój dom.

- Mieszka pan tu? Na wysypisku? Pokiwał głową.

- Może wyda ci się to dziwne, ale nie znalazłbym lepszego miejsca. Tu jestem u siebie. Wśród swoich, powiedziałbym.

Spojrzałem na niego, zdziwiony. Uśmiechnął się.

- Jestem śmieciem takim samym jak te skorupy wokół. Odpadem. Tym, co zostaje pod kreską, przykleja się do dna kubła, zatyka zlew. Chcesz, to usiądź - wskazał miejsce na prawie kompletnym tapczanie. - Opowiem ci moją historię.

Usiadłem. Anzelm ważył w dłoni puszkę.

- Widzisz - zaczął. - Świat to nieprzeciętnie popieprzone miejsce...

Pierwsza opowieść Anzelma

Świat to nieprzeciętnie popieprzone miejsce, młody przyjacielu. Myślę zresztą, że doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. Muszę zaznaczyć, że dzielę ludzi na tych, którzy używają głowy zgodnie z jej przeznaczeniem, oraz tych, dla których jest tylko ciężarem dociskającym do ziemi. Ci drudzy przeżyją całe życie, nie zastanawiając się ani przez moment, jaki jest tego sens; w większości przypadków to bardzo szczęśliwi ludzie. Z kolei reszta, czyli ludzie, dla których głowa to coś więcej niż wygodne miejsce na początek przewodu pokarmowego, próbują pojąć, po co przyszli na świat. Ja również próbowałem, bezskutecznie. Właśnie dlatego świat jest popieprzony: zmusza do stawiania pytań, ale nie daje odpowiedzi.

Mówią, że życie to sen wariata. Pełna zgoda, przy czym ja osobiście śnię się wyjątkowemu świrowi. Urodziłem się w piątek, rzecz jasna trzynastego, prawie pół wieku temu. Nikt nie odnotował towarzyszących temu wydarzeniu szczególnych znaków, chyba że uznamy za taki upadek ze schodów dziadka, zbiegającego w nerwowym pośpiechu, aby odwieźć córkę do szpitala. Biedak połamał nogę w abstrakcyjnie skomplikowany sposób. Mamę - i nieszczęśliwego dziadka - odwiózł wezwany awaryjnie wujek. Poród przebiegł bez problemów, dziadunio zaś szpitala żywy nie opuścił. Wdało się zakażenie, powikłania i nie udało się go uratować.

Mijały dni, miesiące, lata. Mały Anzelmik rósł w odpowiednim tempie, rozrabiając dokładnie tyle, ile powinno zdrowe dziecko. W dniu moich siódmych urodzin przyszedł na świat młodszy braciszek - August. Rodzicie cieszyli się nim prawie trzy lata, do momentu, gdy utonął w pralce typu Frania. Nie mam pojęcia, jak mogło do tego dojść - pralka stała w łazience, Gutek chyba nie sięgnąłby nawet jej brzegów. Babcia Zenobia, która opiekowała się małym pod nieobecność rodziców, była zdruzgotana; wszelkie próby wyjaśnienia tej sprawy z

kryminałem w podtekście brały w łeb, skonfrontowane z nieskazitelną postacią babci, jej szczerą rozpaczą i głęboką depresją, z której zresztą już nigdy się nie podniosła. Myślę, że mały cwaniak wlaź jakoś na stertę brudnych ubrań, a potem, cóż - ciężko zatrzymać trzylatka ciekawego świata. Wystawały tylko nóżki, gdy go znaleźli.

Zważywszy na fakt, że mam pięćdziesiąt lat, posiadanie brata było w moim życiu krótkim epizodem. Nauczyło mnie wszakże jak kruche jest ludzkie życie. Kruche niczym pierwszy lód na powierzchni stawu, a przy tym jakże mało znaczące - skoro przegrywa konfrontacje z pralką wirmikową. Wierz mi lub nie, ale takie właśnie myśli kłębiły się w głowie dziesięcioletka z bardzo poważną miną, podczas gdy grabarze przysypywali ziemią malutką trumnę. August mógłby zostać urzędnikiem pocztowym jak tata, nauczycielem jak wujek, mógłby mieć żonę i dzieci, które kiedyś, w przyszłości, przyjaźniłyby się z moimi dziećmi, albo chociaż urosnąć na tyle, żeby pograć ze mną w piłkę - a tymczasem leży w drewnianej skrzynce i wkrótce zjedzą go robaczki. To wtedy zrozumiałem, że świat jest popieprzony, kolejne lata utwierdzały mnie w tym przekonaniu, a ostatecznym dowodem jest fakt, że słuchasz mnie tu, a nie gdzie indziej.

Kwiaty na grobie Augusta przekwitały, brzozy w cmentarnym lasku pięły się coraz wyżej ku niebu, łązy płynęły coraz rzadziej. Była to kolejna obserwacja: gdy odejdziemy, przerażająco szybko zostaniemy zredukowani do kilku fotografii i garści wspomnień. Myślałem wówczas, że po mojej śmierci znajomi i przyjaciele spotkają się kiedyś, przy jakiejś okazji, i będą się zastanawiać, przypominać sobie, jak miałem na imię. Dziś nie wierzę nawet w to.

Szkolę pamiętam jako szereg obrazków, szarych i podobnych jeden do drugiego, tak jak szare i podobne były dni spędzone za szkolnymi murami. Podstawówka, liceum. Nie byłem dręczony przez kolegów, sam też nad nikim się nie pastwiłem. Nie rozkochiwałem w sobie koleżanek, zaś moje fascynacje i zauroczenia były nietrwałe i ulotne. Nie byłem ani najgłupszy, ani najmądrzejszy, nie biegałem najwolniej, ani najszybciej. Nigdy ostatni, nigdy pierwszy. Nie pisałem wierszy, ani nie grałem na gitarze. Taki byłem, jak ludzik wycięty z kartonu.

Po maturze dostałem się na studia, tak jak chciałem: na biologię. Dobrze wspominam tamte lata. Kroilem żaby, preparowałem szczury, ważyłem i mierzyłem kości. Było kolorowo, świat wyglądał jak rozmazane smugi. Czasem smutno, częściej wesoło, zawsze coś się działo, zawsze wokół byli ludzie. Gdy odebrałem dyplom i upomniało się o mnie społeczeństwo, miałem wrażenie, jakbym zerwał się z karuzeli i przypieprzył w beton.

Zostałem belfrem. W mojej podstawówce wakowała akurat posada nauczyciela biologii, stary Sznajder, który uczył i mnie, i moją mamę, odchodził na emeryturę. Początkowo było nawet

zabawnie: siedząc za nauczycielskim biurkiem czułem się jak ktoś, kto znalazł się po niewłaściwej stronie telewizora. Szybko jednak odkryłem, że różnica między belfrem a uczniem jest znacznie mniejsza niż mogłoby się zdawać. Powoli, ale nieubłaganie zjeżdżałem w stronę Józia z „Ferdynandem”. Każdy kolejny poranek był koszmarem, a na ostatni dzwonek wyczekiwałem z utęsknieniem chyba większym niż moi podopieczni.

Aż pewnego dnia w szkolne mury zawitała ona. Był wrzesień, słoneczny i ciepły, lato łagodnie przechodziło w jesień. I ona była właśnie taka wrześniowa, kasztanowo-złota. Powiedzieć, że na jej widok mocniej zabiło mi serce, to jak nazwać Piramidę Cheopsa „spora stertą piaskowca”. Mało brakowało, żeby serducho wyskoczyło z za żeber i zadyndało na aortach. Szedłem akurat korytarzem i niosłem kawę do pokoju nauczycielskiego. Jak się zapewne domyślasz, efekt był spektakularny. Grzmotnąłem o posadzkę, filiżanka poszła w drobny mak, kawa bryzgnęła wokół. Zupełnie jak w filmach, pomogła mi się pozbierać, och, ach, takie ładne spodnie i taka plama, co za nieszczęście. W tym momencie, kurwa mać, byłem już tylko muchą uwięzioną w bursztynie jej oczu. Jakimś cudem nie zapomniałem, jak działa aparat mowy - od słowa do słowa, wywiązała się pogawędka, a gdy w kulminacyjnym momencie zaprosiłem ją na kawę, ku mojemu zdumieniu nie odmówiła. Miała na imię Ewelina, studiowała filologię polską na ostatnim roku i przyjechała hartować pedagogicznego ducha podczas praktyk w szkole. Zaterkotał dzwonek, poszedłem na lekcję o układzie kostnym, pamiętam jak dziś, a w obrzydłych twarzach gówniarzy z czwartej klasy widziałem słodkie buzie cherubinków.

Nastała sielanka. Spotykaliśmy się coraz częściej, nie tylko przy kawie. Po roku Ewelina pracowała już na stałe w szkole, która dzięki jej obecności stała się znośnym miejscem, prawie nie kojarzącym się z kołchozem. Akcja z obrączkami od jakiegoś czasu wisiała w powietrzu, a sakramentalne „tak”, gdy wreszcie padło, nie było dla nikogo zaskoczeniem.

Wraz ze stanem cywilnym zmieniło się całe moje życie - nie muszę dodawać, że na lepsze. Anzelm-mąż był dużo szczęśliwszym człowiekiem niż Anzelm jako taki. Nie będę nudził cię opowieściami o ciepłym rodzinnym gniazdku, o heroicznym meblowaniu mieszkania, wzajemnym docieraniu się i sprawdzaniu w obliczu tak zwanej codzienności, znasz je na pewno z tysiąca ust. Opowiem za to o moim synu.

Alfred rzutem na taśmę załapał się na najszłusznieszy z ustrojów. Dziś byłby chyba nieco młodszy od ciebie.

Wiadomość, że Ewelina jest w ciąży, była ciosem między oczy. Chciała dziecka, jasne, ja też chciałem, ale na początku od entuzjazmu byliśmy bardzo dalecy. Radość narastała stopniowo, pęczniała razem z brzuchem mojej żony, a gdy mały wymierzył pierwszego kopniaka, fajer-

werki rozbłysły na naszym niebie i chyba nawet urznałem się ze szczęścia. Nie pamiętam samego porodu; Ewelina mówiła, że słyszała mój głośny płacz, dobiegający z korytarza. Kolejne miesiące to film odtwarzany w przyspieszeniu, do tego z bardzo kiepskiej kopii. Zamazane kadry, nic więcej. Nocne maratony płaczu, przewijanie, zapach talku, ząbkowanie i chrzciny - a w dalszym planie huk walących się murów, wiatr zmian i zombie Mazowieckiego, triumfujące z taką werwą, jakby właśnie miało rozlecieć się na kawałki. Anzelm, któremu rodzina wróżyła w najlepszym razie dolę starego kawalera, spędzającego wieczory w fotelu z kotem na kolanach, właśnie został ojcem, politycy rozkradali jak mogli wszystko, co miał przy sobie trup wiecznego i niepokonanego systemu - młody przyjacielu, to był czas cudów. Potem powoli wszystko stygło i krzepło, my z Eweliną coraz pewniej czuliśmy się w rolach rodziców, nowy ustrój stabilizował się na ustalonym poziomie nedorzeczności.

Z nauczycielskich pensji byliśmy w stanie wypełnić lodówkę, ale o luksusie czy choćby przyzwoitym samochodzie nie mogło być mowy. Gdy więc nadarzyła się okazja, aby zmienić pracę, skwapliwie z niej skorzystałem. Gminna oczyszczalnia ścieków potrzebowała biologa; zatrudnili mnie od ręki, co w tamtych czasach wydawało się darem z nieba. Miałem teraz spędzać dni przy mikroskopie, kontrolując jakość oczyszczonej wody. Przyjemna odmiana: cisza, spokój. Mikroby, z którymi się widywałem, wcale nie były mniej sympatyczne niż dzieciaki z podstawówki.

Alfred miał pięć lat, gdy za pierwszą pensję, która nie była jałmużną wyżebraną przez ZNP, kupiłem mu największy zestaw klocków Lego, jaki znalazłem w sklepie z zabawkami. Port piratów, pamiętasz może, swego czasu był prawdziwym przebojem i chłopcy nie marzyli o niczym innym. Duma mało mnie nie rozsadziła - szczęście synka było ważniejsze niż wszystko inne razem wzięte. Ewelina i Alfred, dla nich żyłem i nie wyobrażałem sobie świata bez ich obecności. Jak zapewne się domyślasz, teraz jestem sam, a świat jednak kręci się dalej.

Może dziwisz się, że mówię o tym tak beznamiętnie, ale historia opowiedziana po raz któryś staje się tylko zbiorem dźwięków. A opowiadam ją dzień w dzień, nieważne, czy ktoś słucha. Alfred nie zdążył pójść do szkoły. Miał za sobą tylko kilka dni w klasie zerowej, gdy Bóg postanowił zabrać go do siebie - przy pomocy tapczanu. Alfredek spał na prostym tapczanie, takim wiesz, z taniego kompletu mebli do pokoju dziecinnego. Zazwyczaj ścieliłem mu ja albo Ewelina, tamtego dnia postanowił zrobić to sam. Gdy sięgał do środka po kołdrę, pudło spadło mu na głowę, łamiąc kark - ja też chciałbym wierzyć, że to niemożliwe.

Byłem wówczas w pracy. Wróciłem wcześniej niż Ewelina, chyba prowadziła wtedy kółko polonistyczne, pierwszym, co chciałem zrobić na widok ciała Alfreda, był skok z okna albo chłaśnięcie się po żyłach; do teraz nie wiem, co mnie powstrzymało.

Możesz sobie wyobrazić, co działo się w naszych głowach. Zapadła ciemność, arktyczna noc, przestałem zauważać wschody słońca za oknem. Bursztynowe oczy Eweliny zgasły, zmienione w szklane kulki. Kolejny raz stałem nad małą trumienką i w pewnej chwili poczułem, że znów jestem smutnym dziesięciolatkiem, a wszystko, co miało miejsce pomiędzy dwoma pogrzebami, nie zaistniało naprawdę.

Czas goi rany, zresztą znasz moje zdanie na ten temat. Ewelina nie wróciła już do szkoły, mówiła, że nie zniosłaby widoku roześmianych twarzy. Staraliśmy się sobie pomagać, we dwoje dźwigaliśmy nasz świat - gdyby zabrakło jednego z nas, ciężar zmiażdżyłby drugie. Nigdy nie staraliśmy się o drugie dziecko.

Cała następna dekada, pełne dziesięć lat od tamtego strasznego dnia, w którym tapczan pożarł nam syna, było dziwaczną pantomimą. Jakby odgrywaniem ról, bez większego zresztą przekonania. Próbowaliśmy poukładać sobie życie. Dziura w świecie, niewielka, bo rozmiaru sześćioletniego brzdąca, ale jak się początkowo zdawało nie do załatania, coraz mniej kłuła w oczy. Aż wreszcie przyszedł moment, w którym Ewelina postanowiła wziąć nić losu w swoje ręce.

- Mam wrażenie, jakbym obudziła się ze snu - oznajmiła. - Nie można siedzieć tak i czekać na starość.

Znalazła ofertę pracy w Holandii. Czemu nie u nas, pytałem, ona na to, że:

- Tutaj każdy kamień, każde drzewo i krawężnik kojarzyć się będzie tylko z przygnębieniem. Nie wrócę już do szkoły, a z moim wykształceniem nie bardzo mam czego szukać gdzie indziej - bo nawet biblioteki mamy tylko dwie, z od lat obsadzonymi stołkami. Potrzebuję zmian, silnych bodźców.

Załatwienie wszystkich formalności nie zajęło jej nawet miesiąca, wyjechała na początku roku. Pracowała w małym miasteczku niedaleko Rotterdamu, nie uwierzysz, układając kompozycje z suszonych kwiatów. Holendrzy byli zachwyceni, zarabiała bardzo przyzwoicie. Jej głos w słuchawce telefonu pobrzmiwał szczęściem. Bardzo tęskniłem, w marcu chciałem nawet zostawić oczyszczalnię i pojechać jej śladem, choćbym miał tam zmywać, szorować kible albo zamiatać chodniki. Byłem już po wstępnych rozmowach z biurem pośrednictwa pracy, gdy zadzwoniła, aby powiedzieć mi, że bardzo, bardzo przeprasza, ale nie może ukrywać prawdy.

Miał na imię Noel i był od niej młodszy o piętnaście lat. Przyjechał z Kamerunu na początku lat dziewięćdziesiątych, wypatrzony przez skautów któregoś z pierwszoligowych klubów piłkarskich. Nie zrobił wielkiej kariery; już w pierwszym sezonie, wchodząc na boisko w końcówce meczu o pietruszkę, doznał potwornej kontuzji, która uniemożliwiła mu dalsze kopanie piłki; cud, że nie amputowano mu nogi. Pracował jako sprzedawca w małym sklepie spożywczym i mieszkał z Ewelina po sąsiedzku. Podobno od zawsze kochał Polskę i Polaków, jego brat studiował w Poznaniu i nawet nauczył Noela kilku podstawowych przekleństw. Znajomość szybko przybrała na intensywności, uczucie wybuchło nagłym i jasnym płomieniem.

Więść trafiła mnie jak kula armatnia. Początkowo wydawało się to nierealne, jak to: Ewelina z Kameruńczykiem? Nie mogłem uwierzyć, myślałem, że to żart, do momentu, gdy w kolejnej paczce - raz w miesiącu dostawałem od żony paczuszkę z kwietną kompozycją i słoikiem pysznego holenderskiego dżemu - znalazłem fotografię, na której promieniejącą Ewelina trzyma pod rękę czarnoskóry przystojniacha, kontrastowo szczerzący zęby do obiektywu. Ewelina przepraszała raz jeszcze, życzyła wszystkiego najlepszego, pozdrowienia przesyłał również Noel.

Wiesz, gdy czasem próbuję myśleć o tym wszystkim z dystansem, zdaje mi się, że i tak wytrzymałem bardzo dużo. Są jednak pewne granice.

Jesteśmy już blisko dnia dzisiejszego. Gdy wreszcie do mnie dotarło, że to już naprawdę koniec, wyłem w niebo przez dobry kwadrans, jak kojot czy co tam. Chodziłem bez sensu po mieszkaniu, tłukłem głową w meblościankę, rozbijałem naczynia w kuchni. W końcu wlałem w siebie wszystko, co znalazłem w barku, aby następnego dnia rano obudzić się na dywanie, z drgającą powieką, smakiem wymiocin w ustach i silnym postanowieniem zapicia się na śmierć.

Pobrałem wszystkie pieniądze z konta i poszedłem do najbliższej knajpy. Realizowanie odważnego zamysłu rozpocząłem od postawienia kolejki każdemu, kto akurat znajdował się w lokalu. Kieliszek za kieliszkiem, opowiadałem bywalcom moją historię, oni przytakiwali ze smutkiem, w opuchniętych twarzach wyczytałem empatie i zrozumienie. Fakt, że gdy po bodaj dziesięciu kolejkach wreszcie poszli, a wraz z nimi zniknął mój portfel, stanowił pewne rozczarowanie.

Byłem już bardzo pijany. Żołądek podpowiadał mi, że zaraz nabrudzę, a poczucie przyzwoitości, że lepiej nie robić tego przy stoliku. Udałem się więc do łazienki, stanąłem przed zamkniętymi drzwiami i grzecznie czekałem na swoją kolej. Dobre chęci przegrały nierówny pojedynek dopiero w ostatniej chwili: drzwi otwały się, z łazienki wyszła postawna

kobiecina, a ja nie mogąc już wytrzymać ciśnienia, obficie na nią narzygałem. Popatrzyła na mnie, na poplamioną bluzkę, znowu na mnie i powiedziała:

- Synu. Jesteś śmieciem.

Dobry Boże! W jej głosie nie było złości, oburzenia. Nie chciała mnie obrazić. Spokojnie zakomunikowała oczywisty fakt, w jednej chwili pojąłem, że ma rację. Myślę, że stała wówczas przede mną jako duch, anioł zesłany z niebios. Łzy zalały mi oczy, a gdy odwróciłem się, aby paść jej do stóp i dziękować za objawienie, już jej nie było. Barman za ladą popukał się w czoło, gdy o nią zapytałem. Oznajmił też, że nie sprzedaje więcej alkoholu.

Ten dzień był punktem zwrotnym, ostatnim zakrętem w moim życiu. Nie wróciłem do oczyszczalni: praca ma sens tylko wtedy, gdy jej owoce czemuś służą, a do czego jeszcze mogłem potrzebować pieniędzy? Nigdy nie żyłem dla samego siebie i nie wyobrażałem sobie takiej możliwości. Zresztą, powieka nie przestawała mi drgać, a spróbuj wyobrazić sobie człowieka z tego rodzaju nerwowym tikiem, pracującego przy mikroskopie. Zostawiłem wszystko i przyszedłem tu, gdzie jest moje prawdziwe miejsce, gdzie znalazłem przystań i ukojenie, i gdzie dziś się spotkaliśmy.

— * —

Anzelm rzucił za siebie pustą puszkę. Kilka złotych kropeł zaślśniło w słońcu.

- Tak to mniej więcej wygląda - spojrzał na mnie. -Cała moja historia. Zabawna, zgodzisz się? Gdyby ktoś nie mający nic lepszego do roboty postanowił napisać o mnie książkę, starczyłoby mu tego najwyżej na dziesięć stron... A może nawet nie. Jestem pewien, że nikt z tych gratów - zatoczył ręką szeroki łuk - mógłby opowiedzieć coś znacznie ciekawszego.

Milczałem.

- Wiesz - podjął. - W tym miejscu mógłby nastąpić koniec. Ale nie nastąpił. Jeśli chcesz, możesz o tym posłuchać następnym razem... O tym, co powiedziałem Bogu. I co On mi odpowiedział.

Podniosłem się, skrzypnęły sprężyny; wiedziałem, że powinienem już iść. Piwo szumiało w głowie.

- Przyjdę jutro.

Pożegnaliśmy się i odszedłem, czując na sobie wzrok Anzelma.

— * —

Nazajutrz upał nie zelżał ani trochę; powietrze wlewało się do płuc gęste, gorące i lepkie. Można było pomyśleć, że to głodny diabeł wstawił rondel z Cielęcinem na piekielny palnik. Idąc przez miasto, wyglądałem spadających na ziemię martwych ptaków i psów zdychających na ulicach, brzuchami do góry i z wywalonymi językami.

Piaszczysta droga prowadząca do zwirowni zdawała się nie mieć końca. Pięła się pod górę; nachylenie terenu nie było zbyt duże, ale wystarczające, by spływająca tędy podczas deszczu woda wyźłobiła głębokie bruzdy. Sądząc po śladach, nieraz zabuksowało tu koło samochodu wiozącego śmieci na nielegalne wysypisko. Przez podeszwy trampek czułem rozgrzany piasek.

Byłem ciekaw spotkania z Anzelmem już choćby dlatego, by przekonać się, czy istniał naprawdę - czy był tylko urojeniem, fatamorganą, duchem, który wychynął w upale z puszkii po piwie. Miałem przed oczami jego ogorzałą twarz, ale wcale nie byłem pewien, czy rzeczywiście ją widziałem.

Wczoraj wracałem lekko pijany - temperatura urobiła mnie, zmiękczyła, chłonałem alkohol jak gąbka. Do przejścia był spory kawałek, dobre pięć kilometrów; powłóczyłem nogami, zdawało się, że płynę w smole. W parku, opodal szacownej bryły banku spółdzielczego, spotkałem Tłustego. Siedział samotnie na ławce, słynnej ławce z parku bankowego, ważnym punkcie w topografii miasta. Stałymi rezydentami owego sprzętu byli niegdyś Tasiór, Fred i Ciapek, nierozłączni ziomy-muszkietrzy, ujarane trio, spędzające popołudnia na wodzeniu wzrokiem za spódnicami dziewczyn i kręceniu blantów - zupełnie, jakby wyskoczyli z piosenki Myslovitz. Odkąd wyemigrowali na wyspy szukać szczęścia na kurzych farmach i w tureckich restauracjach ławka wydawała się smutnie niekompletna, kaleka, jak wyposażone akwarium bez rybek albo tir bez naczepy.

- Cześć, Modrzew.

Przysiadłem się. Tłusty trzymał na kolanach otwarty zeszyt, kartki pokryte były koślawym pismem. Zainteresowałem się:

- Co piszesz?

Tłusty zajmował szczególne miejsce wśród cielęcińskich dziwactw i wynaturzeń: był literatem. Niczym widmo snuł się po mieście, smutnym wzrokiem zaglądając w dusze przechodniów, zawsze niedogolony, ze strakami przetłuszczonych włosów wiszącymi po bokach zapadniętej twarzy. Przesiadywał w knajpach, dawał sobie postawić kolejkę, czasem recytował swoje utwory. Miał za sobą debiut z prawdziwego zdarzenia - jego pierwsza powieść, wydana w odcinkach na etykietach słoików musztardy „Gorczytex”, produkowanej

w niewielkim zakładzie pod Cielecinem, doczekała się recenzji w „Nowej Fantastyce”. Redaktor ocenił ją dość surowo, przyznając za to, że zjadł ze smakiem zawartość wszystkich recenzowanych słoików - co niewątpliwie wymagało z jego strony poświęceń, jako że specjał dostępny był raczej lokalnie.

- Piszę drugą powieść. Chcę iść za ciosem.

- O czym?

- Mroczne fantasy. Akcja dzieje się w fabryce magicznego mydła. Mam zamiar zawrzeć tam trochę obserwacji Socjologicznych, wiesz, pracuję w wakacje w Kabeltechu, to będzie prawdziwe i szczere. Poza tym sporo przemocy i seksu.

Pokiwałem głową:

- No proszę.

Wymieniliśmy się jeszcze okolicznościowymi banałami, Tusty opowiedział o ekstremalnych warunkach pracy w Kabeltechu i zbierałem się właśnie do dalszej drogi, gdy wydarzyło się coś, co kazało zapamiętać całą tę scenę.

Parkową alejką przechodził starszy pan, prowadząc za rękę małego chłopczyka; klasyczny układ dziadzius -wnusio, w którym niespełniony senior, dręczony silnym poczuciem egzystencjalnej porażki, realizuje swe mentorskie zapędy, chcąc kształtować po swojemu pokolenie przyszłych zdoywó w świata i tym samym ch ó p órednio oddziałać na rzeczywistość; oddana zaś pod jego opiekę pociecha zazwyczaj ma te starania w głębokim poważaniu i jawnie preferuje pokemony. Tu wystarczył rzut oka, aby rozpoznać w schludnym siedemdziesięciolatkowi ostoję tradycyjnych wartości, ostatniego Mohikanina ładu, prawa i sprawiedliwości, żyjącego w niezbitym przekonaniu, że to, co dobre, odeszło razem z endecją.

Wnusio:

- Dziadku, co ci panowie robią?

Dziadek spojrzał na nas z perspektywy dekad minionych, prześlizgnął się prawym spojrzeniem, porównał z uznawanymi wzorcami, groźnie ściągnął brwi, po czym rzekł dobitnie:

- Jacy panowie, Maciuś, jacy panowie. To zwykle śmieci.

Malec pokiwał poważnie głową, poszli dalej. Przez moment czułem się naprawdę nieprzyjemnie - a Anzelm w mojej głowie uśmiechnął się smutno.

Gdy wreszcie dotarłem na miejsce, miałem wrażenie, że skóra spłynie ze mnie z gorąca. Jaszczurki wygrzewające się na kamieniach spoglądały niechętnie.

Wewnątrz żwirowni nic się nie zmieniło: nielegalne składowisko odpadów skrzyło się barwami, namiot Anzelma stał na swoim miejscu. Rozejrzałem się w poszukiwaniu drobnej sylwetki.

- Jestem - Anzelm wyłonił się zza drzew równie niespodziewanie jak poprzednio. - Cieszę się, że przyszedłeś.

Przywitaliśmy się. Wyciągnąłem z plecaka piwo. Anzelm wskazał dwie opony leżące w cieniu rzucanym przez sosny; usiedliśmy.

Dziś nie miał na głowie wiaderka po farbach. Rzadkie włosy stroszyły się wokół łysego placka na czubku głowy, lśniącego kropelkami potu. Porośnięte siwą szczecina policzki były mocno zapadnięte, oczy niemal niknęły pod wałami opuchniętej skóry. Przewieszony przez ramię arkusz folii poruszał się w rytm ciężkiego oddechu.

- Dobrze się pan czuje?

Anzelm skrzywił się i machnął ręką. Otworzył puszkę, pociągnął; drobinki piany osadziły się na wąsach.

- W tej pogodzie dobrze czują się może krokodyle. I to pewnie nie wszystkie.

Otworzyłem piwo. Nagrzało się w plecaku, piliśmy letnie.

- Proszę pana... - zacząłem.

- Mów mi po imieniu.

- Anzelm - poprawiłem się. - Sporo myślałem o tym, co usłyszałem wczoraj. Jedna rzecz zastanawia mnie szczególnie. Powiedz, co rozumiesz przez pojęcie „śmieć”?

Uśmiechnął się szeroko.

- To, co każdy. Nie szukaj w tym żadnej symboliki. Śmieć to śmieć. Coś zbędnego, niepotrzebnego, dla czego nie ma już miejsca. W tym właśnie jestem identyczny z każdym spośród tych wszystkich kłopotów. Zobacz, tam leży stara lodówka. Jeśli się nie mylę, klasyczny polar z lat osiemdziesiątych, miałem taką samą. Zapelnienie jej półek stanowiło dla kogoś istotny cel, białe pudło dumnie królowało w kuchni. Pewnego dnia być może się zepsuło, być może po prostu kupiono nowe - i bach, lodówka trafiła na śmietnik. Jak myślisz, czy ktoś za nią tęskni? Z ludźmi jest tak samo...

Druga opowieść Anzelma

(nagle przerwana)

Z ludźmi jest tak samo, Modrzew, bez żadnej różnicy.

Gdy zrozumiałem, że jestem śmieciem, poczułem się dziwnie pozbawiony własnego miejsca. Świadomość całkowitej zbędności nie była jednak ciężarem, przeciwnie, zdawało mi się, że spore obciążenie zdjęto z moich barków. Skoro normalny świat pokazał, że mnie nie chce, postanowiłem nie pozostać dłużny. Zamknąłem mieszkanie, klucze wrzuciłem do studzienki ściekowej. Obszedłem śmietniki, pozbierałem to, co uznałem za potrzebne, jak widzisz, obdarowały mnie całkiem szczerze.

Spodziewałem się znacznie większych problemów. Wiesz, był początek kwietnia, noce jeszcze zimne. Martwiłem się niepotrzebnie. Owinięty kocami i szmatami, sypiałem znacznie lepiej niż ostatnio we własnym łóżku. Jeśli coś mi przeszkadzało - to tylko ludzie. Czasem się tu pojawiali. Emeryci spacerujący z psami byli niegroźni, ale denerwujący - zagadywali, litowali się, jeden pan koniecznie chciał się podzielić sernikiem od żony. Pojawiający się od czasu do czasu wagarowicze z tanimi nalewkami reagowali zdrowiej - śmiechem i wyzwiskami. Nie dziwię się im, ale nie powiem, żeby pozostawiało mnie to niewzruszonym. Od nierozsądnych działań powstrzymywała mnie pewność, że niejeden z tych gówniarzy zajmie kiedyś moje miejsce. Tu chciałbym prosić cię, abyś wybaczył nie najlepsze wczorajsze powitanie -niestety, nie potrafiłem na pierwszy rzut oka dostrzec, że się od nich różnisz.

Bycie śmieciem wcale nie jest takie łatwe. Mimo wszystko, zadajesz pytanie: dlaczego ja? Najpierw zadajesz je samemu sobie. Po pewnym czasie wiesz już jednak, że w ten sposób nie poznasz odpowiedzi.

Tamten wieczór nie różnił się za bardzo od poprzednich. Jak zwykle, rozpałem małe ognisko - widzisz ten osmalony zlew? Układałem w nim gałęzie, okazało się to naprawdę praktyczne... Siedziałem przy ogniu, wyciągałem do niego ręce - i opowiadałem sobie własne życie. Podniosłem głowę: zdawało się, że patrzą na mnie wszystkie gwiazdy. Nagle poczułem gniew. Wstałem, zacisnąłem pięści.

- Boże! - krzyknąłem. - Wiem, że istniejesz. Musisz istnieć, bowiem Twoje decyzje są popieprzone tak bardzo, że przerasta to moje wyobrażenie. Powiedz, dlaczego właśnie ja? Co takiego Ci zrobiłem?

Wyobrazasz sobie? Mały człowieczek pośrodku wysypiska śmieci, z nerwowo drgającą powieką, krzyczący do Boga. To musiał być widok.

Gniew, jak to często ma w zwyczaju, niepostrzeżenie zamienił się w rozpacz. Upadłem na kolana, popłynęły łzy.

Nagle ogień w zlewie buchnął wysoko, uformował się w płonący słup, wokół sypnęły iskry. Zrobiło się jasno jak w południe. Popłynął głos, potężny, choć nie wiem, czy dobiegał z zewnątrz - czy może z mojego wnętrza?

- Synu! Ustanowiłem cię śmieciem pośród ludzi, ale i człowiekiem pośród śmieci. W głębi serca wiesz, że zostałeś wybrany. Zapamiętaj każde słowo: świat, jaki znasz, czeka zagłada. To już ostatnie dni! Koniec jest znacznie bliżej niż sądzą ludzie. Potop odpadów zrówna z ziemią wszystko, z czego są dumni. Świat tonie w śmieciach, a wkrótce zatonie całkiem. Buduj arkę! Fala śmieci, gdy nadejdzie, uniesie cię na swym grzbiecie. Opadnie po czterdziestu dniach, a ty będziesz jedynym, który ujrzy nowy świat.

Głos Boga rozbrzmiewał w moich uszach. Tak jak prosił, zapamiętałem wszystko.

Pewnie myślisz, że oszalałem. To bardzo możliwe. Wiem jednak, z całą pewnością, że głos się nie mylił. I cieszę się, nawet sobie nie wyobrażasz, jak się cieszę. Wyglądam dnia, w którym przyjdzie fala. Buduję arkę, jest już niemal gotowa; wiem jednak, że nie mogę pokazać jej nikomu. Czekam na nowy świat, na...

— * —

Anzelm przerwał gwałtownie. Zarzęził, wypluł piwo. Osunął się na piasek.

- Hej! - przyskoczyłem do niego. - Anzelm! Anzelm!

Łapał powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba. Ułożyłem go delikatnie.

- Potrzebujesz pomocy. Sprowadzić pogotowie? Uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Nie żartuj. Wszystko jest w porządku - podniósł się. - Jestem bardzo zmęczony, to wszystko. Oczekiwanie potrafi wykończyć bardziej niż ciężka fizyczna praca.

- To ty nie żartuj. Powiedz, jak mogę ci pomóc? Przynieść lekarstwa, jedzenie?

Anzelm machnął ręką.

- Młody przyjacielu, jestem ci bardzo wdzięczny za troskę. Ale wierz mi, znam się dobrze. Wszystko jest w porządku. Cieszę się, że myślisz o moim dobru - to naprawdę nieczęste. Zostaw mnie dziś. Odpocznę, nabiorę sił. Jutro dokończę opowieść, jeśli chcesz, posłuchasz o nowym świecie, który nastąpi. Zgoda?

Kiwnąłem głową. Anzelm nie chciał, bym go teraz oglądał, musiałem to uszanować. Zgodziłem się odejść, choć czułem, że rozmawiam z nim po raz ostatni.

- Przyjdź - uśmiechnął się. - Nie musisz przynosić piwa. Będziesz pierwszym i jedynym poza mną, który pozna prawdę.

Nie mogłem go zawieść.

Upał wisiał równie nieznośny, jak ostatnimi dniami. Ponowne pokonanie piaszczystej drogi wymagało sporego zaparcia; tym razem urosło jednak do rangi symbolu. Gdy dotarłem do żwirowni, promienie słońca zlewały się w jedno z piaskiem, refleksy oślepiły, a niebo płynnie przenikało się z ziemią.

Anzelm leżał w namiocie pod arkuszem folii. Wewnątrz było gorąco jak w piekarniku. Szklanymi oczami oglądał to, czego ja nie mogłem jeszcze dostrzec, twarz zastygła w uśmiechu. Dłoń zaciskała się na puszcze po piwie.

Tam go zostawiłem, wśród śmieci na dzikim wysypisku, w miejscu, gdzie postanowił zakończyć swoją historię; nie powiedziałem nikomu ani słowa. Wiem, że byłby mi za to wdzięczny. Nie szukałem jego arki, choć wiem, że gdzieś tam była, w którejś z piaskowych jam - a może zabrał ją ze sobą?

Opowieść pozostała niedokończona, zawisała w pół słowa i pomiędzy światami. Czasem, gdy siedzę pod rozgwieżdżonym niebem, zdaje mi się, że słyszę cichy głos Anzelma - lecz nie potrafię zrozumieć jego słów. Czekam na dzień, gdy poznam prawdę.

Zdarza mi się obudzić o świcie. Wychodzę wówczas z altanki i wypatruję na horyzoncie fali śmieci - i małej figurki w arce niesionej na jej grzbiecie.

Autoportret ze skorupką (outro)

Noc dojrzała, przystroiła się
w gwiazdy. Gdy podniosłem
wzrok ku niebu, zakreśliło mi się
w głowie – wydawało się tak bliskie.
Tak naprawdę nigdy nie wierzyłem
w ogrom odległości, w te wszystkie
lata świetlne, jakie dzielą nas od
gwiazd; gdybym wszedł na drzewo
i wyciągnął rękę, zerwałbym sobie
jedną i najpewniej rozplynęłaby mi
się w dłoni. →

Podmuch wiatru zaszumił w koronach drzew i porwał precz wspomnienia. Znowu siedziałem przed altanką, prawie pijany, trzymając na kolanach nawiedzoną skorupę żółwia błotnego. Przyglądałem się, jak przezroczyste łapy wnikają w dzinsy i nie mogłem zrozumieć, jak doszło do sytuacji, w której martwy gad jest jedyną istotą, która słyszy moje słowa.

- A może ty mi wytłumaczysz? Myślę, że gdy odszedłeś, byłeś już bardzo starym żółwiem. Przewędrowałeś świat i widziałeś wszystko. Powiedz, jak to się dzieje: młodość rozpuszcza się w winie, miłość nagle odchodzi i któregoś dnia w jej miejscu znajdujesz tylko tęsknotę i nawet nie masz siły się dziwić. „Żyj szybko, kochaj mocno, umrzyj młodo”. Rock'n'roll, bejbi? Pieprzę taki rock'n'roll.

Żółw oczywiście milczał. Jego oczy były przepaściami bez dna; zastanawiałem się, co widzi - czy w ogóle coś widzi?

- Nie ciekawi cię, żółwiu, ile prawdy jest w tym, co mówię? W którym miejscu przesadziłem, co przemilczałem, a co było konfabulacją od początku do końca? Wiem, że nie -

uśmiechnąłem się zeszywniałymi od wina, cudzymi ustami. - Jesteś mądrym żółwiem i świetnie zdajesz sobie sprawę, że dziś nie potrafiłbym odpowiedzieć na te pytania. Wiem też, że wcale nie interesuje cię dalszy ciąg. Nic dziwnego. Ja nie chciałbym słuchać o tym, jak compadres rozjechali się po świecie, Mała u boku nowego chłopaka, Budzigniew i Nietopyr w dwie przeciwne strony, przepełnieni niechęcią, obydwaj z mocnym postanowieniem rozpoczęcia nowego życia.

Przeciągnąłem się. Strzeliło mi w karku.

- Opowieść, opowieść. Kiedyś zrozumiałem i tkwię w tym przekonaniu: wszyscy jesteśmy opowieścią, czy tego chcemy, czy nie. I nasza opowieść, krótka historia compadres z Cielęcina, też musiała dobiec końca. Krzywy wyczuł to raz jeszcze, szkoda biedaka. Czasami o tym myślę - czy nie ma go z nami dlatego, że był narkosem i naprawdę nie zauważył tej ciężarówki, czy po prostu konsekwentnie wyskoczył z drugiego planu w okolicach puenty. Swoją drogą, jeśli go kiedyś spotkasz, pozdrów ode mnie. Na pewno błąka się teraz po planie astralnym, ciekawe, czy w ogóle zauważył różnicę.

Żółw niestrudzenie przebierał łapami. Kontynenty zmieniają kształt, góry zamieniają się miejscami z morzami, kwaśne deszcze zmyją ostatnie ślady cywilizacji -a gdzieś tam zachowa się pewna skorupa, specjalnie po to, żeby mój przyjaciel mógł pozostać przy swych przyzwyczajeniach.

- Pieprzę, żółwiu. Myślę i gadam nieprzeciętne głupoty. Szkoda, że nikt nas nie widzi. Scena pierwszorzędną, pijany nieudacznik i monolog do skorupy. Może powinienem raczej śpiewać z akompaniamentem harcerskiej gitary? To dopiero byłby rock'n'roll!

W krzakach cykały świerszcze, pohukiwały sowy. Słysząc było przytłumione odgłosy samochodów przejeżdżających przez pobliskie osiedle. Naraz zamarłem -żółw otworzył widmowy pyszczek. Przezroczyły dziób uchylił się, powolutku, jak drzwi, za którymi skrywa się odpowiedź na największe zagadki, kielich mądrości i szczęśliwe numery totolotka. Po chwili zamknął się z powrotem, bez jednego słowa, bez najcichszego choćby dźwięku. Żółw, gdyby tylko chciał, powiedziałby, co o tym wszystkim myśli, ale postanowił to przemilczeć.

Bonus Track

*"Wszyscy we wszystkim jesteśmy tym,
czym jesteśmy."*

Kurt Cobain

Jajko

Prolog

*Niebo płacze trzeci dzień, a Konstanty
stoi w strugach deszczu i czuje się
poetą. Myśli: świat to dziwne miejsce.
Liście opadają z drzew, a potem gniją
i przyklejają się do podeszew butów.
Przed wszystkim zaś nie powinno być
dymu.*

*Z naprzeciwka idzie gruba kobieta.
Prowadzi na smyczy psa. Psa
Dziwaczne, parówkowate stworzenie
niemal szoruje brzuchem o chodnik,
rozpaczliwie przebiera krótkimi łapkami; —,*

Gdy pańcia prze naprzód, zwały mięsa falują na jej twarzy, nozdrza rozduymają się gwałtownie; supermarket jest już blisko!

Wieki temu ludzie polowali razem z wilkami. Oto degeneracja.

Kadry miasteczka przewijają się Konstantemu przed oczami. Nogi ma z gumy, a wewnątrz głowy watę. To nie on idzie, to świat przesuwają się pod nim. Kościół, kiosk, bloki, sklepy. Szkoła, znowu kiosk, znowu sklepy. Znowu bloki. Jak liczmany rzucone niedbale na planszę do gry.

Wszystko ocieka deszczem.

Po chwili scenografia ulega zmianie, park wybucha ciepłymi barwami: żółcią, czerwienią, odcieniami brązu. Pusto, pogoda odstraszyła młode matki.

Wreszcie cała ta smutna rutyna rozpada się na kawałeczki: na alejce leży jajko. Złote, większe od pięści, gładkie i błyszczące. Konstanty przystaje. Lubi nazywać rzeczy po imieniu, więc schyla się i mówi:

- Jajko.

Trąca je delikatnie czubkiem buta. Toczy się. Wokół nie ma nikogo. Konstanty podnosi jajko zimne i śliskie, jak kamień wyciągnięty z dna górskiego strumienia, po czym, nagle zawstydzony, chowa do kieszeni.

Nie myśli o nim więcej. Powoli obraca językiem miętusa. Idzie dalej, a świat to rozmazane smugi.

1.

Kolejny dzień odchodził w niepamięć. Doba za dobą, jak krople deszczu spływające po szybie. Pobudka tylko po

to, aby za kilkanaście godzin znów zasnąć; jawa i sen chyba zamieniły się miejscami.

Gdy świat realny tracił już kontury, rozległo się pukanie. Konstanty westchnął.

- Miron?

Drzwi szafy skrzyknęły płaczliwie. Ze środka wyszedł ciemny kształt, za nim popłynęło zimno. Konstanty zadrżał i podciągnął kołdrę pod samą szyję.

- Co tutaj robisz? - zapytał.

Miron usiadł po turecku na podłodze.

- Wróciłem - oznajmił. - Porozmawiamy.

- Nie chcę z tobą rozmawiać.

- Ależ chcesz. Konstanty pokręcił głową.

- Przecież zabiłem cię właśnie dlatego, że miałem dość rozmów.

- Zaraz: zabiłeś - Miron machnął ręką. - Naprawdę myślisz, że to takie proste?

- Tam jest twoje ciało - zauważył Konstanty.

- Co ty nie powiesz? Myślałem, że spodnie.

Konstanty nie zdążył zaprotestować, rozbawiony Miron podniósł się i sięgnął do wnętrza szafy. Wybuchł głośnym śmiechem, triumfalnie machając nad głową parą dzinsów.

- Rzeczywiście - zgodził się Konstanty. - Może tylko mi się zdawało. Uważaj na zyrandol.

Miron uspokoił się i usiadł na skraju łóżka.

- Jak minął dzień?

- Napisałem wiersz. Wydruk leży na biurku.

Miron podniósł kartkę, przez chwilę czytał w milczeniu.

- Niezły - ocenił. - Ale stać cię na coś lepszego. Co poza tym?

- Chyba nic.

- Myślałeś o Darii? - Miron odłożył wiersz na biurko.

- Owszem.

- A konkretnie?

- Konkretnie o jej piersiach. Wiesz, przypominają mi połówki cytryny. To oczywiście luźne skojarzenie, ale zobacz: przekrój cytrynę na pół i zamaluj na różowo te wystające koniuszki. Tylko jak to będzie brzmiało? „Piersi jak połówki cytryny”. Fatalnie.

Miron milczał dłuższą chwilę.

- Uważasz, że to w porządku?

- Och, proszę - skrzywił się Konstanty. - Nie wracajmy znowu do tego. Nie zmuszaj mnie, żebym cię zabił ponownie. Nie chcę tego robić.

- Dobrze, spokojnie. - Miron uniósł ręce w pojednawczym geście. - O proszę, proszę.

Konstanty podążył za jego spojrzeniem. Jajko leżało na półce, spowite złotą poświatą.

- To... jajko. Dzisiaj znalazłem.

- Tak sądzisz? Konstanty uniósł głowę.

- No tak. Szedłem alejką w parku jakby nigdy nic, naraz patrzę, jajko. Pomyślałem, wezmę je sobie. Przecież nie co dzień znajduje się takie rzeczy.

- Mylisz się - stwierdził Miron. - To nie ty je znalazłeś. To ono znalazło ciebie.

Konstanty przełknął ślinę.

- Możliwe. Szczerze mówiąc, tak się właśnie poczułem

Miron wstał, zważył jajko w dłoni i delikatnie odłożył z powrotem.

- Pilnuj go - poradził. - To twój największy skarb. Nie rozstawaj się z nim. Możesz stracić wszystko, tego ci nie wolno. Pamiętaj. Pa-mię-taj. Pa, pa.

Słowa Mirona cichły, ostatnie były już niewyraźne i mocno przytłumione. Drzwi szafy zamknęły się ze skrzypnięciem; Konstanty znów był sam. Westchnął.

Nie działa się dobrze. Najpierw jajko, teraz niespodziewany powrót sumienia. Co jeszcze?

Nad głową wisiał biały sufit, nieco nierówny, pokryty żyłkami pęknięć. Konstanty zrozumiał, że to wcale nie sufit: to mózg. Srebrzyste, lśniące zwoje pulsowały w rytm uderzeń jego serca, opadały coraz niżej i niżej. Zamknął oczy.

Miętus wiercił się w ustach, kanciaste brzegi drażniły podniebienie. W sinym świetle jarzeniówek jajko leżące na brzegu ławki wyglądało zwyczajnie i smutno, jak polny kamień. Wcale nie wydawało się złote, raczej szarozółte.

Konstanty nie lubił szkoły. Widział w niej wielogłowego potwora, trawiącego uczniów w licznych żołądkach klas. Szkoła wysysała człowieka jak pajak muchę, wchłaniała wszystko, co wartościowe, aby potem wydalić tylko suchą, pustą skorupkę. Godziny toczyły się tu po grzbietach niczym nabijany kolcami walec w średniowiecznej torturze; każda zostawiała trwałe ślady.

Bez miętusów nie dałby sobie rady.

Geograf zmarszczył groźnie czoło. Powiedział:

- Bla bla bla.

Kłapnęły okładki, jakby to nagły podmuch wiatru wpadł do klasy i pozamykał zeszyty. Zapadła lodowata cisza; ktoś szczerknął zębami. W powietrzu unosił się mocny zapach potu.

Geograf podniósł się zza biurka i omiół klasę złym spojrzeniem. Bez słowa wskazał wysoką blondynkę, której imienia Konstanty nie pamiętał, zresztą nie było ważne. Dziewczyna pobladała. Gdy wstawała, trzęsły się jej ręce.

Geograf kazał jej rozwinąć mapę, a sam rozsiadł się w fotelu.

-Bla bla bla?

Dziewczyna zatrzepotała powiekami.

- Bla bla... bla - odparła.

Na usta nauczyciela wypełził zadowolony uśmiech. Energicznie pokręcił głową.

- Bla bla bla. Bla!

Dziewczyna struchlała. Drobne kropelki wykwitły na jej skroniach. Pisała na tablicy, kreda wypadła jej z rąk. Schyliła się; geograf oblizał mięsiste wargi. Jego oddech przyśpieszył, palce zabębniły na krawędzi biurka.

Dziewczyna zająknęła się:

- Bla... bla?

- Bla bla bla! - zagrzmiął i wybuchł śmiechem. - Bla bla bla!

Wyjął z szuflady opiekacz do tostów, usłudni dyżurni podłączyli go zaraz do kontaktu.

Dziewczyna wpatrywała się w podłogę, z całych sił tłumiąc wzbierający

placz. Nauczyciel delikatnie ujął jej dłoń, pogłodził palcem i wepchnął do opiekacza, zamykając pokrywę.

- Bla bla bla - powiedział z czułością. Dziewczyna drżała, lecz uśmiech nie zniknął z jej posiniałych ust. Szklista glazura pokryła oczy. Sekundy ciszy były ciężkie jak głazy.

Geograf szarmanckim, przesadnym gestem otworzył opiekacz i odesłał uczennicę do ławki. Wróciła na miejsce, chowając za sobą spieczoną dłoń i połykając lzy.

- Bla bla bla - oznajmił nauczyciel.

Przez klasę przetoczyło się westchnienie ulgi. Koniec odpytywania! Uczniowie otworzyli zeszyty, czekając, aż geograf podyktuje temat.

Konstanty spojrział na jajko i wrócił do pisania wiersza.

— * —

Ściana naprzeciw miała nierówną, chropawą fakturę, jak pancerz lewiatana. Rury centralnego ogrzewania przypominały żyły. Konstanty podejrzewał wręcz, że krąży nimi gorący szlam krwi.

Siedział na ławce. Przechodzący korytarzem ludzie zamieniali się w niewyraźne plamy, a gdy przyglądał im się bliżej, byli tylko szarawą mgłą, półprzezroczystą galareta, która ledwie załamywała światło. Czas zwalniał i przyspieszał.

- Duszno mi.

- Coś mówiłeś? - zainteresował się siedzący obok kolega X.

- Nie, nic.

Minęła ich grupka szczebioczących dziewcząt. Potem kilku chłopców. Kęsy pokarmu, przepychane skurczami jelit w stronę żołądka. Ciekawe, czy oni wszyscy mają dusze?

Nagle Konstanty zamarł. Zobaczył dziewczynę-zjawisko. Wolno szła korytarzem, wysoka i smukła, z falami czarnych włosów opadających na ramiona. Wszystko inne stawało się tłem, traciło barwy i głębię. Konstanty spostrzegł z fascynacją, że dziewczyna ma na plecach skrzydła; ich zarys w mgnieniu oka wypełnił się śnieżną bielą. Wiedział, że gdyby wyciągnął rękę, poczułby ciepły puch. Dotarło do niego, że dziewczyna nie dotyka własnego cienia: nie idzie, lecz płynie w powietrzu.

Gdy znikła w drzwiach, pozostawiając po sobie tylko subtelny zapach kwiatów, zapytał:

- To anioł?

- Niewykluczone - kolega X poważnie skinął głową. - Tyłek iście niebiański. Widziałeś, jak opinała się ta spódnica...?

Konstanty spojrział na niego surowo. Tamten podrapał się w ucho i kontynuował:

- No, tak na poważnie to Alicja. Alicja... Jak jej tam? Nie pamiętam. A co? Ech, Konstanty...
Bla bla bla? - X trącił go łokciem. - Bla bla bla!

Usta wiły się jak robak, ale wydobywające się z nich dźwięki przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Konstanty patrzył, a pod ciężarem jego wzroku X zaczął się kurczyć, maleć, zapadać w sobie, aż zniknął zupełnie.

Konstanty podniósł się z ławki.

3.

Pochylała się nad nim Daria: blond grzywka, kucyk, wesołe zielone oczy, kilka piegów koło nosa. Konstanty przeglądał się w jej źrenicach.

- Och - uśmiechnęła się. - Uwielbiam, gdy tak patrzysz mi w oczy. Czytasz mnie, prawda?

Konstanty zmarszczył brwi.

- Nie - szepnęła. - Nie czytasz. Ty mnie piszesz - chwyciła jego dłoń i przycisnęła do swej piersi. - Jesteś przecież poetą.

Nie miała nic pod bluzką. Konstanty wyczuł twardy, zmarszczony sutek. Naprawdę jak cytryna.

- O tak - oczy Darii zasnuła mgielka. - Jestem czystą kartką. Mój poeta.

Na peryferiach pola widzenia Konstantego jajko świeciło teraz jak złota żarówka. Może to gwiazda, pomyślał. Spadła z nieba i jest jej zimno.

- Jesteś taki milczący - zachwyciła się dziewczyna, prężąc młode ciało. - Taki tajemniczy.

A może wykluje się z niego złocisty smok, który oczyści świat sprawiedliwym ogniem? Konstanty zginie jako pierwszy, a kiedyś na jego popiołach zakwitną przepiękne kwiaty; Alicja zerwie je i wepnie we włosy.

- Och, Konstanty! - Daria przywarła do niego ustami. Białe ząbki rozcięły dolną wargę chłopaka; nawet tego nie zauważyła. - Smakujesz miętą... Bla bla bla! Konstanty! Bla bla bla! Nagle bardzo rozboleła go głowa. Zanim się spostrzegł, leżał już na plecach wśród bezładnie rozrzuconych części garderoby, niczym martwy żołnierz na pobojowisku; Daria rozpięła mu koszulę. Chciał oswobodzić się z wężowego uścisku nóg dziewczyny - ale nie wiedział jak.

- Bla bla bla!

Nie mógł się ruszyć. Miał nieodparte wrażenie, że przypatruje mu się Miron; czekał na drwinę.

Nagle otworzyły się drzwi. Do pokoju weszła matka Darii, postawna kobieta o szerokiej szyi i nogach grubych jak młode drzewa. Zobaczyła ich na podłodze i przystanęła, a na jej ciastowatej twarzy rozlał się zachwyt. Dwa kubki z herbatą upadły na dywan.

- Ojej! - krzyknęła. - Jak słodko się dzieci kochają! Konstanty spróbował się oswobodzić, nadaremnie.

Matka dziewczyny zawisła nad nim niczym rój os.

- Jakiś ty śliczny! - rozpływała się w zachwycie. - I ty też! - przygarnęła do siebie Darię.

Zaalarmowany hałasem, do pokoju wpadł dziadek, a za nim babcia i sąsiadka. Spoglądali sobie ponad głowami, przepychali się, chcąc zająć jak najlepsze miejsce.

Tego było już za wiele. Konstanty wyszarpnął się wreszcie z objęć Darii i odepchnął jej matkę. Pochwyił jajko, które dziewczyna położyła na biurku i, zanim ktokolwiek zdążył zareagować, wyskoczył przez okno; mieszkanie znajdowało się na parterze. Nie odwracał się, ale i tak wiedział, że w otwartym oknie zakwitły głowy, szepczące teraz w zdumieniu i podziwie.

Machinalnie zapiął koszulę i ruszył w stronę domu. Zgryzł miętusa: mokra trawa zapachniała na zielono.

— * —

W rękach Alicji pędzel stawał się magiczną różdżką, kolejnymi pociągnięciami wyczarowywała nowy świat. Na płótnie rozświetlona dolina kipiała życiem: jednorożec spokojnie pił wodę ze strumienia, sarny przystanęły na skraju lasu, motyle nad łąką mieniły się feerią barw. Alicja uważała, że kolory mają swoje brzmienie. Brąz dudnił dźwiękiem basowego bębna, błękit był delikatnym kobiecym zaśpiewem, jasna zieleń rwanymi nutami drewnianej piszczałki. Sztuka malowania polegała na takim dobraniu barw i kształtów, aby gotowy obraz zagrał harmonijną melodię.

Odgarnęła włosy za uszy, uśmiechnęła się: chciałaby kiedyś zamieszkać w tej dolinie. Kto wie, kto wie...? Zanurzyła pędzel w farbie i zaczęła malować domek; niech czeka przycupnięty na wzgórzu. Jeśli nawet nie ona, ktoś wprowadzi się tam z przyjemnością.

4.

Konstanty niechętnie otworzył oczy.

- Nareszcie.

- Miron?

- Głupie pytanie - Miron-sumienie był ponury. Siedział na skraju łóżka, gniotąc w dłoni rąbek kołdry. - Bo któżby inny?

Konstanty ziewnął.

- Co tu robisz? O tej porze?

- O tej, o tej. Wczoraj w ogóle mnie nie zauważyłeś. Ciężko trafić na taki moment, żebyś akurat nie ciamkał tych przeklętych miętusów.

- Muszę - usprawiedliwił się Konstanty. - Jestem chory, przecież wiesz.

- Pieprzenie - Miron-sumienie machnął ręką. - Lepiej podejdź do okna.

- Coś się stało?

- Sam zobacz.

Konstanty podniósł się z łóżka. Zachwiał się, zawirowało mu w głowie, ale nie upadł, sumienie w porę przytrzymało go silnym ramieniem.

- I co o tym myślisz?

Konstanty oparł się łokciami o parapet. Milczał.

W oddali niebo ściekało na horyzont bladoróżowe, gęste jak kisiel. Dachy domów wybrzuszały się, unoszone dychawicznym oddechem, kominy kaszlały kłębami dymu. Rosnące wzdłuż ulicy drzewa tańczyły, ich gałęzie falowały niczym cudaczne ukwiały. Byli też ludzie - pelzali na brzuchach, nadzy, podobni do tłustych pędraków. Wszystko spowijała przerażająca cisza.

- Co teraz? - zapytał w końcu Konstanty. Miron-sumienie wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Co mam teraz zrobić?!

- Nie wiem. Chciałem ci tylko pokazać.

- Ty tak zawsze! - wybuchnął Konstanty. - Potrafisz tylko mówić, wiecznie byś gadał i gadał. A gdy przychodzi co do czego, zostaję sam. Zabiję cię, wiesz? Pod poduszką trzymam nóż, specjalnie dla ciebie!

- Spokojnie - uśmiechnął się Miron-sumienie. - Raz już próbowałeś. Nie możesz mnie zabić, kiedy to wreszcie do ciebie dotrze?

Konstanty opadł na łóżko.

- Przepraszam.

Miron-sumienie poklepał go po łopatce.

- Nic się nie stało. Wiesz, gdybym to ja był na twoim miejscu... zabrałbym jajko i poszedł.

- Tak po prostu?

- A dlaczego nie?

Konstanty musiał przyznać mu rację. Chociaż nie wiedział, co się dzieje, w głębi serca czuł, że jest temu winny.

- Więc dobrze - wyprostował się. Podniósł z półki jajko (świeciło teraz znacznie jaśniej niż do tej pory, a jego powierzchnia była ciepła), wsunął stopy w pluszowe kapcie i ruszył do wyjścia. Miron-sumienie odprowadził go wzrokiem.

5.

Wiał lekki wiatr, ziemia wyczuwalnie drżała. Konstanty szedł powoli przez oszalały świat, zastanawiając się, jakimi słowami opisałby to, co widzi.

Obok czołgał się człowiek, nagi i odpychający. Krótkie kończyny nadawały mu pozór wyjątkowo wyrośniętego niemowlęcia. Gładka, miejscami przetarta do krwi różowa skóra, kępka miękkiej szczeciny na czubku głowy, a także karykaturalnie wielkie genitalia; wszystko składało się na okrutną kpinę z dziecięcej niewinności. Wykrzywione, szponiaste palce darły chodnik.

Czując na sobie wzrok Konstantego, człowiek odwrócił ku niemu twarz czerwoną, płaską, bez nosa i warg. Odsłonięte zęby szczyrzyły się w upiornym uśmiechu.

- Bla bla bla - wycharczał.

Konstanty wyjął z kieszeni jajko. Rozbłysło niczym słońce, ale nie oparzyło go; zmrużył oczy. Człowiek u jego stóp zawył, skulił się i zakrył twarz rękoma.

Schował jajko z powrotem. Człowiek patrzył na niego z nienawiścią.

- Bla bla bla.

Konstanty wzruszył ramionami.

— * —

Było ich coraz więcej. Zdeformowani, groteskowo spuchnięci; niektórzy ciągnęli za sobą pęta jelit z rozprutych brzuchów, ślad innych znaczyły lśniące pasma śluzu. Mężczyźni i kobiety, dzieci i dorośli, wszyscy pełzli w jednym tempie, w tym samym kierunku, chórem powtarzając mantrę:

- Bla bla bla.

Konstanty kroczył wśród tych ludzi-larw nie myśląc już o niczym; wiatr rozwiewał mu pidżamę. Spojrzał przed siebie: ulicą płynęła rzeka ciał. Było duszno.

Nagle dojrzał Alicję.

Z rozpostartymi skrzydłami unosiła się w powietrzu ponad kłębowiskiem ludzi-larw, jasna i czysta, niczym emisariusz z lepszego świata. Promieniała pięknem i niezwykłą mocą. Zdawało się, że wszystko wokół niej celowo uczyniono plugawym i brzydkim, aby oto mogło ukorzyć się przed tą nieskończoną doskonałością; byłby to najpełniejszy z triumfów.

Konstanty przyśpieszył.

— * —

Szkoła wyrastała ponad parkowe drzewa, pradawna i straszna. Ogromnymi, bladymi ślepiami patrzyła gdzieś poza czas i przestrzeń; potężne skrzela poruszały się miarowo, niczym miechy piekielnej kuźni. Pokryta łuskami skóra miała barwę rdzy, z grzbietu sterczał szereg kolców wyższych niż uliczne latarnie i połączonych szarą błoną.

Procesja ludzi-larw wpełzała w otwarte, okrągłe usta szkoły. Na ten widok Konstanty przystanął, a jego serce ściał mróz; wiedział, że i on będzie musiał tam wejść. Uspokoił go ciężar jajka w kieszeni na piersi.

Ćma, pomyślał, widząc, że Alicja swobodnie wślizguje się w paszczę szkoły. Co tam ciągnie tę dziewczynę? Przecież tak różni się od ludzi-larw... Ciekawość? A może to tylko przynęta: ktoś chce, żebym podążył za nią?

Konstanty ruszył naprzód, nagle bardzo żałując, że nie wziął miętusów; bez nich kontury rzeczywistości stawały się boleśnie ostre.

6.

W wielkim holu powietrze było gęste i ciężkie. Konstanty zdjął kaptcie i boso kroczył po miękkim, wilgotnym języku. Obejrzał się: za jego plecami monstrualne zęby wyrastały z podniebienia niby stalaktyty. Śmierdziało rybą.

Kim jesteście? - chciał zapytać. Czuł dotyk chłodnych ciał ludzi-larw, ocierających się o jego nogi, gdy pełzli dalej, w stronę czarnego otworu gardzieli. Zatrzymał się; był jak filar mostu, opływany przez rzekę, a przecież do niej nienależący.

- Bla bla bla!

Konstanty rozpoznał kobietę, którą przed dwoma dniami spotkał w parku. Leżała na plecach, z zaplecionymi za głowę rękami, niekształtna i nijaka jak skórzany worek; jamnik uczepony fałd na jej podbródku przypominał wielką pijawkę. Odpychając się nogami, kobieta sunęła po oślizgłej powierzchni języka. Po chwili wtopiła się w ruchliwe kłębowisko sobie podobnych sinych brył mięsa i razem z nimi zniknęła za krawędzią gardzieli.

Konstanty poczuł lęk. Stracił z oczu Alicję.

Pobiegł.

— * —

Na przemiał, pomyślał Konstanty. Na przemiał!

Porwała go rzeka ciał. Parł naprzód między ludźmi--larwami, w nieprzeniknionych ciemnościach i ścisku tak wielkim, że z trudem oddychał. Było coraz bardziej mokro. Brodził po kolana w gęstej cieczy spływającej też ze ścian i kapiącej ze sklepienia. Ludzie-larwy kotłowali się w niej, przewalali jeden przez drugiego, kaszląc i charcząc. Bezkształtna, bezwolna masa, śmieci w zsypie.

Z trudem utrzymywał równowagę. Przed oczami pękały mu czerwone pęcherzyki, szum w uszach stawał się nie do zniesienia. Napór ludzi-larw rósł, chłopak wystraszył się, czy jajko w kieszeni jest bezpieczne.

W co się wpakowałem, pomyślał, nagle czując w ustach kwaśny smak wymiocin. Z trudem sięgnął do kieszeni i wyszarpnął jajko wysoko nad głowę.

A potem odpłynął w ciemność. Na przemiał. Na przemiał!

7.

Żyję, zdziwił się Konstanty. Mało tego. Jestem świadomy.

Leżał na wypukłej mięsistej wyrośli przypominającej olbrzymi wrzód. Wysoko nad jego głowę falowały węzowe wypustki zwisające z różowego błoniastego sklepienia. Krople śluzu spadały mu na twarz.

Kurczowo zaciśniętymi palcami wciąż trzymał jajko, jaśniejące niezwykłym blaskiem; nie wypuścił go ani na moment.

Poruszył ręką, zatańczyły cienie.

Skąd się tu wziąłem?

Konstanty podniósł się i westchnął. Wokół rozpościerało się morze ludzi-larw. Tysiące bladych oczu wpatrywało się w niego z napięciem. Wyrosi, na której się znajdował, drżała.

Ołtarz ofiarny? Katafalk?

Zdawało mu się, że dostrzega Mirona. Czuł na sobie jego zatroskany wzrok. No, dalej, szeptał głos tak cichy, że niemal niesłyszalny, bo dobiegający z wewnątrz. No, dalej.

Tylko co?

Konstanty podniósł głowę. Pod pulsującym sklepieniem poruszał się jasny kształt: Alicja. Kreśliła ósemki ponad tłumem ludzi-larw, majestatyczna i dostojna. Złote refleksy pełgały po jej skrzydłach. Konstanty zamarł w zachwycie, chciał krzyknąć, ale głos uwiązł mu w gardle.

Naraz rozległo się głośne niczym grom: - Bla bla bla!

Ludzie-larwy drgnęły i wyciągnęły ręce w stronę Konstantego. Tylko w pojedynkę czuli strach przed jajkiem; teraz, gdy było ich tak wielu, nie mogło powstrzymać ślepej nienawiści. Krąg zaczął się zacieśniać.

— * —

Zdając sobie sprawę, iż są to jego ostatnie sekundy, uniósł wzrok ku górze. Ludzie-larwy lada moment mieli rozerwać go na strzępy, świat zawierał się już cały w ogłuszającym „Bla bla bla!”. Konstanty spotkał spojrzenie Alicji; przysięgłby, że się do niego uśmiechnęła. Tuż przed sobą zobaczył Mirona, wyraźnie jak nigdy, jakby rzeczywiście był człowiekiem z krwi i kości. On również się uśmiechał, a jego usta bezgłośnie powtarzały dwa słowa: - No, dalej.

Naraz zrozumiał. Rozbił jajko na głowie.

W tej samej chwili potężna eksplozja wstrząsnęła posadami świata. Fala ognia w ułamku sekundy spopieliła ludzi-larwy, rozsadziła szkołę i przewaliła się przez miasto. Wszystko zniknęło w jednym krótkim błysku szaleństwa, aby już nigdy nie wrócić do poprzedniego kształtu.

Wyparowując, Konstanty nie był do końca pewien, ale zdawało mu się, że zwyciężył.

Epilog

Z lotu ptaka przypomina to rozsypane klocki: bryły betonu, fragmenty budynków, przewrócone drzewa i samochody. Pustynia gruzów, wielkie cementarysko. Krajobraz jak po upadku meteorytu.

Alicja siedzi na ławce, jakimś cudem nienaruszonej, i miesza farby na palecie. Wcale nie ma skrzydeł, choć równie dobrze mogłaby mieć. Siedzi tak i miesza, sama pośród morza ruin, pod całunem chmur i mgieł.

Wspaniały dzień, czemu więc niebo jest takie smutne? Alicja zaciska usta. Tak nie powinno być. Moczy pędzel w błękitnej farbie, przeciąga nim po chmurach. Dość szarości. Jeszcze tylko złote słońce.

U jej stóp leżą skorupki jajka. Wyklął się z niego nowy świat; Alicja zdaje sobie sprawę, że minie szereg dni, zanim urządzi go w pełni.

Potem namaluje Konstantego.